

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ      Nr 10/613      1998**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**T. JASTRUN: TOUR D'HORIZON**

**B. OSADCZUK: GEN. LEBIED' ŻĄDA**

**DECENTRALIZACJI ROSJI**

**K. BRANDYS: BROUSSAIS**

**H. RATAJCZAK: O SYTUACJI NAUKI**

**NA UKRAINIE**

## SPIS RZECZY

Tomasz Jastrun:	<i>Tour d'horizon</i> .....	3
Bohdan Osadczyk:	<i>General Lebięd' żąda decentralizacji Rosji</i> .....	24
Andrzej Koraszewski:	<i>Prakseologia</i> .....	27
Kazimierz Brandys:	<i>Broussais</i> .....	32

### WIERSZE

Jerzy Gizella:	<i>A co teraz z Nową Hutą? – W dziwnym czasie</i> .....	46
Mira Kuś:	<i>O czym to... – Trawa</i> .....	48
Agnieszka Lisak:	<i>Dla zwyczajnych – Żołnierzom kampanii wrześniowej</i> .....	49
Adam Lizakowski:	<i>Dolny Śląsk – Powrót do Pieszyc</i> ..	50
Leszek Szaruga:	<i>Auschwitz 1998</i> .....	52

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Stefan Abner:	<i>Czy Europę stać na własny przemysł zbrojeniowy?</i> .....	53
---------------	--	----

### WYWIADY „KULTURY”

Beata Tarnowska:	<i>Rozmowa z Adamem Czerniawskim</i> ..	63
------------------	---	----

### KRAJ

Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i> .....	79
----------------	--	----

### SPRAWY I TROSKI

–	<i>Komitet Ratowania Białowieży</i> ...	87
---	---	----

### SĄSIEDZI

Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	89
Henryk Ratajczak:	<i>O sytuacji nauki na Ukrainie. (Rozmowa z Akademiem Valerym P. Kukharem)</i> .....	95
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina w obliczu kryzysu rosyjskiego</i> .....	102

### KRONIKA KULTURALNA


Czesław Karkowski:	<i>Koniec nagród Fundacji Jurzykowskiego</i> .....	104
Stefan Abner:	<i>Z nordyckiej perspektywy</i> .....	108
Wacław Werenicz:	<i>Sztuka Aleksandra Zubryckiego z Mińska</i> .....	115
–	<i>Pisma zebrane Witolda Gombrowicza</i> .....	120
–	<i>Komunikat o stypendiach</i> .....	120

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 160

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik/Octobre 1998

INSTYTUT  LITERACKI



# KULTURA

## WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) – zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza, w 19-tą rocznicę Jego śmierci (5.10.1979) – dol. 100,00 .....	F. 560,00
† Andrzej Pleszczyński <i>in memoriam</i> – Rodzina w Anglii (Nadesłała Anna Bentkowska-Kafel, Londyn – £ stg 30,00 100,00 .....	F. 285,00
Zdzisław M. Bobrowicz, Princeton NJ (USA) – po raz 9-ty – dol. 100,00 .....	F. 560,00
Lucja Gliksman, Tel Aviv (Izrael) – dla uczczenia pamięci mojej Matki Felicji Pińczewskiej i mego Męża, dr Jerzego Gliksmana – dol. 300,00 .....	F. 1.680,00
Andrzej Kozłowski, Paryż – po raz 32-gi .....	F. 200,00
Stanisław Kwiatkowski, Cleveland, OH (USA) – po raz 4-ty – dol. 20,00 .....	F. 112,00
Prof. Henryk Ratajczak, Paryż – po raz 8-my .....	F. 500,00
Longin E. Sztachański, Seminole FL (USA) – po raz 50-ty – dol. 20,00 .....	F. 112,00

### DZIĘKUJEMY

## Tour d'horizon

Od tylu lat piszę do *Kultury* co miesiąc, niepokojąco regularnie. Czasami z gorzką radością, coraz częściej z trudem. Najpierw przemyślałem teksty, bywało to bardziej kłopotliwe od pisania. Potem pisząc z oddalenia, a udając nie udając, że jestem w Polsce, stałem na granicy możliwości i przyzwoitości. Teraz nie ma problemów technicznych, są raczej psychiczne, jak pisać o naszym nowym świecie? Fale młodej demokracji co dzień wyrzucają na nasz brzeg tony cudaczných śmieci. Nie brakuje mi więc tematów. Poczulem jednak, że zaczynam zjadać własny ogon. Czy więc nie wyczerpała się formuła tego zapisu? Tak to czasami czuję, chociaż własnym słowom najtrudniej zbadać puls.

Patrząc wstecz widzę różne swoje grzechy, z grzechem nadmiernego pesymizmu na czele. Już kilka razy tłumaczyłem się paskudnym charakterem, ale tak zbyt łatwo można rozgrzeszyć każdy grzech. Na pewno za często, co jest ogólnoludzką słabością, tłumaczyłem słabością miejsca, gdzie przyszło mi przyjść na świat. Nie jest to najlepsze miejsce, ale i nie najgorsze. Upieram się przy tym teraz, gdy niemal wszyscy moi przyjaciele-optimiści, co tak ubolewali, że jestem śledziennikiem, malkontentem, że kraczę, widzą dzisiaj Polskę ponuro. A ja na odwrót. Bęcwałstwa są liczne, to nie tylko szczegóły a też niepokojące tendencje, ale mimo wszystko kraj idzie do przodu. A to jednak najważniejsze. Co tam jest na tym przodzie, to trudne pytanie dla całej naszej cywilizacji. Jedno pewne, ci co nie idą, są skazani na porażkę.

Narzekać i utyskiwać będę jednak nie mniej niż zwykle. Jak na złość memu optymizmowi ostatnie miesiące zafundo-



wały nam obrzydliwy wrzód w postaci konfliktu oświęcimskiego, a krach w Rosji przypomina, że środek Europy to zawsze było niebezpieczne miejsce. A formuła mego tekstu? Będąc skazanym by tak wiele, zbyt wiele, pisać poza *Kulturą*, już nie potrafię nakazać memu drzewu, które rośnie w polskim Paryżu od bodaj 12 lat, by wypuściło nowe konary. Żyję z pisania, też o książkach, i nie mam już wolnej przestrzeni na refleksję. Nie przypadkiem w pierwszej wersji ten dziennik nosił nazwę „zewnątrznego”. Nadal nim jest w dużej mierze. Na własną pociechę, mogę zauważyć, że prawie wszyscy piszący w Europie Wschodniej mają dzisiaj problem z formułą zapisu naszego świata. Nie jest ten świat na tyle nowy, by zmuszał do wymiany zatęchłych i zapleśniałych pojęć i słów, a jednak wystarczająco odmienny, by wiele z dawnych pojęć fałszowało rzeczywistość. Jedyne co mogę zmienić, to pisać nieco rzadziej, gęściej i mniej niż zwykle pośpiesznie, chociaż to ostatnie obiecać mi najtrudniej.

To już historia. Po wielkim zgiełku wszystkie strony wielkiej narodowej waśni o liczbę województw poszły na kompromis. I mamy województw 16. Nastąpiła chwila ciszy, jak gdy wychodzi się z kabaretu na opustoszałą ulicę. Ale szybko pojawił się nowy spektakl, spór o powiaty. Problem województw, podobnie jak wiele innych spraw oderwał się od swojego sensu, czyli od pytania co tak naprawdę jest dla kraju dobre? Teraz jesteśmy na progu wielkiej kłótni o system podatkowy. Uproszczony, liniowy system zaproponowany przez Balcerowicza, wydaje się, że tworzy szansę dla całej gospodarki. Został z entuzjazmem przyjęty przez niemal wszystkich, którzy zajmują się biznesem, ale jest blokowany przez populistyczne i małostkowe interesy partyjne. Nieustannie słyszę z prawej strony, że coś w Polsce musi być prorodzinne, a nie jest. Prorodzinne to znaczy bardziej dietne, a więc krzepko-narodowe. „Prorodzinny” kojarzy się z „poroniony”. Wiem jak ważna jest rodzina, nawet się zgodzę, że jest zagrożona przez naszą cywilizację. Ale tworzenie dla niej socjalistycznej kanapy, to błąd. I po prostu nie ma na to w budżecie pieniędzy. Zgadzam się z widzeniem liberalnym, że dzisiaj trzeba przede wszystkim pchnąć do przodu całą naszą gospodarkę, wtedy poprawi się też sytuacja

rodzin wielodzietnych. Potężnymi zastrzykami zapomóg zachęcimy pijaków, by mnożyli dzieci, które finansować będą ich alkohol. Ale oczywiście, nie tylko alkoholicy mają po kilkoro dzieci. Tu gdzieś krzyżują się podstawowe, moralne pytania, o przyszły kształt naszego państwa i nie ma tu łatwych i prostych odpowiedzi. Dramatyczna jest sytuacja ludzi starych i chorych. Unia Wolności, partia inteligentów haniebnie zaniedbuje sprawy nauki. Tak niskie na nią nakłady to jest też wielki błąd ekonomiczny na przyszłość. Duchowo bliska mi jest socjaldemokracja, ale rozum i doświadczenie mówi, że to nie chce funkcjonować. To przywilej bogatych znajdować złoty środek między modelem liberalnym a socjalnym, czy nie znalazły go choćby Niemcy? Zgadzam się częściowo z Balcerowiczem, że najpierw musimy dać napęd naszej gospodarce. Jaki jednak będzie potem stan naszych serc i umysłów, stan naszej nauki i kultury? Czy nierówności społeczne nie zastygną w kamień, a z nimi nasze serca? W tej chwili wydaje się, że slalom kompromisów między tyczkami interesów partyjnych, może doprowadzić do stagnacji.

Powtarzam niemal wakacje z zeszłego roku. I jadą ze mną te same zielono-żółte oczy. Jakby nic się nie zmieniło, a jednak nic nie jest tak samo. Bo płynie rzeka Heraklita. Las wiedzie i do piaszczystego wybrzuszenia, gdzie ostre rośliny, które rosną na wydmach, rozrywają jak kurtynę z bibułki widok na morze. To zawsze jest chwila wzruszenia, na którą dzisiaj nakładają się poruszenia, które kiedyś szły stópką dziecka. Kto wie, czy brzeg Bałtyku nie jest moim najbardziej pierwotnym, ojczystym wspomnieniem. Piaszczyste plaże lizane przez fale, gra zapachów, szumu fal i wiatru, zapach tajemniczej przyszłości. Dzisiaj przyszłość ma nadal kolory, ale nie ma już zapachu tajemnicy. Natomiast coraz więcej zapachów ma przeszłość.

Morze nawet w najgorszych czasach było dla mnie nadziei. Dlatego dzisiaj śmietnik plastikowych i tekturowych opakowań na plaży to świadectwo nowych zagrożeń, a też powszechnego braku czułości wobec otoczenia. Mieszkańcy nadmorskich osiedli, którzy dzięki plażom robią majątek, nic nie czynią by o nie zadbać. Domy, które tu budują



nadal są szpetne, może mniej niż niegdyś, ale brzydkie są wystarczająco. Widać jednak pierwsze znaki rodzenia się wyższej estetyki. Mieszkamy właśnie w takim nowym domu, przeznaczonym dla letników, a przeniesionym tu jakby z innego świata. Właścicielami są kulturalni ludzie, wszystko tu czyste, ładne, wiele kwiatów. Wydaje mi się, że kwiaty zaczynają bujniej krzewić się na polskich balkonach i parapetach. A kwiaty w ludzkich siedzibach to znaki czułości wobec otoczenia, jeśli żyją, to znaczy, że ktoś o nie dba. Sam po raz pierwszy w tym roku posadziłem kwiaty na parapecie swego okna, bez wielkiej nadziei, że żyć będą długo. Wszystkie poprzednie próby kończyły się dla moich roślin tragicznie. I tym razem były bliskie zgonu, ale cudem ocalały i wspaniale kwitną. Czyżbym w końcu dojrzał, też do kwiatów?

Polska brzydota, to właśnie brak czułości wobec otoczenia, tak jest zawsze w miejscach gdzie zbyt wiele blizn, a na bliznie mało co chce rosnąć. Dlatego krzewienie się kwiatów, w Polsce niech będzie jednym ze świadectw, że przyrasta zdrowa tkanka.

Jadąc samochodem tą samą trasą co w zeszłym roku, poprzez Gdańsk, obserwujemy zmiany, które zaszły w ciągu 12 miesięcy. Patrzymy czule i z nadzieją, bo wszystko jakby przemieściło się nieśmiało o jeden, no może o pół stopnia do góry. Jest więcej zajazdów, domów wykończonych, lub odmalowanych. I te nieśmiałe próby walki o estetykę, to prawda, nie zawsze uwieńczone powodzeniem, ale ów wysiłek jest cenny. W końcu uroda tworzona ręką człowieka, jeśli nie ma charakteru pierwotnego odruchu dorosłego dziecka, zaczyna się od uświadomienia sobie, że istnieją takie pojęcia jak „ładne” i „brzydkie”. Był czas, nie tak odległy, gdy nawet architekci wstydzili się używać tych pojęć. Dzisiaj nawet jeśli wielu ludzi nie ma wyrobionego gustu, a gust to też tradycja, ich dzieci będą pomału korygować błędy.

W Kuźnicy na Helu najładniejszym budynkiem jest kościół. Krzepki ksiądz w energicznym kazaniu walczy z materializmem współczesnego świata. Więści nawet jego koniec, wie zapewne, że to pewna przesada, która ma jednak swą tradycję dwóch tysięcy lat. Ksiądz jest właścicielem donośnego, wytrenowanego głosu, który w odpowiednich chwilach

zaczyna drżeć jak płomień świecy, w który uderzy podmuch wzruszenia. A kiedy trzeba, na potwierdzenie swych tez, zrećźnie wytrząsa z rękawa kilka barwnych przykładów w formie przypowieści. Motyw katastrofy statku i rozbitków święci triumfy nie tylko w nadmorskich parafiach. Ksiądz zapewne nieco przesadził obwieszczając, że filozof Nietzsche, który głosił śmierć Boga, z tego właśnie powodu skończył w szpitalu psychiatrycznym. Ale jest wybaczalna dla dobra kazania taka mała przesada a nawet błędne wymawianie nazwiska słynnego filozofa. Zgromadzeni słuchają uważnie. Turyści jeszcze nie zjechali, więc naród jest miejscowy, ale prezentuje się dostatnio, bo osada bogata dzięki turystom. Patrzyłem na tych ludzi oderwanych od ciężkiej pracy, od telewizorów, od życiowej codziennej tandety, starannie ubranych, zamyślonych, zanurzonych jednak w czymś lepszym niż na co dzień. To powinna być duchowa kąpiel, trafnie zwana oczyszczeniem. Jak wielką moralną rolę spełniałby kościół, gdyby księża byli na wyższym poziomie. Kościół bez pasterzy pustoszeje, ale ich obecność zanieczyszcza ołtarze ludzkimi słabościami. Na dodatek w Polsce poziom intelektualny kleru wydaje się szczególnie niski, z kilku historycznych powodów. Ksiądz więc gromił pogoń za mamoną i materializację naszego życia. Słusznie! Problem, że przybyli do kościoła, przede wszystkim zajmują się ową pogonią, więc w świątyniach ich sumienia musi zachodzić jakaś reakcja chemiczna, która łagodzi rozdzźwięk między faktami a kazaniem. Ksiądz próbuje im w tym pomóc. Jest dzień św. Antoniego i ksiądz mówi, że można się do niego modlić, nawet w sprawie odzyskania skradzionego samochodu, „bo przecież ten samochód, mógłby posłużyć jako środek transportu przy ratowaniu czyjegoś życia”. W rzeczywistości częściej służy do pozbawiania życia, ale rozumiem i doceniam wysiłek księdza by uporać się z niekonsekwencjami, na które jesteśmy skazani. Są jednak niekonsekwencje, które trudniej zaakceptować. Przed kościołem stoją odpustowe stragany. Są wielkim zbiorowiskiem błyskotek, dla niewiniątek, czyli dla dzieci. Ze wzruszeniem rozpoznałem w tym kolorowym bałaganie przedmioty z mojego dzieciństwa, drewniane pukawki zatłkane korkowym pociskiem, kolorowe papierowe kulki na gumie, wiatraczki... Ale dzisiaj nie one dominują na straganach. Najwięcej jest



broni – pistolety, karabiny maszynowe, granaty, prawdziwy arsenał śmierci, wszystko zaskakująco dobrze skopiiowane i tanie. Książd szuka po całym świecie przykładów grzechu, a pod kościołem toleruje handel zabawkami, które wiernie imitują narzędzia mordu. A cały ten arsenał jest pod kościołem, który sławi się tym, że zbudowany na progu wojny, miał proboszcza, młodego, prawego i odważnego, który podczas okupacji został przez hitlerowców rozstrzelany.

Kościół zbudowano w roku 1935. Ta architektura wzięła co najlepsze z neogotyku, a strzelista zielona wieża widoczna z wielu miejsc, też z plaży, zawsze wydaje się być na swoim miejscu, na tle drzew, błękitnego bądź pochmurnego nieba. Jest jakby częścią natury, a to właśnie jest cecha dobrej architektury. Nawet ślady po pociskach wyglądają jak zgrabne blizny na ładnej twarzy. W czasie hitlerowskiej inwazji roku 39 Hel bronił się najdłużej. Ale nic zapewne o tym nie wiedzą niemieccy turyści, których tu coraz więcej, coraz mniej o tym wie polska młodzież, dla której ostatnia wojna staje się rówieśna wojnom punickim. Młodzi przyjeżdżają tu z deskami surfingowymi, by toczyć swoje wojny z wiatrem i falą.

W Gdańsku spotkamy się z Pawłem Huelle. Jeden z najzdolniejszych prozaików młodszego pokolenia, które nagle spojrzało w lustro, by ujrzeć, że nie jest młode. Zawozi mnie i moją przyjaciółkę w swe magiczne gdańskie miejsca. Siedzimy w ruinach porośniętych gęstym krzewem i drzewem, kanał odgradza nas od słynnej fasady kamieniczek gdańskiej starówki, która zdaje się pamiętać, że została odbudowana z ruin. Jesteśmy nagle sami, z naszym piwem i ze wspomnieniami, gdy tuż obok w ciszy, po drugiej stronie kanału, kłębią się ludzkie tłumy. Tak zapewne kot spokojnie obserwuje ulicę, leżąc odgradzony bezpieczną szybą sklepowej wystawy. Zastanawiamy się gdzie właściwie jesteśmy, w tej wolnej Polsce? Jak to się stało, że jednak jesteśmy rozbitkami, co nie wydaje się stanem dramatycznym, bo wszyscy wokół mniej lub bardziej na swoich wyspach bezludnych. Jesteśmy rozbitkami też w życiu osobistym, rozbitkami bo zagubiliśmy się w chaosie języków, rozbitkami we własnej ojczyźnie, z którą nie do końca możemy się porozumieć. A ta wielka zmiana, której tak chcieliśmy, stworzyła świat który jest nasz

i nie-nasz. Mało co tak boli, jak poczucie obcości, które bije od tego co bliskie. Nie mamy już swoich środowisk, grup przyjacielskich, zostały roztrzaskane przez czas, a też przez jego brak. Każdy kto jeszcze potrafi się ruszać bierze udział w wielkim „wyścigu szczurów”. Pawłowi jednak udało się stworzyć niszę dla siebie. To w niej pisze obszerną powieść. Ma szczęście, że mógł się w niej pogрузić, i zanurzyć się w przyrodzie, zazdroszczę mu serdecznie jednego i drugiego. Ja otoczony murami ulicy Rakowieckiej, rozmieniam się na drobne. Mam nadzieję, że Jego nie dotknie okrutna prawidłowość naszego literackiego, pozał się Boże, życia. Niemal wszyscy nasi prozaicy młodszych generacji, zaczynają dobrze, lub nieźle, a potem, im dalej w las, tym jest chudziej i słabiej. A krytyka jest w proszku, który przypomina czasami sól, a czasami cukier.

Siedzimy nad tym brzegiem gdańskiego kanału, zanurzeni w piwie, gdy naszą intymność zakłóca ludzki jęk: „Panie poratuj”. Właścicielem głosu jest spragniony alkoholik, wyłonił się z ruin człowiek-ruina. Nie chce wiele, tylko kolejny fragmencik nadziei. W tym „panie poratuj”, które tak często rozlega się wśród polskich jęków, odnajduję ton szczerości, którym obdarza człowieka sytuacja ostateczna. Więc daję mu złotówkę. W końcu każde dziecko prędzej czy później umrze, cóż więc z tego, że jego „dziecko” jest chore i nie ma przed sobą długiego żywota.

Brzęk i szelest pieniędzy, to szelest naszego czasu. Są chwile, wstyd się przyznać, że z rozrzewnieniem wspominam okres PRL-u, kiedy ważna była prawda i kłamstwo, spotkania, przyjaźnie, społeczne sprawy, a nieważne były pieniądze. Dzisiaj wszystko najeżone dziobami, które wołają „pieniędzy”. Kiedyś tak przywiązany do myślenia kategoriami dobra wspólnego, dzisiaj coraz częściej wpadam w różne egoizmy. Gdy ktoś proponuje mi publiczne poprowadzenie spotkania, choćby o najbardziej szlachetnym charakterze, z trudem, ale pytam: za ile? Kiedyś nie przeszłoby mi to nie tylko przez gardło, przez myśl.

Tatry wydają się być w stanie przedzawałowym. Chodząc bocznymi szlakami nie unika się tłoku, jest tylko nieco mniej-szy. Ale z własnej woli postanawiam zanurzyć się w górskim



tłumie i doświadczyć szczytu Giewontu, którego zawsze unikałem. Stopy, łydki, zadki. Wkładam wyimaginowane okulary, które pozwalają zerkać na boki abstrahując od ludzi. Patrząc pod nogi, widzę, że najbardziej powszechnym odpadkiem ostatniego dziesięciolecia są dwa detale. Każdy czas ma swój dominujący odpadek. W latach 70-tych były to kapsle od butelek, dzisiaj jest to kolorowa opaska plastikowej butelki, która spada gdy się odkręca korek. Drugi przedmiot, to metalowa zawleczka, nie do granatu, od puszkii. To dwa znaki naszej cywilizacji końca drugiego tysiąclecia, pełno ich nawet na górskich szlakach, a też dominują na chodnikach miast.

Zakopane stara się o Olimpiadę w roku 2006. Spotykam miejscowych architektów, którzy jak wawelskie smoki zioną entuzjazmem do tej idei. Pomysł wydaje mi się wątpliwy, Tatry są za małe i już niemal zdeptane. Byłbym większym entuzjastą budowy w innych naszych górach miejscowości, która by odciążyla Zakopane. Co w tej sprawie znamienne: zanim udało się Zakopane zgłosić Olimpijskiemu Komitetowi, wszystko utonęło w kłótniach i sporach. Różnica poglądów w takich sprawach jest zdrowa, ale jak zwykle spieramy się w ostatniej chwili, bez klasy, ośmieszając całą inicjatywę, zamiast nadać jej profesjonalny kształt.

Pani Frania, która raz na miesiąc robi porządki w moim mieszkaniu, uświadamia mi, że wielki jest bałagan w mojej głowie. Ja na zewnątrz zawsze walczę o porządek. Należę do ludzi, którzy nie potrafią żyć w zewnętrznym bałaganie, zapewne boję się, że ten zewnętrzny zleje się z moim wewnętrznym, a wtedy utonę. Ale bałagan w moich szufladach i szafach ujawnia prawdę wnętrza mojej głowy. Ten bałagan jest znakiem naszego czasu. Im więcej wiemy o świecie, tym mniej pojmujemy.

Dzięki Pani Frani wiem już jak wyglądają pedantycznie ułożone skarpetki, ręczniki, produkty kuchenne. A potem boję się czegokolwiek dotykać, by nie popsuć tej harmonii. Patrząc na nią czasami myślę, że warto by Uwierzyć. Pani Frania ma wszystko w sobie proste i poukładane. Jej wielka radość ostatnich dni, oparta jest na słowach, które przypadkiem podsłuchała. Ludzie mówili, że na Boże Ciało jej ołtarzyk był najładniej zrobiony. A jednak nawet ona nie jest

wolna od obaw. Boj się, że pójdzie do piekła, taka niewinna i dobra. Proszę, niech powie jak na spowiedzi, czy ma wiele grzechów kiedy się spowiada? Przyznaje, że ma kłopot. Myślę, że jej sytuacja jest tak dramatyczna, że spowiada się księdzu nawet z grzesznych obrazków, które są u mnie tu i ówdzie, które na czas sprzątanania odwraca na drugą stronę.

— Pani Franiu — mówię — a ja słyszałem, że jest nieomal pewne, że piekła nie ma. Bardzo poruszona. Już gdzieś też o tym słyszała. „Ale czy na pewno” — pyta z niepokojem. W telewizji jeszcze o tym nie mówią, czy mogę więc dać jej pewność? W jej religijności, w jej stosunku do świata, pełnym pogody i życzliwości, jest co najlepsze w tym co było do niedawna nazywane naszym ludem, a czym jest teraz?

Sprawa województw, dymisja szefa integracji ministra Czarneckiego, sprzedaż Stoczni Gdańskiej, o której „polskość” i zdrowie od lat walczy Radio Maryja i „Solidarność”, konflikty o niemal wszystko, od systemów edukacyjnych do podatków, powoduje, że koalicja a też klub parlamentarny AWS-u zaczyna się kruszyć, co było nieuchronne. Narasta też w ramach AWS konflikt między umiarkowaną prawicą, a prawicą paranoidalną. Grupa radiomaryjna odchodzi z klubu. „Ten okręt tonie” obwieszcza Lech Wałęsa, ale twierdzi, że on ostatni zejdzie z pokładu. A tak naprawdę, to Wałęsa widzi w tej katastrofie dla siebie pewną szansę. Z każdym rokiem, staje się postacią coraz bardziej groteskową, ale trzeba przyznać, że przynajmniej nie ma w nim ekstremizmu, to nie endeck ani prymitywny populistą, a zdumiewające skrzyżowanie narcyza, no powiedzmy z polnym ostem. Doprawdy dziwaczna roślina. Ale czy chcemy czy nie, to postać historyczna.

Unia Wolności jest od dawna postrzegana przez AWS jako siła diabelska, z którą zawarto bolesny sojusz, by pokonać innego diabła w postaci postkomunistów. Nasza narodowa prawica ma w sobie mięsne fragmenty przedwojennej endecji, zamrożone przez PRL, a odmrożone w chwili powstania RP. Ale ten odruch narodowego niepokoju wobec zagrożenia narodowej tożsamości, nie jest bynajmniej tylko polskim problemem. Nasza specyfika to niezwykle mocne zaangażowanie katolickich kapłanów w nurt myślenia paranoidalnego.



AWS co miesiąc potwierdza, że w paźerności, w braku klasy niczym nie ustępuje swoim poprzednikom z SLD. Reflektor mass mediów nie zna litości. Co rusz widzimy jakiegoś polityka AWS-u jak nagi chowa się po krzakach, ukrywając swe drobne machlojki, lub heroicznie je obnażając. Niedawno snop światła padł na wojewodę warszawskiego Macieja Gieleckiego. Rozmodlony, narodowy, cnotliwy i niemądry. Oto okazuje się, że od firmy Fiat otrzymał na czas wakacji, *gratis*, luksusowy samochód. Tłumaczy się, że nie ma w tym nic zdrożnego, bo na wakacjach nie jest już urzędnikiem. Butnie oświadcza, że jeśli w przyszłości będzie miał podobne propozycje od innych firm, to je przyjmie. I co? Nic. Nie wylatuje następnego dnia z pracy. Każdy taki atak prasy uznawany jest przez prawicę za nagonkę lewicy, inspirowanej przez Unię. „A Kwaśniewski nie ma magisterium” – krzyczą, w okrutnym rewanżu. Nie ma mowy o dojrzeniu naszych polityków. Łóżmy nadzieję w wymianie pokoleń.

Najlepiej byłoby pokryć zasłoną milczenia spór o krzyże na Żwirowisku w Oświęcimiu. Ale nawet jak się to przykryje, to za wiele w środku się rusza by milczeć. I te ramiona krzyża, które tak uparcie wystają. Okazuje się, że właścicielem konfliktowego miejsca jest Mieczysław Janosz i jego fikcyjna martyrologiczna organizacja, były ubek, wpłątany w słynną aferę kryminalno-szpiegowską, opatrzoną kryptonimem „Żelazo”. Gada jakieś antysemityczne bzdury, ale podobnie spiskowo myśli i mówi Kazimierz Świtoń, inicjator obrony krzyża i stawiania nowych krzyży. Pamiętam, że w był latach 70-tych bodaj pierwszym bronionym przez KOR prześladowanym. Mój kolega W., który jeździł wtedy na jego proces, szeptał mi na ucho: „między nami mówiąc, to mam wrażenie, że ten Świtoń to jest po prostu świr”. Biedny Świtoń dał się wtedy bronić przez Żydów z „KOR-u”, więc teraz musi odkupić winy. Mówi, że nie idzie na kompromisy z biskupami, bo ich też przycisnęli Żydzi – zapowiada, że w obronie krzyża jest gotów się samospalić. A czemu tak pytam? Nie lepiej samemu się ukrzyżować?

Świtoń, Janosz, a i ostatnio Bubel, każdy jakby z innej beczki, pozornie różni, ale łączy ich religia, która nazywa się

antysemityzmem i bezmyśleniem. Odgrywają swój kabaret w miejscu, gdzie odbył się najbardziej przerażający w historii ludzkości dramat. I to wszystko w ramionach krzyża, który staje się znakiem nienawiści. Zdumiewa mnie zdumienie porządnych ludzi, że krzyż może służyć złu. Zapomnieli, że krzyż przez tysiąclecia bywał pretekstem religijnych wojen, z krzyżem topiono we krwi obie Ameryki i Afrykę, palono na stosie miliony kobiet. To wiek XX, jego druga połowa, bo w pierwszej błogosławiono krzyżem mordujące się armie, próbuje przywrócić krzyżowi jego ewangeliczną szlachetność. Jak widać nie jest to proste.

Krzyże mnożą się na Żwirowisku, już nie ma wątpliwości, na złość obrzydliwym Żydom: „to nasza ziemia, Żydy nie będą się tu rządzić i nam dyktować”. Wzburzyło się nagle spokojne i senne polskie antysemityczne morze. Czytając w prasie radiomaryjnej i narodowej protesty i oświadczenia, odnajduję zbitki myślowe i frazy, które są kopią tych z marca 68 roku. Znak, że partia to inspirowała, ale wiele było elementu spontanicznego. Czytam oto w katolickim dzienniku: „Protest Chóru Parafialnego Jana Pawła II w Strumięniach przeciwko żądaniom ekstremy ateistyczno-judaistycznej usunięcia Krzyża z tzw. Żwirowni w Oświęcimiu”. Słowo ekstrema odżyło w stanie wojennym w ustach komunistycznej gadzinowej propagandy, zagrażała nam ekstrema „Solidarności”. Źródło spiskowego myślenia jest jedno. A setki tysięcy Polaków podłączyły się do kontaktu, gdzie od stuleci płynie spiskowe i ksenofobiczne myślenie. Na Jasnej Górze chłopi zebrani w auli Jana Pawła II odśpiewali rotę, zmieniając w refrenie słowa „krzyżacka zawierucha”, na „żydowska zawierucha”. Biskup Pieronek mówi: „To miejsce zostało w ten sposób zabezpieczone”. Słusznie, ale codziennie całą Polskę bezczęści katolickie Radio Maryja. I nic. Bezradność rządu i Kościoła wobec obłędu, który się krzewi pod jego skrzydłami. Premier jak zwykle przestraszony i bezradny. Episkopat też bezradny i głęboko podzielony, miesiącami nie reaguje, a wrzód w Oświęcimiu rośnie. Prymas w pierwszym endeckim odruchu – o tak, odbija mu się endeckim myśleniem na całą Polskę – broni Świtonia, i obrońców krzyża, mówi, że Żydzi nas krzyżem molestują. Lepiej nie poruszać tu pokładów własnej wyobraźni. Po czasie jednak Prymas wycofuje się



z obrony mnożenia krzyży, z własnej woli, a może przegłosowany przez biskupów. Nie wykluczam, że nagle ujrzał, że sprawa nabrała psychiatrycznego charakteru, trudno nie ujrzeć belki w swoim oku. Episkopat po niezwykle długich naradach, wyobrażam sobie jak się spierano, publikuje ładne i mądre oświadczenie. Po ilu jednak miesiącach zwłoki? Taka zwłoka czyni zwłoki nawet ze szlachetnego oświadczenia. Ważne, że poleca się przenieść ze Żwirowiska dostawione krzyże. Lecz jest bunt na pokładzie nawy naszego katolickiego Kościoła. obrońcy krzyży mówią, że decyzja o przeniesieniu krzyży: „jest niezgodna z sumieniem nas, katolików, albowiem my jesteśmy Kościołem i mamy obowiązek bronić krzyża przed wrogami Kościoła, bo nie czyni tego hierarchia”. To już pachnie schizmą. Mieczysław Janosz tak bluzga wyzwiskami na Żydów, na rząd, na biskupów, obraża państwo i Kościół, że prokuratura ma się tym zająć. Ale Janosz może być spokojny, sprawiedliwość wolnej Polski jest powolna i łagodna. Na scenę Oświęcimia wkracza nagle Leszek Bubel, z zawodu jubiler, obity i obrabowany w burdelu, co nie przeszkadzało mu kandydować na prezydenta. Dostarczył nam wtedy swoimi wyborczymi majaczeniami wiele uciechy. Ten Rzecznik Stowarzyszenia Ofiar Wojny zapowiedział powołanie Gwardii Narodowej do obrony Żwirowiska przed prowokacjami. Jej komendantem ma być Kazimierz Świtoń. Ale Świtoń nie chce być komendantem Gwardii, twierdzi, że Bubel to chory prowokator. Na Żwirowisku mszę odprawiają Lefebvryści, czyli bractwo Piusa X, tradycjonałści wyklęci przez Watykan. obrońcy krzyży biorą udział w mszy. Czy nie nadszedł czas by do Oświęcimia wjechało kilka karet z szpitala psychiatrycznego?

Zawsze uważałem, że głupi Żydzi bywają nawet głupszy od głupich Polaków, co da się racjonalnie wytłumaczyć, bo więcej w nich bliźn, fanatyzmu i arogancji. Znakomicie potrafią się z Polakami niedogadywać. Jest tu również konkurencja w martyrologii dwóch narodów wybranych. Rabin Weiss jest zapewne bardzo podobny w swoim fanatyzmie do Świtonia. A też naczelny polski rabin Joskowicz, którego brak inteligencji otumaniał mnie, gdy kiedyś zamieniłem z nim kilka słów. Nawet jednak jeśli strona żydowska popełniła niezręczności, lawina głupoty w Polsce, która została uruchomiona, jest porażająca.

Będąc dwa razy w Izraelu rozmawiałem z ludźmi kierującymi Yad Vashem, tym gigantycznym sanktuarium pamięci o holocauście, rozmawiałem z ambasadorem Polski w Izraelu, Wojtkiem Adamieckim a też z licznymi izraelskimi intelektualistami i politykami. Wszyscy zdawali się rozumieć problem, ale nic z tego nie wynika. Mijamy się idąc drogą, obok siebie.

Wielkie pielgrzymki izraelskiej młodzieży przybywają do Polski, do miejsc holocaustu. Intencje są piękne. Zbrodnią po zbrodni byłoby nie pamiętać. Ja wędrując po jerozolimskim Yad Vashem, miałem wrażenie, że jestem w jakiejś gigantycznej komodzie, gdzie zgromadzono z holocaustu wszystko: każdy włos, skrawek ubrania, słowo. Przeraza zapach tego sanktuarium, które próbuje oszukać czas i naturalny proces rozpadu i zapomnienia. Przez owe miejsce przemieszcza się w bojowym szyku, w chręście karabinów maszynowych, tam żołnierz nie zostaje się z bronią, cała wojskowa młodzież tego kraju, uzbrojeni po zęby oglądają ocalałe zęby ofiar. Zrozumiałem wtedy, że ta młodzież ma nie tylko pamiętać, ma też zostać do kości skaleczona przez holocaust, tak głęboko, by w razie wojny walczyć do ostatniej kropli krwi. Nie przypadkiem jednostki elitarne składają przysięgę na Masadzie. Uzupełnieniem tego zabiegu są podróże młodzieży do Polski. Jadą więc do Polski z klapkami na oczach. Nie rozglądają się na boki. Widzą tylko obozy, nie widzą Polski, nie spotykają się z naszą młodzieżą, nic nie wiedzą o ofiarach poniesionych przez Polaków. Polska strona nie zrobiła nic by ten scenariusz zmienić. Nie robią nic władze Izraela. Tak spotykają się dwie martyrologie i dwie niekompetencje.

Jest wiele dowodów, że w Polsce przesłanie holocaustu jest martwe, że nie został on w Polsce przeżyty. Polacy zbyt wiele mieli własnych dramatów i ofiar. To słabe wytłumaczenie, ale nie widzę lepszego. Fakty są takie: oto miejsce największej kaźni w historii świata przez okrutny zbieg historycznych okoliczności umiejscowione na terenie Polski, tak strasznie doświadczonej przez wojnę, staje się miejscem, które przyciąga karaluchy. Obserwując ten cały ponury oświęcimski kabaret, można pomyśleć, że ktoś chciał z Polaków wycisnąć co najgłupsze i najgorsze złać do wielkiej przezroczystej szklanki, i pokazać światu w ręce wyciągniętej



triumfalnie, jak pochodnia w dłoni Statuy Wolności. Oto Polska właśnie.

Z tej żalostnej historii może, ale nie musi być pewien pożytek. Jakaś część polskiego Kościoła, nawet tego umiarkowanie-konserwatywnego zrozumiała, że w jego łonie krzewi się nacjonalistyczne, podłe głupstwo, które krzyżem przykrywa nienawiść i bezmyślność. A wspaniałą puentą mnożenia się krzyży, jest krzyż, który na Żwirówisku postawili skini. Czyli współcześni faszyci. Gdyby przenieść ich w przeszłość, byłiby obsługą tego obozu. I tak naprawdę nie jest to konflikt polsko-żydowski. To jest polska wojna domowa, toczy się ona przede wszystkim w łonie Kościoła. Między myśleniem paranoicznym, do którego podłącza się liczny kler, spora część prawicy narodowej, a Polską, która myśli otwarcie. W tej „wojnie” politycy postkomunistyczni w większości są po stronie myślenia otwartego. Straszne, co się porobiło.

Mijają tygodnie i coraz częściej nasz Kościół zaczyna używać określenia, że mamy do czynienia z prowokacją. Czyją? Szatana, wrogów Kościoła? W tym czasie ksiądz Rydzyk, wielki obrońca krzyży i oświęcimskiej paranoi, przybywa do zakładów Tormięs, by wesprzeć strajkującą załogę. Ten zakład to wielka rzeźnia, która jest zagrożona, że zostanie się w obce, niemieckie ręce. W tej rzeźni ksiądz Rydzyk rzuca się na filmującą go ekipę telewizji polskiej, drapie kilka osób z ekipy, kamerzysta nawet traci kępkę włosów. Scena została sfilmowana i cała Polska może sobie w zwolnionym tempie obejrzeć jak wielebny walczy z szatanem. Nic jednak nie zmieni faktu, że tego Radia słucha kilka milionów Polaków. Kościół na własne życzenie dorobił się wrzodu w takim miejscu, że właściwie wszyscy biskupi powinni przez długi czas tylko i wyłącznie stać.

Przygnębia mnie, że w moich tekstach utrzymuje się przewaga dwóch tematów. Wstyd tak się zażydzić i zantyklerykalizować. Problem, że właśnie w tych miejscach jest termometr stanu naszej moralności i pewnych tradycji w tej sferze. Nie jest więc to temat marginalny.

Często spotykam kogoś ze znajomych, zamyślonego. Ludzie modlą się, by Wajdzie wyszedł film „Pan Tadeusz”. Spotykam Krysję Jandę, modli się. Jakoś w moim środowisku

nikt się nie modli za „Ogniem i mieczem”. Oto dwie najbardziej nagłośnione polskie produkcje filmowe roku 98. Pod koniec tysiąclecia sięgamy do Mickiewicza i Sienkiewicza. Czy Mickiewicz jest przekładalny na język kina? Sienkiewicz kiedyś był lekturą dla dorosłych, dzisiaj nie jest już nawet atrakcją dla dzieci, mają Spielberga. „Potop” czytałem siedem razy, zaszкодził mi tylko w jednym, będąc przez cztery lata w Szwecji do końca nie mogłem wyrzucić z jakiegoś zakamarka w głowie, obrazu okrutnego Szweda. W filmowanym „Ogniem i mieczem”, ze swoją antyukraińskością, nie ma ani jednej odpowiedzi na pytania, które nas dzisiaj dręczą, ani jednej aktualnej myśli. A dla wzmocnienia tożsamości narodowej więcej by zrobiła dobra piłkarska drużyna.

18. rocznica Sierpnia. Czytam swoje notatki ze Stoczni z roku 81. Trochę mnie wzruszają, a nieco żenują ówczesne wzruszenia i naiwności. Dzisiaj Wałęsa nie bierze nawet udziału w rocznicowych uroczystościach. Mówi o swojej nieobecności: „Ja tym ruchem chcę dać do myślenia. Kiedy byłem prezydentem, miałem rząd komunistyczny, ale nie pozwoliłem zniszczyć kolebki ‘Solidarności’, Stoczni Gdańskiej. Natomiast Krzaklewski i jego ludzie jeszcze niedawno biegali z oponami jako wielcy obrońcy Stoczni, a teraz pozwolili ją sprzedać. Ja z grabarzami Stoczni nie chcę mieć do czynienia”. Szkoda, że Wałęsa nie ma pomysłu jak ze Stoczni zrobić dochodowe muzeum ruchów robotniczych. W tym miejscu były największe wzruszenia mego życia, ale nie widzę powodu by podatnicy utrzymywali gospodarczą ruinę. Wałęsa jest za to na mszy celebrowanej przez coraz bardziej brzuchatego prałata Jankowskiego. Ten skompromitowany, faszyzujący ksiądz, nie przeszkadza Wałęsie, przeszkadza mu w stoczniowej sali BHP Krzaklewski, bo to konkurent.

Najsmutniejsze, że chyba po „Solidarności” nie zostanie zaden mit. Nie powstała książka, wiersz, ani jeden film, który w pięknej formie przekaże co było ciekawe i ważne w tamtym czasie. Dzisiaj nazwa „Solidarność” to źle redagowany i czasami głupi tygodnik, to radykalne, populistyczne programy i protesty, to Wrzodak. Kiedyś nazwa „Solidarność” weszła w nasze serca i poleciała w świat. A ta zwykła, ludzka



solidarność była zjawiskiem powszechnym, też w stanie wojennym. To rzadkie zjawisko w swojej skali, nie tylko w naszej historii, powszechność bliskości ludzi tak od siebie różnych. Nie przypadkiem moje podziemne pismo drukował i poszedł za to siedzieć człowiek, który jest mi dzisiaj równie obcy co generał Kiszczak. Za ten odruchowy kompromis solidarności trzeba było potem zapłacić wysoką cenę. To zwielokrotniło późniejsze konflikty, ich emocje mają wymiar konfliktów po katastrofie rozvodu. Ale mimo wszystko, Polska po tamtych doświadczeniach ma elitę, która jest skłócona, czasami niemądra, ale to ona zbudowała naszą demokrację, która okrzepła i nieźle sobie radzi. Tego nie miała i nie ma Rosja.

Zmarł Zbigniew Herbert. Moje pierwsze wspomnienia sięgają dzieciństwa. Nazwisko Herbert brzmiało z angielska i podobało mi się. Bywał już wtedy u rodziców, poezję ojca cenił wysoko, wiele wierszy znał na pamięć. Pamiętam, już po latach ich wizyty, przychodził z żoną Kasią, piękną i bezgranicznie mu oddaną. Myślę jednak, że jak większość żon wielkich artystów była piękną ofiarą. W tej przeklętej chorobie, stany depresyjne, przynajmniej tu miał szczęście! Pamiętam, jak moja matka podawała nalewkę z tarniny, niepokojąco ponętą. Kasia z niepokojem patrzyła na karafkę. Zapadło mi w pamięci potrójne urodzinowe spotkanie. Przypadek chciał, że Herbert urodził się 29 października, tego samego dnia i miesiąca co mój ojciec i Ewa, wtedy studentka polonistyki, moja przyszła żona. Były więc potrójne i trzy-pokoleniowe urodziny, karafka z nalewką, dyskusje, które dzisiaj młodym wydawałyby się kuriozalne. Jak żyć w łajnie komunizmu, jak pisać z cenzurą na karku? Prowadziłem wtedy niechlujny dziennik, nie ma tam poezji, jest szorstka proza życia. Znajduję pod datą 29 X 1973: „Spotkanie urodzinowe o godz. 19. Herbert alkoholem zalewa wściekłość, która go dławi po nieudanych próbach kupna, czy raczej ‘załatwienia’ mieszkania. Opowiada pogardliwie o wizytach u dyktatorów-urzędników. To się jednak ‘załatwiało’, robili to nawet buntownicy i nonkonformiści, takie były czasy. Złośliwie mu odmawiają. Mówi, że myśli o emigracji z Polski. Potem pełne gniewu dyskusje o konformizmie Jarosława

Iwaskiewiczza. I znowu, jak tu żyć? Sytuacja jest bez wyjścia.” (Czytając kartki mego dziennika z okolic tego spotkania, czytam, że nawet my młodzi nieustannie i maniakalnie gadaliśmy wtedy, jak beznadziejna jest sytuacja Polski i straszny nasz los). W finale spotkania śpiewaliśmy piosenki legionowe. Herbert popłakał się. Moje zdziwienie, że ten obywatel świata jest takim patriotą, notuję też trzeźwo, że pewną rolę mogła odegrać nalewka z tarniny.

Patos nie był Herbertowi obcy. To dla artysty niebezpieczne zwierzę. W stanie wojennym niemal wszyscy wpadliśmy w paszczę tego potwora. Ale On w poezji trzymał krzepko patos w cuglach. Z największej opresji ratowała go też ironia, miał poczucie humoru, świetnie opowiadał. Nic dziwnego, że będąc poetą-intelektualistą, pisał znakomite eseje. Nie tak wiele, ale wystarczy. Pisał o naszej cywilizacji, ale też o przeszłości i malarstwie, które kochał. W roku 55 Jan Błóński zauważa: „Piórem Herberta rządzi nie tyle troska moralna, ile filozoficzna. Niepokoi go bardziej zagadka świata, niż postępowanie człowieka”. Zdawało się, że po latach ta formuła świetnego krytyka nie wytrzymała próby czasu. Lecz Herbert w tym roku publikuje wybór „89 wierszy”, gdzie nie przypadkiem „Przesłanie Pana Cogito” jest przedostatnie, a tom zamyka doskonały wiersz „Kamień” ze słowami „Kamień jest stworzeniem/doskonałym”.

Okruszki wspomnień są zwykle przypadkowe, zależy gdzie wiatr osadzi pyłki pamięci. Spotykamy się, wie, że zacząłem pisać wiersze. Jego szczere współczucie: „pisanie wierszy to właściwie śmieszne zajęcie i prędzej czy później bardzo boli”. Miał rację. Kiedy indziej, ale jeszcze przed „Solidarnością”, chyba w Konstancinie, rozmawiamy jak żyć w zaduchu gnijącego PRL-u. Mówił wtedy, że „nawet picie wody z kranu jest jakąś formą współpracy z komunistami. Jesteśmy w sytuacji groteskowej i niemożliwej”. (Dla historyka cywilizacji, ciekawy przypis – wtedy pito jeszcze wodę z warszawskich kranów). Pierwsze dni stanu wojennego. Jestem wyrzucony z orbity życia, nie mieszkam w domu. Jeszcze nie wiem, że tak będę krążył objijając się o ściany tego miasta przez rok, a potem przez lata żyć będę w domu bez drzwi. W tych mroźnych dniach, ze skrawkami zamrożonej duszy, z wielkim mozołem, z rozpaczą, wiążemy pierwsze nitki



konspiracji, bez wiary w zwycięstwo, ale na śmierć zdeterminowani. Pamiętam te pierwsze tajne spotkania i przemożną chęć by położyć się do łóżka. I raz na zawsze przykryć kołdrą. Ale słyszałem wtedy słowa Herberta z „Przesłania Pana Cogito”, ostatnie słowa z tego wiersza: „Bądź wierny. Idź”. W tych pierwszych dniach zamknięte były liczne sklepy i niemal wszyscy znajomi, otwarta była za to księgarnia przy Belwederskiej. Dla kogoś kto stracił niemal wszystko, książki były jak tysiącletni ogród. Krążyłem po tym ogrodzie, rozbitek, wchodziłem w okładki, chowałem się między słowa, i wtedy nagle spotkałem Herberta. On też rozbitek, krążył. O czym rozmawialiśmy? Raczej o czym serdecznie milczeliśmy? Gdy zostało zniesione, co było nie do zniesienia, czyli stan wojenny, przechodziłem ulicą Promenady. Ktoś rzucił mi w plecy delikatny kamyk mojego imienia. Stał w oknie, zaprosił do domu. Rozmowy wtedy były znowu według bliźniaczych scenariuszy, najeżone kłami polityki. Byliśmy my i oni. I dwa kolory, czarny i biały. Widział słabość literatury stanu wojennego, ale też siłę niezależnego słowa. Sam jednak nie padł ofiarą emocji, które zabijały sztukę. Dał mi chyba wtedy wiersz do druku do *Wezwania* – podziemnego pisma, które redagowałem, pt. „17 IX”, zaczyna się od słów: „Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeżdźco/a droga, którą Jaś i Małgosia dreptali do szkoły/nie rozstąpi się w przepaść”. Ten piękny utwór kończy się słowami: „by ci co po nas przyjdą uczyli się znowu/najtrudniejszego kunsztu – odpuszczania win”. Tak, to najtrudniejszy kunszt. Jak więc to możliwe, że to właśnie Jemu w latach 90-tych, zabrakło tego kunsztu. Zatakował brutalnie tak wielu przyjaciół, kolegów, którzy w czasach stalinowskich, rzeczywiście robili rzeczy moralnie zdumiewające. Ujawniły się tłumione przez lata pretensje. Herbert należał do nielicznych, którzy wtedy nie sprzedali swej duszy diabłu; z wiary, ze strachu, dla pieniędzy czy sławy. Pisał w wierszu: „lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku/Tak smaku...(...)”. Ta „potęga smaku” weszła do naszego moralnego języka. Ale czy sam nie przekroczył granicy smaku, gdy już w latach 90-tych da się użyć jako młot na polskich intelektualistów? Wolę „Zniewolony umysł” Miłosza i Jego próbę zrozumienia tego zjawiska, tłumaczenia go czarną wiarą, ideowym cynizmem, namiastkami religii... niż

Herberta jako surowego sędziego. To prawda, był jednym ze szlachetnych wyjątków tamtego czasu, tak nielicznych, że ta wyjątkowość jest niebywałym przywilejem, którego nie wolno było trwonić. I przecież sam Herbert, chociaż niezwykle prawy, dobrze pamiętam, że nie znosił świętych. O ludzkich słabościach mówił, jak o darze nieba, sam nie był od nich wolny, chociaż pełen surowej etyki. Namiętności i surowość, oto piekielna, ale twórcza kondycja. Ale Herbert jako autor *Gazety Polskiej*, pisma gdzie gwałcono wszystkie zasady dobrego smaku? Uderzała nie tylko ostrość ataku Herberta na kolegów za stalinizm, a też niebywały atak na swego przyjaciela Czesława Miłosza. Miłosz jako słabo piszący po polsku, morderca intelektualny. A Miłosz to po czasie zrozumiał i wybaczył. On, który nie wybacz! Herbert po roku 89 trafnie zauważył: „Kiedy opadła groza, pogasły reflektory, odkryliśmy, że jesteśmy na śmietniku w bardzo dziwnych pozach”. Problem, że jego głos, człowieka o nieskazitelnej biografii, autora genialnych wierszy, zamiast „uczyć mądrego odpuszczania win”, utwierdzał skrajną prawicę, że gardła należy przegryzać. Czyli zamiast wyjaśniać nasz pogmatwany świat, począł go jeszcze bardziej gmatwać i zaciemniać. Próbując zrozumieć dlaczego, w krajowej prasie – może za wcześnie, za szczerze – wspominałem o chorobie Herberta, która nie zmienia istoty charakteru, ale wyostrza emocje. Czy teraz tego nie żałuję? Może trzeba było przemilczeć lub poczekać. Ale jak spokojnie patrzeć jak prasa narodowo-katolicka bierze Herberta do swego obozu. Jego, który pisał: „od urodzenia niemal zaszczepiony byłem przeciwko wszelkiej ksenofobii”. Tłumacząc skrajne wypowiedzi Herberta okresowymi stanami depresji, oczywiście stałem się śmiertelnym wrogiem neo-endecji, potraktowali to jako brutalną próbę odbicia im ich człowieka. Biedacy mają to i owo, ale nie mają intelektualistów i pisarzy. Mam gdzieś nienawiść narodowego bęcwałstwa, jest tylko problem z własnym sumieniem. I tak naprawdę teraz ważne są już tylko jego wiersze i eseje. One uczą tego co najlepsze.

Czytam kilka książek, kilka tysięcy stron, piszę przez dwa tygodnie tekst, opublikowany w prestiżowym tygodniku. Otrzymuję wynagrodzenie w wysokości 200 zł. Kiedy oglą-



dam z pewnym rozrzewnieniem ów rachunek, do drzwi puka hydraulik. Wezwałem go, bo piecyk gazowy począł mi się zapalać jak nadepnięta mina przeciwpiechotna. Znam go od lat, nie jest oszustem, łysy olbrzym, z imponująco zaokrąglonym brzuchem. Jest znowu sam. Miał przez lata współnika, małego, cherlawego. Wyglądali paradoksalnie. A suma ich inteligencji nieznacznie przekracza rozum chomika moich sąsiadów z parteru. Obserwuję od lat ich rozwody i zejścia się. Teraz znowu jest rozwód. Hydraulik chociaż rozwiedziony, nabył telefon komórkowy. Duch naszego czasu to komórkowy telefon. Śmieje się głupkowato, mówiąc, że wszystkie piecyki w okolicy rozregulowały się, bo miasto puściło za dużą dawkę gazu. Oświadcza: „Panie, to jest generalka” (domyślam się, że chodzi o remont generalny). Ale dla Pana zniżka, Pan stały klient... 200 zł!!!”. Śpieszyło mi się, więc zrobił mi „generalkę” w pół godziny. Przez te pół godziny jak zwykle opowiadał, jak to powinno się bandziorów publicznie brać na tortury. Ten olbrzym od lat umiera ze strachu, że padnie ofiarą napadu. Daję mu te 200 zł, które zarobiłem w pocie czoła, czytając kilka tysięcy stron i przez ponad tydzień wyciskając z nich kilka stron dla tygodnika. Pisanie było zajęciem upokarzającym w czasach cenzury, miało swój bezinteresowny triumf w czasach drugiego obiegu, a dzisiaj znowu upokarza. To jeden, tylko jeden z kilku powodów dlaczego w Polsce jest całkowity upadek krytyki literackiej, dramatu, tak kiepsko z powieścią.

Nazajutrz u stomatologa, za kilka drobnych reparacji płacę 420 zł. Ale tu przynajmniej błękitnooka dentystka ciężko pracuje używając nowoczesnego sprzętu. Czyli hydraulik, stomatolog, plus comiesięczne, skromne opłaty za mieszkanie, telefon itd. dają sumę ponad tysiąca zł. Tyle wynosi dzisiaj przeciętna pensja, a emeryci dostają czasami po 500 zł emerytury. Oto dlaczego tak wielu Polaków uważa, że nasza wolność, demokracja, nasz wyraźny szybki rozwój, to jest katastrofa. W popularnym radio-maryjnym *Naszym Dzienniku*, czytam list: „Bo jesteśmy jak te owce przerażone i zagubione. Znikąd nie widać ratunku, a wszędzie wrogów, zło i zdradę”. Piszę te przerażone słowa małżeństwo Tadeusz i Barbara Czerwińscy. Ratunek widzą w Matce Boskiej. Ale wątpię czy Maryja finansowo wspomocze małżeństwo Czerwińskich. Idę

o zakład, że to są emeryci, kto wie, może im też rozregulował się gazowy piecyk. Na stomatologa już ich nie stać, ale może Bóg zabrał im już zęby i mają to z głowy.

Po 30-tu latach znowu razem moja klasa. A Basia robi nam zdjęcie. W błysku flesza rozmazują się nasze twarze. Krzys ma nagle brzuch, za to gdzieś zgubił swoją czuprynę. Jest niepodobny do poznania. Jak my wszyscy, mniej lub bardziej. Udajemy jednak, że nic się nie stało. Jesteśmy zaskakująco naturalni w tych trudnych rolach. Niektórzy przyprowadzili swoje dzieci, jakby poprawione, bardziej doskonałe kopie samych siebie z młodości. Są od nas o 10 cm wyżsi, ładniejsi, bardziej zadbani. Kilka osób przyjechało z odległych krajów. B. mieszka w Szwecji, w szpitalu przyjmuje ofiary samochodowych wypadków. A więc pracuje na granicy ostateczności. Nie mam jednak poczucia, że wie o życiu i śmierci więcej niż ja. Jest dyrektor departamentu, właścicielka kwaciarni, okulista, naukowcy, urzędnicy, gospodynie domowe, długo by wliczać. Wszystkie możliwe zawody, sukcesy i klęski życiowe. Ale patrząc na nich, widzę, że wszyscy radzą sobie lepiej niż przed laty, myślą rozsądnie. I świetne są nasze dzieci.

Wiesiek to wielki biznesmen. Bardzo zmęczony, mówi o bezsensie takiego życia dla pieniędzy, bez chwili na refleksję z którego nie ma właściwie żadnej przyjemności. Pytam go o politykę. Mówi: „dla mnie teraz ważna jest poprawa drogi do mojej willi pod Warszawą”. Tak, to też znak czasu. Zaczynamy myśleć nie kategorią własnego tyłka, krzesła i pokoju w którym siedzimy, ale drogi dojazdowej. To jednak jest postęp.

*Tomasz JASTRUN*



## Generał Lebieď żąda decentralizacji Rosji

Oddalony od Moskwy o cztery tysiące kilometrów Krasnojarski Kraj na Syberii jest największą prowincją Rosji. Jego terytorium równa się powierzchni 15-tu państw członków Unii Europejskiej. Przed kilkoma miesiącami na gubernatora w Krasnojarsku został wybrany ex-generał wojsk spadochronowych, były dowódca oddziałów interwencyjnych w Afganistanie, komendant 14. armii rosyjskiej w Transnistrii, sojusznik, a następnie przeciwnik Jelcyna, twórca rozejmu pokojowego w Czeczenii – Aleksander Lebieď. Ex-generał nie ukrywa, że w roku 2000 będzie się ubiegał o stanowisko prezydenta Rosji. O swoich poglądach Lebieď wypowiada się w rozmowie z Bohdanem Osadcukiem.

**BOHDAN OSADCZUK:** – *Panie generale, może pomówimy najpierw o dzisiejszym kryzysie w Rosji, jego przyczynach i skutkach?*

**ALEKSANDER LEBIED':** – Sytuacja Rosji jest fatalna. Ale Zachód – który wygrał zimną wojnę ze Związkiem Sowieckim – też nie ma się z czego cieszyć. Przecież diabli wzięli gospodarkę rynkową, która właściwie istniała tylko na papierze. Nie można siłą narzucać obcych modeli rozwoju krajom i narodom do tego zupełnie nieprzygotowanym. Należy uwzględniać tradycję, kulturę, stopień dojrzałości społecznej. Cały proces rzekomej prywatyzacji w Rosji był ogromnym oszustwem. Wzbogaciła się na nim stara nomenklatura i mafia, które do spółki rozgromiły majątek i dorobiły się wielkiej fortuny. Gospodarkę rynkową, a raczej jej karykaturę, pożarła korupcja. Z Rosji wywieziono niesamowite sumy

kapitałów. Istnieją tylko cyfry szacunkowe, które oscylują od 240 do 600 miliardów dolarów. Pewnego dnia trzeba będzie stworzyć takie warunki, aby przynajmniej część tych kapitałów wróciła do Rosji.

Rosja potrzebowała innego modelu modernizacji. Takiego jak to było w Japonii. Naród rosyjski stał się obiektem a nie subjektem reform. Młodzi reformatorzy złożyli ciężary reform na plecy zwykłych ludzi. Wszystko utonęło w kieszeni kryminalnych struktur.

**B.O.:** – *No dobrze, ale przecież powstały struktury demokratyczne, uchwalono konstytucję, istnieje parlamentaryzm?*

**A.L.:** – Demokracja w Rosji nie istnieje. Istnieje reżym nomenklatury. Prezydent Jelcyn to aparatczyk z krwi i kości. Przecież dawny sekretarz komunistycznej partii w Swierdłowsku, później w Moskwie, zastępca członka Politbiura, nie mógł się nagle stać demokratą. Mieliśmy konstytucję stalinowską, potem breżniewowską a teraz jalcynowską. Trzeba zmienić tę antidemokratyczną konstytucję i dokonać przede wszystkim gruntownej reformy administracji.

Naród stracił zupełnie zaufanie do władzy. Stał się pasywnym i nie ma nic do powiedzenia. Ale wszystkie kryzysy szczególnie u nas są najeżone niebezpieczeństwami. Z jednej strony żerują na tym komuniści, którzy już raz przegrali swoją szansę. Czyhają też radykalni nacjonaści, a nacjonalistyczna droga byłaby kolejnym nieszczęściem dla Rosji. Nie można do tego dopuścić.

Naszym nieszczęściem jest też rozpolitykowanie armii. Polityka w koszarach to wielkie niebezpieczeństwo. Wiemy czym się to skończyło w 1917 roku. Ale wszystkie obietniki Jelcyna na temat reformy sił zbrojnych skończyły się fiaskiem. Ja wiem o czym mówię. Politycy nie śmia wciągać armii w polityczne sprawy.

**B.O.:** – *A jaka być powinna przyszła Rosja? Niektórzy pomawiają Pana o dyktatorskie zapędy, sympatię do generała Pinocheta.*

**A.L.:** – Bzdury. Model Pinocheta może pasował do Chile.



W Rosji byłyby kompletnym nieporozumieniem. Owszem ja sobie życzę silnej Rosji, ale pokojowej, gotowej do wszechstronnej współpracy z zagranicą. Jako były komandos wiem co to jest wojna. Rosja nie śmie więcej wojować.

Musimy dokonać gruntownej decentralizacji. Moskwa to nie Rosja, a Rosja to nie Moskwa. W ciągu trzech miesięcy, odkąd jestem gubernatorem w Krasnojarsku otrzymałem z Moskwy 4 % tych pieniędzy, które się należały zarządzanej przeze mnie prowincji. Musiałem pozawierać umowy z innymi prowincjami, uruchomić własne dochody z przedsiębiorstw. Trzeba położyć kres moskiewskiemu centralizmowi. Punkt ciężkości reform musi być przeniesiony z centrum moskiewskiego do poszczególnych regionów. Rząd centralny nie powinien nam przeszkadzać w realizacji naszych lokalnych przedsięwzięć. Regiony muszą sobie wzajemnie pomagać. Grozi nam głód. Rosja, a szczególnie Syberia, została nawiedzona straszną posuchą.

Musimy przeprowadzić prawdziwą prywatyzację ziemi uprawnej. Trzeba chłopom dać prawo na własność, na swobodny obrót ziemią. Należy zreformować absurdalne taryfy za przewóz towarów z regionów do Moskwy. Jeżeli na przykład wyprodukowanie jakiegoś artykułu kosztuje jeden rubel a koszty transportu dziesięć, to trudno mówić o gospodarności. Ja na przykład noszę się z projektem uruchomienia nowego szlaku lotniczego ponad północną Syberią. Zmieniłoby to radykalnie ruch lotniczy pomiędzy Rosją i Ameryką, a Syberii przyniosło dodatkowe dochody.

B.O.: – *A jak się Pan zapatruje na przyszłość stosunków między Rosją i Ukrainą?*

A.L.: – Kiedy mnie pytają czy jestem nacjonalistą – odpowiadam: po ojcu ukraińskim, a po matce – rosyjskim. Ale bez żartów uważam, że Rosja powinna szanować wszelkie atrybuty państwowej suwerenności Ukrainy a jednocześnie ściśle z nią współpracować. Mamy wiele wspólnego z historią, jest wiele związków rodzinnych. Na Ukrainie mieszka 12 milionów Rosjan, a w Rosji pięć i pół miliona Ukraińców. Winni mieć równe prawa.

Rozmawiał Bohdan OSADCZUK

## Prakseologia

Z górą dziesięć lat temu wybitny prawnik szwedzki, profesor Brita Sundberg-Weitman wydała książkę o narastających zagrożeniach państwa prawa. Rozdział trzeci tej książki poświęcony był stanowieniu praw. Zdaniem autorki, w Szwecji od początku lat siedemdziesiątych pojawiła się tendencja stanowienia praw na nadmiernie wysokim stopniu abstrakcji, zalecających, że wszystko w danej dziedzinie ma być dobrze, a stosowne władze mają tego dopilnować. Tego rodzaju prawa, na domiar złego z reguły pozbawione przepisów wykonawczych, dawały urzędowi możliwość ich woluntarystycznej interpretacji i nie dawały obywatelom niezbędnej ochrony przed nadużyciami władzy. Widoczne to było w szczególności w sądach, gdzie – jak pisała Brita Sundberg-Weitman – „brak klarowności prawa oraz jednoznacznych przepisów wykonawczych prowadziły do tego, że woluntaryzm władz zastępowany był przez woluntaryzm sędziów”.

Rozważania Brity Sundberg-Weitman przypominały mi się w związku z alarmami polskich prawników, którzy niedawno zwrócili uwagę na fakt, że na niecałe cztery tygodnie przed wejściem w życie nowego prawa karnego z sześćdziesięciu rozporządzeń wykonawczych, które miały być opracowane, Ministerstwo Sprawiedliwości nie wydało jeszcze ani jednego. Wcześniej Najwyższa Izba Kontroli przeprowadziła specjalne badania i stwierdziła, iż wiele obowiązujących przepisów prawnych często przez całe lata nie ma żadnych przepisów wykonawczych. Rekord osiągnęło Ministerstwo Kultury, które przez 35 lat nie zdołało opracować przepisów wykonawczych do uchwały na temat odszkodowań za zwłokę



w pracach budowlanych z powodu wykopalisk archeologicznych.

Same przepisy prawne uchwalane przez Sejm spotykają się bardzo często z uzasadnionymi zarzutami braku konkretności, wewnętrznych sprzeczności, przenoszenia na grunt sformułowań prawnych języka pobożnych życzeń. Winę za ten stan rzeczy składano czasami na to, iż wśród posłów jest zbyt mała ilość zawodowych prawników. Istotnie, w wielu krajach zachodnich studia prawnicze są bardzo częstym przygotowaniem do kariery politycznej i prawnicy są dominującą kategorią zawodową wśród kandydatów na posłów. Nie jest to jednak i nie powinno być jedynym wyjaśnieniem marnej jakości praw stanowionych przez Sejm. Politycy z wyboru muszą zawsze odwoływać się do pomocy zespołów specjalistów i jest to z jednej strony pytanie o to, na ile wybrani politycy są skłonni są respektować formalne wymogi jakie muszą być stawiane uchwalanym przez nich przepisom prawnym, z drugiej zaś, jaki poziom reprezentują owe zespoły specjalistów.

W ostatnim okresie byliśmy świadkami zadziwiającej wręcz nieudolności przygotowywania zmian prawnych. Mam tu na myśli reformę terytorialną. Zapewne przede wszystkim pod adresem specjalistów możemy mieć pretensje o to, że jej przygotowanie można uznać za skandaliczne. Prezentację założeń oraz przygotowanie publicznej debaty na temat podziału zadań i kompetencji między gminą, powiatem i województwem oraz na temat zmian w systemie podatkowym i zmian w systemie finansowania samorządu, projektodawcy odłożyli sobie do czasu rozstrzygnięcia sporów o ilość województw. Poziom ogólności prezentowanych projektów zakrawał na kpinę zarówno z polityków, jak i z wyborców. Zrobiono symulację na temat tego jakie konsekwencje może mieć zmiana okręgów wyborczych, ale nic nie słyszeliśmy o symulacjach na temat możliwych zmian, jakie reforma terytorialna będzie miała na system finansowania samorządu, ani na podział zadań między gminą i powiatem. Kompromitacja jest tak ewidentna, że przypisuje się jej główny (choć z pewnością nie jedyny) wpływ na gwałtowny spadek poparcia dla obecnej koalicji. Autorzy projektu tej reformy oraz politycy z koalicji wszelkie zarzuty merytoryczne traktują jak ataki polityczne i nawet nie myślą się zastanawiać nad pytaniem, czy

przypadkiem kabaretowy wręcz przebieg tego reformowania nie jest wynikiem ich niekompetencji.

Czy istnieją w Polsce fachowcy, którym powierza się przygotowanie logistyki takiej czy innej reformy, czy też wszystkie reformy przygotowywane są na zdrowy profesorski, a następnie ministerialny rozsądek? Pojawia się tu również pytanie, czym właściwie różni się opracowanie projektu reformy od memoriału przygotowanego przez autorytety naukowe? Otóż ten pierwszy jest przygotowywany na zamówienie władz (lub opozycji) i ma obowiązek zawierać odpowiedź na szereg pytań takich jak: jakie są różne techniczne możliwości zrealizowania celów wyznaczonych przez polityków, jakie są koszty wyboru różnych opcji działania, jakie są zagrożenia przy różnych wyborach, co trzeba zrobić, aby pozyskać dla projektu maksymalne poparcie społeczne, jakie prace przygotowawcze poprzedzić muszą prezentację projektu reformy na forum ciała ustawodawczego. Projekt architektoniczny domu ma bardzo konkretne wymogi i jeśli nie są one spełnione, zostaje on odrzucony. Tymczasem prezentowane rządowi różne projekty reform bardziej przypominają preambułę do konstytucji niż projekt techniczny. Stylistykę kierowanych do rządu nie zamawianych memoriałów nieodmiennie charakteryzuje bardzo niski stopień konkretności i brak zainteresowania technicznymi problemami wdrożenia takiego czy innego pomysłu. Z takiego memoriału możemy się dowiedzieć, że np. „edukacja jest niezbędna”, że „musi wychowywać człowieka zdolnego do funkcjonowania w nowej cywilizacji informacyjnej”, że „może być aktywnie wykorzystywana do walki z bezrobociem”. Tego rodzaju memoriał może uświadomić rządowi, że istnieje potrzeba „zasadniczego zwiększenia roli edukacji, pojmowanej szerzej niż jako system szkolny...” i że wymaga to „kształcenia charakterów, a nie tylko wiedzy, i zasadniczego zwiększenia kulturotwórczej roli edukacji”. Memoriał może również proponować przeniesienie akcentów (np. ze szkół zawodowych na szkoły ogólnokształcące, co było już setki razy postulowane przez różne środowiska, i co znalazło odbicie w kilku kolejnych projektach reformy szkolnictwa, ale zawsze można taki postulat powtórzyć). Może również zawierać postulat „upowszechnienia wyższego wykształcenia” (co z pewnością



jest ze wszech miar słuszne) jak również zaproponować, aby docelowo 1/3 populacji czynnej zawodowo była objęta stale doskonaleniem swych kwalifikacji.

W tego rodzaju memoriale nie od rzeczy byłoby stwierdzenie, że „ważnym zadaniem jest również kształcenie na poziomie doktorskim”, jak również podkreślenie, że „najważniejszym elementem systemu edukacji narodowej jest nauczyciel”.

Wszystkie powyższe cytaty zaczerpnięte zostały z jednego memoriału Komitetu Prognoz Polskiej Akademii Nauk. Mógłby mnie ktoś posądzić o tendencyjne i złośliwe wyrwanie z kontekstu kilku banalnych stwierdzeń rozsianych na wielu stronach podpartego głęboką analizą stanu obecnego rzeczowego projektu zmian w polskim systemie edukacji. Obawiam się, że nie jestem tu ani złośliwy, ani tendencyjny, a co gorsza, że memoriał ten nie odbiega swoim poziomem od setek tego rodzaju dokumentów wpływających do kancelarii premiera RP oraz, że znaczna część zamawianych przez rząd opracowań mających służyć przygotowaniu częściowych reform utrzymanych jest w tym samym duchu.

Polska Akademia Nauk jest instytucją, której sama nazwa powinna wzbudzać najwyższy szacunek, przegląd publikacji wydawanych pod egidą PAN nasuwa tu jednak sporo wątpliwości oraz podejrzenie, że wiele tekstów ukazuje się pod firmą PAN bez żadnej kontroli lub, że poziom recenzentów jest bardzo wyrównany. Szacowny nagłówek takiego czy innego memoriału chronić ma przed możliwością głośnego powiedzenia, że król jest nagi, jak również być gwarancją, że odpowiednio duża liczba polityków, urzędników i dziennikarzy poświęci swój czas na jego studiowanie.

Zaniepokojenie wzbudza zarówno podaż, jak i popyt na „autorskie” programy reform. Wielu polityków jest przekonanych, że wystarczy znaleźć znajomego fachowca, a on nam stosowny projekt zmian w skali państwa przygotowuje. Co więcej, wielu fachowców jest głęboko przekonanych, że mogą takie zamówienia przyjmując, względnie przygotowują tego rodzaju opracowania bez zamówienia. Efekty tej radosnej działalności są właśnie takie jak przy okazji reformy terytorialnej.

W dyskusjach na temat przebiegu dotychczasowych reform w Polsce nieodmiennie pojawia się stwierdzenie, że źródłem powodzenia są nie tyle nowe rozwiązania systemowe,

ile likwidacja starych ograniczeń i niezdolność nowej władzy (wszystko jedno której) do wprowadzenia w życie swoich pomysłów. Rozwój oparty na inercji władzy ma jednak swoje ograniczenia. Pojawiają się również pytania, dlaczego wdrażanie reform w życie natrafia u nas na tak poważne problemy? Jednym z wyjaśnień mógłby być brak samorządowej tradycji, a więc z jednej strony długa tradycja wyłącznie teoretycznego naprawiania świata (która głęboko przeniknęła polskie nauki społeczne), z drugiej całkowity brak nawyków w dziedzinie dobrowolnej koordynacji działań zbiorowych, wieloszczeblowych negocjacji i poszukiwania konsensusu. Interesującym epizodem w najnowszej historii Polski były wiejskie komitety telefonizacyjne (epizod zasługujący na swoją monografię). W warunkach miejskich rodzenie się wzorców dobrowolnej koordynacji zbiorowej jest szczególnie trudne, ale również tu widzimy ich załączki w różnych komitetach osiedlowych. Chwilami odnosi się wrażenie, że koordynacja działań na różnych szczeblach władzy jest jeszcze obietnicą odkładaną na przyszłe stulecie.

Szwedzi, w odróżnieniu od np. Włochów, należą do społeczeństw charakteryzujących się dużą zdolnością dobrowolnej koordynacji działań zbiorowych. Mój podziw dla ich zdolności organizacyjnych pozbawił mnie kiedyś szansy pracy w instytucie mieszczącym się w pięknym ogrodzie z oknami wychodzącymi na stare grusze. Szefem instytutu był serbski fizyk atomowy, Stefan Dedijer, który w młodości był bliskim współpracownikiem profesora Nielsa Bohra oraz szpiegiem pracującym równocześnie dla Tito i Rosjan, a następnie dla Amerykanów. Kiedy go poznałem, Stefan Dedijer zajmował się już tylko socjologią i zaproponował mi wspólne napisanie artykułu do szwedzkiej encyklopedii na temat kooperacji. Pomysł artykułu Serba i Polaka informującego Szwedów, co to jest współpraca, tak mnie niestety rozbawił, że nic z naszej kooperacji nie wyszło. Czasem mówienie, że król jest nagi może zaszkodzić, zaś zamierzony skutek przynosi chyba tylko w bajce.

A co to jest prakseologia? Prakseologia to dobra rzecz i to już nie socjalizm przeszkadza nam w jej stosowaniu.

*Andrzej KORASZEWSKI*



Najdziwniejsze, że osoba adresatki kojarzy mi się dziś, wprawdzie pośrednio, ze szpitalem Broussais. Piętnaście lat przed napisaniem tego listu spostrzegłem ją na rynku Starego Miasta czekającą na kogoś w towarzystwie drugiej młodej kobiety. Witając się z nimi nie przeczuwałem, że jedna z nich odegra po latach ważną rolę w moim życiu. Właśnie ta druga kobieta.

Kiedy po mszy na Surcouf ból nie ustąpił do rana, pojechaliśmy do kliniki Geoffroy Saint-Hilaire, gdzie zrobiono mi USG brzucha. Lekarz stwierdził, że mój woreczek żółciowy jest wypełniony kamieniami. Prosiłem o środek uśmierzający ból, odmówiono mi go jednak: – Damy panu zastrzyk, jeżeli pan u nas zostanie. – Wróciliśmy do domu. M. zaczęła telefonować do znajomych i nagle przypomniała sobie, że niedawno zobaczyła na ulicy Rivoli panią D.H. Opowiedziała M., że przed tygodniem wyszła ze szpitala Broussais, gdzie znakomity chirurg profesor Alexandre usunął jej woreczek żółciowy. Pani D.H. była tą drugą kobietą, która stała z moją adresatką na rynku Starego Miasta.

Gdyby położyć obok siebie dwa zdjęcia – jedno przedstawiające hrabiego Paryża, drugie profesora Jean-Henri Alexandre'a – i zapytać, który z nich jest pretendentem do tronu Francji, z wszelką pewnością każdy wskazałby na eleganckiego pana w ciemnoszarym garniturze; lecz jego pacjenci natychmiast rozpoznaliby w nim szefa chirurgii gastrologicznej w szpitalu Broussais. Ludzi prawdziwie wytwornych nie rozpoznaje się po ubiorze – człowiek wytworny nawet na plaży nudystów wyróżniałby się elegancją ciała. Profesor Alexandre był jednym z najwytworniejszych mężczyzn, jakich zdarzyło mi się spotkać; jego wytworność zaczynała się od prostych, wysokich nóg o wąskich stopach i tworzyła szczupłą, lekko pochyłą sylwetkę, narysowaną cienką kreską i zakończoną mądrym uśmiechem.

Operacja, dokonana bezzwłocznie, wykazała, iż mój woreczek żółciowy nie tylko że nie był wypełniony kamieniami, ale w ogóle prawie nie istniał, do tego stopnia przeżerała go gangrena. Profesor stał przy moim łóżku, kiedy się obudziłem. – Miał pan szczęście, to była jedna z najtrudniejszych operacji w mojej praktyce. Teraz będą odchodzić gazy. –

## Broussais

W starych papierach znalazłem kopię mojego listu pisanego dziesięć lat temu. Nie do wiary, że w podeszłym wieku można być tak zalotnym:

„... dzięki za list z miłą naganą. Wyboksowała mnie Pani bardzo delikatnie. Mógłbym Panią nazwać, jak w swoim czasie po recenzji w *Kuźnicy* nazwała mnie Nałkowska w dedykacji: 'najłagodniejszemu z moich pogromców'. Przepraszam, że opisałem tylko cząsteczkę Pani uroków. Czy przyjedzie Pani kiedyś jeszcze do Paryża po tak bolesnych doświadczeniach? U nas po dawnemu, przybyła tylko nowa kanapa i esej o Gidzie, a właściwie o pewnej inteligentnej pani, u której mieszkał i zrobił córkę jej córce. Poza tym dużo wiadomości o Polsce od ludzi stamtąd i stąd (coraz więcej tam się jeździ). Opisy na pewno dobrze Pani znane. Najbardziej niepokoi dziura w życiu kulturalnym, wessanie spraw i ludzi przez politykę, upadek wydawnictw, marność filmów. Może to się kiedyś odrodzi, tylko kiedy? Patrzą ze swojego podwórka; emeryt w Warszawie czy Garwolinie przeżywa gorsze dramaty, to prawda. Ale pisarz, sama czynność pisania, musi walczyć ze zmorami samotności i bezużyteczności, więc nieraz jest ciężko. Tym bardziej, że piszę – nawet jeśli o Wildzie lub Gidzie – dla polskich inteligentów, a podobno ludzi tego rodzaju, czyli inteligencji w moim rozumieniu, prawie już tam nie ma. Może w Krakowie?

Z niecierpliwością czekam na Pani wyjazd i powrót. I na list po powrocie.

Na razie tylko całuję Pani wąskie, nerwowe, drżące ręce. Proszę zwrócić uwagę na zwrot 'na razie tylko'.



wyszedł. Spałem wiele godzin, byłem już w separacie reanimacyjnej. W chwilę po wyjściu profesora do pokoju wszedł Mulat o niebieskich oczach i ogromnej kędzierzawej fryzurze. Trzymał w ręku parę dzieciennych spodenek z beżowego welwetu. Powiedział, że to prezent dla jego syna, który ma dwa lata, ale jeszcze nie jest ochrzczony. Poprosił, abym wybrał mu imię. Powiedziałem: – Dominik – i odniosłem wrażenie, że Mulat był kontent. Kiedy po krótkiej drzemce znowu się obudziłem, przy moim łóżku siedziała M. Poprawiła mi poduszkę mówiąc, że profesor Alexandre jest ze mnie bardzo zadowolony. Spytała, jak się czuję. Doskonale. Czułem się doskonale. Powiedziałem jej, że przed chwilą ochrzciłem dziecko Mulata, ale nie wiem czy dałem mu odpowiednie imię. M. przyjrzała mi się i zmieniła temat. Podobno w mieście trudno znieść upały. – Miał niebieskie oczy – dorzuciłem.

Mulat stał się dla mnie postacią zagadkową. Fakt, że z nim rozmawiałem, wydawał mi się pewny. Ale dlaczego zniknął i dotychczas się nie pokazał, dlaczego zastąpiła go Laura, niemłoda koścista pielęgniarka o cofniętym podbródku, która uparła się mierzyć mi temperaturę między pośladkami wbrew moim kłamliwym protestom, że w Ameryce to jest od dawna zakazane... Nie czułem się na solidnym gruncie. Wprawdzie mogłem zapytać kogokolwiek z personelu reanimacyjnego, co się stało z Mulatem, który pojawił się w mojej separacie, kiedy obudziłem się po narkozie, lecz byłoby to krępujące; moje szpitalne doświadczenia nauczyły mnie, że takich pytań nie należy zadawać. Ponadto czy rzeczywiście było pewne, że rozmawiałem z Mulatem? Przecież w klinice Défense zeznałbym pod przysięgą, że rozmawiałem w Belwederze z Marszałkiem Piłsudskim.

Tak, ale między jednym a drugim przypadkiem zachodziła istotna różnica. W trakcie rozmowy z Mulatem byłem całkowicie przytomny: wiedziałem, że leżę na reanimacji w szpitalu Broussais, że jestem podłączony do kroplówki i że wizyta profesora Alexandre'a także nie była przywidzeniem. Kiedy M. odjechała zrobiło mi się przykro, iż ktoś najbliższy potraktował mnie jak psychopatę. Od dnia gdy w roku 1936 podarłem z zazdrości swój własny kapelusz, po raz pierwszy nie mogliśmy się ze sobą porozumieć. Dopiero miesiąc póź-

niej M. wyznała mi, że również ona była niespokojna tego dnia. Przed południem telefonowała do profesora Alexandre'a, który jej powiedział, że nie wyszedłem jeszcze ze stanu zagrożenia i nadal istnieje możliwość komplikacji.

Nie tylko tę wiadomość M. odłożyła na później. W czasie mojej rekonwalescencji opowiedziała mi, że dla niej najcięższy był dzień rozmowy w Défense z doktorem Farkasem, kiedy ją zawiadomił, że zostanie odłączony od „żelaznych płuc”. Oznaczało to, że po wylaniu ze mnie wody i jednoczesnym wpompowaniu w moje płuca maksymalnej dawki tlenu (to wtedy dr Tesla wołała przez telefon do M.: – Będzie żył!) przedłużanie sztucznego snu nie będzie już potrzebne. Wówczas M. powiedziała doktorowi Farkasowi, iż jeśli obudzę się z uszkodzonym mózgiem, jej obowiązkiem jest go zapewnić, że nie życzyłbym sobie, aby w dalszym ciągu mnie ratować. Na co dr Farkas dał jej słowo, że taka możliwość nie wchodzi w rachubę. Czyli że nie obudzę się jako przygłup.

Anestezjologiem w szpitalu Broussais była sympatyczna lekarka. Przyjęła mnie przed operacją. Prawdopodobnie zastosowała inne środki usypiające niż anestezjolog w Défense. Majaki nie nawiedzały mnie w czasie snu, lecz na jawie. Byłem już całkowicie przytomny, kiedy wciskał mi się w uszy głos dziennikarza polskiej telewizji. W separatkach reanimacyjnych nie ma telewizorów ani radioodbiorników. Mimo to nie uświadamiałem sobie, iż ulegam słuchowemu złudzeniu. Dziennikarz przekonywał swoją rozmówczynię, że pewien rodzaj prostytucji jest w dzisiejszych czasach społecznie uzasadniony i na przykład studentka zarabiająca na utrzymanie jako *call girl* nie różni się moralnie od swojej koleżanki *baby sitter*. Nie znosiłem tego człowieka. Miał w głosie pewność siebie cwaniaka, a zarazem jakąś dwuznaczną poufność. „Pani Haneczko, zapewniam panią, że nie ma żadnej różnicy...”. Skąd mi się wzięły takie poglądy?

O tych słuchowych urojeniach nie wspominałem M. Obawiałem się, że znowu zmieni temat. Ale nie potrafiłem przed nią ukryć, że w separacie naprzeciw założono dom schadzek. – Nie masz pojęcia, co się tam dzieje. Co wieczór nagle dziewczyny wystawiają przez uchylone drzwi swoje



majteczki. Czarne, koronkowe. Wabią w ten sposób klientów, rozumiesz? Tylko nie myśl, że zwariowałem. – W tym momencie w drzwiach podejrzanej separatki ukazała się moja brzydka pielęgniarka Laura. M. zaczęła się śmiać. Nie upłynął kwadrans od jej wyjścia, kiedy drzwi separatki znowu się uchyliły. Młodziutka, zupełnie rozebrana dziewczyna uśmiechając się do mnie wysunęła przez szparę trójkącik z czarnej koronki.

Prawie każdy pacjent w mojej sytuacji zwróciłby się do profesora lub anestezjologa z prośbą o wyjaśnienie tego fenomenu. Czy miał coś wspólnego ze spirytyzmem, czy też był normalnym objawem po zastosowaniu środków znieczulających. Ale ja wolałem nie wiedzieć. Czułem rodzaj przywiązania do moich halucynacji, zwłaszcza tych w klinice Défense. Bądź co bądź ubarwiały mi szpitalne życie. W pewien sposób byłem nawet z nich dumny. Marszałek podczas rozmowy w Belwederze okazał mi wiele zaufania i sympatii i, co tu dużo mówić, do dziś lubię wspominać tę noc. A śpiew kolibro-jaszczurek hołubionych przez warszawskie panie?... a gościnnosc, jaką darzono mnie w jurcie, u podnóża gór? W Défense majaki były o wiele bogatsze niż je opisałem (z obawy, że znużę albo odstraszę czytelników ich nieprawdopodobieństwem) i nie tylko pełne malowniczych szczegółów, które pominąłem, lecz nade wszystko przeniknięte osobliwą atmosferą, jak gdyby urokiem spotęgowanej egzystencji. Mój Boże, ile dałbym za to, aby po wyjściu ze szpitala móc je przeżywać na jawie...

Mówiąc o „uroku spotęgowanej egzystencji” użyłem niewłaściwego wyrażenia. Egzystencję dławią koszmary i lęki, spotęgowana egzystencja byłaby dla mnie czymś niemożliwym do przeżycia. Tymczasem w moich majakach podczas sztucznego snu istnienie było dziwniejsze i ciekawsze niż codzienność oraz pozbawione grozy. Dopiero gdy pewnego dnia obudziło mnie światło i straszne poranne *bonjour monsieur Brandys!*, dopadły mnie zmyry rzeczywistości. Mycie, golenie (młodszy pielęgniarz Armand umyślnie zostawił mi nieogolone wąsy, bo dostawał ode mnie za małe napiwki), pobieranie krwi do analizy, mierzenie ciśnienia, naciąganie elastycznych pończoch zapobiegających puch-

nięciu nóg, gimnastyka oddechowa... I najczarniejsze myśli. Rozpacz.

Tak było. Zaczęłem cierpieć, odkąd znikły obrazy moich fikcyjnych przygód. W kondycji sztucznego snu nie odczuwałem pokrewieństwa z umieraniem, mimo iż byłem umierający. Nie: to było życie. Pełne zadziwień i czarów, i jakże kolorowe. Kiedy mnie uratowali i otworzyłem oczy, świat wydał mi się bezbarwny jak kartofel. Zaraz po zmartwychwstaniu popadłem w depresję.

W Broussais przywidzenia zaskakiwały mnie najczęściej w pełni dnia, nieraz powodując konflikty z pielęgniarkami. Kiedyś poszło o gazety ze zdjęciami dowódców armii izraelskiej. Laura dyżurowała przy mnie całą noc. Rano po jej wyjściu znalazłem się w izraelskim ośrodku informacyjno-propagandowym. Na ścianach wisiały plansze z widokami budynków i krajobrazów, a w rogu umieszczono stoisko z pismami. Wśród nich dostrzegłem magazyn ilustrowany w kolorowej okładce. Widniał na niej napis po angielsku: „Dowódcy sił zbrojnych państwa Izrael” oraz fotografia pana Seifena. Drzwi na korytarz były otwarte, korytarzem przechodzili sanitariusze z opaskami Czerwonego Krzyża. Zrozumiałem, że jestem blisko frontu. Zaczęłem wzywać pielęgniarkę. Gdy zjawiła się murzyńska stażystka, wskazałem na stoisko mówiąc, że chciałbym przejrzeć magazyn z fotografiami na okładce. Stażystka wystraszyła się i uciekła. Po chwili weszła Laura z numerem *Paris Match* i strzykawką. Zanim zdążyłem się odezwać, przysiadła na moim łóżku. – W udo czy w brzuch? – Zależnie od pani upodobań – burknąłem wściekły. Było zastanawiające, że stoisko i plansze znikły.

Profesor Alexandre nadal był ze mnie zadowolony. Pojawiał się ze swoją białą switą, jak Pan Bóg z zastępem aniołów. Zwykle ograniczał się do zbadania mojego brzucha i stwierdzał, że jestem wzorowym pacjentem. Wówczas anioły uśmiechały się. Profesor zwracał się do mnie *per „monsieur l'écrivain”*. Była w tym kurtuazja pomieszana z odrobiną ironii. Wyjaśniał swojej świcie, że jestem bardzo znanym pisarzem. Anioły potakująco kiwały głowami, natomiast my,



czyli profesor i ja, wiedzieliśmy obydwaj, jak dalece jest to problematyczne.

Lubiłem te spektakle. Profesor pachniał dobrą wodą kolońską, ja byłem wzorowym pacjentem, niektóre anioły miały sporo wdzięku. Lecz gdy pytałem profesora, jak długo jeszcze pozostanę w separacie reanimacyjnej, profesor odpowiadał z enigmatycznym uśmiechem: – To kwestia dni, *monsieur l'écrivain*.

Może byłem wzorowym pacjentem, ale czułem się źle. Raz przewróciłem się w łazience. Z powrotem nawiedzały mnie myśli o śmierci i zacząłem się bać. Bałem się moich widziadeł, dopatrywałem się w nich złowróżbnych znaczeń. Kiedyś przywidziało mi się, że leżę w łóżku zmarłego kilka lat temu Kota Jeleńskiego w pustym mieszkaniu na ulicy La Vrillière. Kiedy indziej jechałem z Laurą przez bezludne miasta o kopulastych budynkach z napisami wrytymi w językach, których nie potrafiłem zrozumieć. Wszystko było tam białe, jak z kredy, i w końcu ogarnęła mnie pewność, że jedziemy przez cmentarz, a bizantyjskie kopuły to nagrobki. Wtedy zawołałem do Laury, żeby niezwłocznie skomunikowała się z M. i zawiadomiła ją, że chcę się z nią pożegnać. Laura właśnie poprawiała coś w mojej kropłowce, odwrócona do mnie plecami. – Pożegnać? – Lauro – powiedziałem – ja już wiem, że nigdy z tego nie wyjdę. – Wówczas ta brzydka, niesympatyczna kobieta pochyliła się nad moim łóżkiem i kładąc mi rękę na czole wypowiedziała kilka zdań melodyjnym, pełnym słodczy głosem: – Wszystko jest w najlepszym porządku. Dzisiaj przeniosą pana do pokoju na drugim piętrze. Może pan być zupełnie spokojny.

Profesor Alexandre wyraził zgodę, abym opuścił szpital przed 1 lipca. A zatem wakacje moglibyśmy spędzić w Polsce. Kiedy zajechał ambulans, omal nie wturlał mu się pod koła radosny liliput w spodenkach z szelkami. Gonił go Mulat w białym kitlu wołając: – Dominique! Dominique! – a z tyłu za nimi szła kobieta w ciemnych okularach. Szofer ambulansu zdenerwował się, że ludzie nie pilnują swoich dzieci, po czym kierowcy odpowiadają przed sądem. Wjechaliśmy w główną aleję szpitalną. Ambulans powoli zmierzał w stronę bramy, szofer pytał M. z jakiego kraju pochodzimy, a ja myślałem

o Laurze. Żałowałem, że tak długo byłem dla niej niemiły i że nie zdążyłem się z nią pożegnać, bo tego dnia od rana rozpoczął się jej tygodniowy urlop.

Opuszczając szpital zawsze przeżywam ulgę pomieszaną z obawą powrotu do miasta i obowiązków życia. Być może to jedna z cech wzorowego pacjenta. Tym razem czułem się lekko na duszy, przypuszczalnie dlatego, że jak się okaże nic nie wiedziałem o tym, co mnie czeka. Ale my, pacjenci, umiemy taki stan rzeczy całkiem nieźle znosić.

W domu położyłem się na kanapie i tłumaczę M., że źle wyszła za mąż. Bo są dwie kategorie pisarzy. Jedni mają poparcie środowiska literackiego, jak np. Przyboś, inni, jak Tyrmand ze swoim „Złym”, znajdują oparcie w czytelnikach. Niestety, ja nie należę ani do jednych, ani do drugich.

M. przypatruje mi się: – Wyzdrowiałeś.

– Oczywiście – mówię – istnieją jeszcze inne podziały. Na tych, którym nie można nic zarzucić oprócz braku talentu, i na tych, którym dałoby się sporo zarzucić, ale nie brak talentu. Ja...

M. wychodząc przystanęła w drzwiach. – Zdaje się, że twoja torba już rozpakowana.

Dziś postanowiłem, że w odpowiednim momencie zrobię ze sobą to samo, co doktor Farkas w klinice Défense ze mną. Przewrócę się na brzuch. Trudność będzie polegała na tym, że nie wiadomo, jak rozpoznać odpowiedni moment i czy w ogóle potrafię się na to zdobyć. Na zmianę pozycji.

Autokary między Wrocławiem a Paryżem kursują dość regularnie. W Paryżu wysiadają z nich gromady pasażerów, taszcząc walizki, toboły i plecaki. Wśród nich przewaga kobiet w średnim wieku, typ gosposi domowej (pani Wanda, pani Hania, pani Lucyna...). Są też młode osoby poszukujące w „Salonie Europy” przygód i pracy. Nie ma już natomiast gosposz dawnych przedwojennych czasów. Wymarły. W polskich domach nazywano je imionami w rodzaju małżeńsko-wdowieńskim: Antoniowa, Józefowa, Michasiowa... U Zenowiczów przez długie lata pracowała Antoniowa, która była panną z synem. Słonimski opowiadał, że w pewnej niezupełnie zasymlowanej żydowskiej rodzinie mówiło się do gosposi „niech Jadziowa”. Był to jeden z ulubionych żarcików Antoniego.



Trzy lata temu w lipcu autokar z Wrocławia przyjechał do Paryża ze znacznym opóźnieniem. Wśród pasażerów, którzy wyładowali się na placu Nation były dwie dziewczyny z plecakami. Obydwie przyjechały z miasteczka niedaleko Opolą. Zdziwiły się, że na placu tańczy wesoły tłum, data 14 lipca nie kojarzyła im się z niczym. Tylko jedna z nich, trochę niższa, zdała maturę, wyższej się nie powiodło. Obie nie wiedziały, kim był Szekspir i że ktoś taki istniał. Wiedziały jednak, iż w Paryżu jest słynna wieża Eiffla, postanowiły więc zaraz ją obejrzeć. Na placu Nation odnalazły stację metra. Poszukując stacji przesiadkowych, błądząc w podziemnych korytarzach, dojechały w końcu do placu Alma. Stamtąd poszły piechotą, bo ta niższa, która zdała maturę, stwierdziła w metrze, że na planie Paryża z placu Alma jest do wieży Eiffla niedaleko. Wyższa i cieńsza, z nieznacznym zezikiem, była już zmęczona. Usiadły na moście i wyciągnęły z plecaków kanapki. Wieżę Eiffla widać stąd było w całej jej potężnie dziwacznej okazałości.

Pod wieżą grały orkiestry. Roztańczony wir zagarnął obie dziewczyny. Tańczyły ze sobą lub z przygodnymi partnerami. O świcie, gdy już się nieco przeredziło i gasły latarnie, ta ładniejsza, z zezikiem, usłyszała w tańcu polski język. Dopiero wtedy przyszło jej na myśl, że obydwie nie mają gdzie się umyć i zamieszkać. Kiedy taniec się skończył, podeszły do nieznanego rodaka pytając, czy nie wie, gdzie w pobliżu można wziąć prysznic. Trafiły na przyzwoitego człowieka. Wytłumaczył dokładnie, jak dojechać do zakładu św. Kazimierza, który prowadzą siostry zakonne. Żadna z przyjaciółek nie wiedziała, że umarł w nim Norwid i kim był. W zakładzie św. Kazimierza umyły się, odpoczęły i przez pół roku pracowały w nim jako podkuchenne.

Podziwiałem ich odwagę. Pragnęły wyrwać się ze swego miasteczka pod Opolem, ruszyć z plecakami w nieznaną sferę i zrobiły to z dnia na dzień, jakby bez namysłu, w ślepo. Tej bardziej energicznej było na imię Bożena. Druga, wrażliwsza i szczuplejsza, nazywała się Ilona. To właśnie ona rozpakowała mi torbę po moim powrocie ze szpitala Broussais, a kilka miesięcy wcześniej przed domem na François Miron czekała z dwiema metalowymi laskami na mój powrót z Saint-Maurice, gdzie nauczono mnie chodzić. Gdy byliśmy

już na górze, zastukała do mojego pokoju. Chodziło jej o to, jak ma się do nas zwracać. – „Pani Mario” i „panie Kazimierzu” – powiedziałam.

Pięć minut później przyniosła na talerzyku obraną pomarańczę. – Panie Kazimierzu, czy pan sobie życzy zjeść tego pomarańczę? – Patrzyła na mnie swoim uważnym zezikiem. Podziękowałam: – Owszem, Ilonko. – Miała na sobie sukienkę o głęboko wyciętym dekolcie. Boże, dzięki Ci za mój wiek oddalający pokusy. Ilonka jest u nas już przeszło dwa lata, stała się częścią naszego życia. W wielorakim znaczeniu i nie wiadomo, czy jeszcze na długo, o czym w dalszym ciągu.

Zaraz po 1 lipca wyładowaliśmy w Warszawie, gdzie na lotnisku czekał zaprzyjaźniony z nami pan Henio Jagielski.

Po wyjściu z Broussais i później latem przestały mnie nękać widziadła, złudzenia słuchowe i samotność Robinsona. Jednakże w Polsce, w Oborach, miałem sen, który przez długi okres potem do mnie wracał w różnych wariantach. W tym śnie zawsze przychodził list. Na kopercie były znaczki pocztowe z jakiegoś dalekiego kraju. Nie potrafiłbym stwierdzić, czy z Kanady, czy z Australii, może z Izraela albo jeszcze skądinąd. We śnie wiedziałem na pewno, że nie powinienem go otworzyć, zanim upłynie rok. Na jednym ze znaczków pocztowych widniał profil kobiety podobny do naszej konsjerżki, pani Domingo.

Od czasu gdy generał Archambeaud zapisał jej oraz jej mężowi willę koło Dijon, po czym umarł, pani Domingo zaczęła chudnąć i blednąć. Co tydzień w środę przychodzi do nas sprzątać. Wykonuje to z zadziwiającą biegłością, tak dokładnie, że pokoje lśnią. Oboje z panem Domingo jeżdżą w końcu tygodnia do odziedziczonej posiadłości, aby naprawiać jej stare instalacje, restaurować wnętrza, oczyszczać z chwastów dziedziczyli ogród. Mówiła kiedyś, że zwłaszcza ogród wyprowadza z niej życie. Chcieliby willę z ogrodem sprzedać, lecz generał umieścił w akcie darowizny zastrzeżenie, że sprzedać będzie im wolno dopiero po dziesięciu latach. Zostali więc przykuci do swej posiadłości. Pani Domingo utrzymuje, że generał zrobił jej to na złość, ponieważ nie była dla niego taka, jak by chciał. M. przeczy: – Ależ była pani dla niego idealna! – Wtedy pani Domingo prostuje się ze szczotką



w ręku patrząc na M. z uśmiechem zadowolenia. Gdybym żył w innych czasach, nazwałbym ją duszą naszego domu. Dodałbym jeszcze, że bezinteresowna opiekuńczość oraz niesienie pomocy są potrzebami jej serca. Opiekuje się panem Noisy, który niedawno stracił żonę i jest samotny. Pani Domingo często go odwiedza, prowadzą ze sobą długie rozmowy. O życiu, o świecie. A również o literaturze. Pan Noisy pożyczył jej książki, dwie powieści Stendhala. Teraz jest tak zapracowana, że nie ma kiedy czytać, ale te książki przeczytała i lubi o nich rozmawiać. Z panem Noisy łączą ją nie tyle idee polityczne, ile pewne cechy uczuciowe. Ten łysy mężczyzna o smutnych, ciemnych oczach za szkłami ma także swe potrzeby serca. W jego życiu przejawiają się one inaczej niż w życiu pani Domingo. Niegdyś, zapewne z potrzeby serca łaknącego sprawiedliwości dla pokrzywdzonych, pan Noisy wstąpił do francuskiej partii komunistycznej. Do dziś pozostał jej członkiem. Po roku 1956, po 1968 i 1980 niezmiennie uczestniczy w sesjach komitetu dzielnicowego PCF. Postanowił być nadal towarzyszem Noisy, byłym więźniem obozu, uderzonym pałką w głowę przez gestapowca. Pani Domingo mówi o nim, że jest dobrym człowiekiem i że nie wystąpił z partii może właśnie dlatego, że gestapowiec uderzył go pałką w głowę.

Pan Noisy ma posiadłość koło Besançon. Żona pana Noisy zmarła rok temu. Była Szwajcarką, w czasie wojny także deportowano ją do obozu. W przeddzień jej pogrzebu lokatorzy i znajomi składali kwiaty pod drzwiami mieszkania państwa Noisy. Kwiatów było tak dużo, że zasały część schodów. Najpiękniejszy bukiet złożyła pani Brune, ta z wylicią. Utrzymywała bliskie stosunki z panią Noisy. Podobno administrator budynku mówił komuś, że synowie pani Brune nie zginęli w wypadku samochodowym. Zginął wtedy tylko jej mąż. Starszy syn umarł wskutek użycia za silnej dozy heroiny. Młodszy zginął jak akrobata. Chciał pokazać koledze, że potrafi przekroczyć Sekwanę idąc po balustradzie mostu Ludwika Filipa. Prawie u końca zachwiał się i spadł na kamienne nabrzeże. Pamiętam go. Był „punkiem”, miał ogoloną głowę z fioletowo-żółtym czubem. Fałszywa pogłoska o śmierci synów pani Brune w wypadku samochodowym jednakże rozpowszechniła się w dzielnicy.

W Oborach na tarasie pałacu, gdzie przed samym obiadem

zebrało się kilkanaście osób, zapytał mnie Janusz Osęka, dlaczego stale noszę teraz okulary. Wyjaśniłem, że noszę je od czasu operacji chirurgicznej, której poddano mnie w Paryżu. – Operowali panu oczy? – Brzuch – odpowiedziałem. Na tarasie zrobiło się ciszej. Osęka, którego lubię, był szczerze zaintrygowany. Zacząłem mu tłumaczyć: nieudana operacja jelit, krwotok, infekcja płucna, hamowanie krwotoku przy pomocy bardzo aktywnych środków, dwa miesiące snu, skrzep (na tarasie panowało milczenie), utrata lewego oka... A co takiego stosowano – dopytywał się Osęka – żeby pan tyle czasu spał? – Kurrarę. – Taras opustoszał, była już pora obiadu.

Ilona pojechała na wakacje do swego miasteczka pod Opolem. Zatelefonowała stamtąd dzień przed naszym wyjazdem z Obór. M. pyta: – Czemu tak późno, w ostatniej chwili? – Brak odpowiedzi. Potem głos Ilony: – Ja się bałam. – Ale czego? – Się bałam, że państwo od września nie będą mnie już chcieli. – Jej polszczyzna ma ładne brzmienie, ale są w niej skazy. Ilona mówi: „jeden chłopak, którego lubiałam...”. Mówi „co nie?” zamiast „prawda?” A przy tym młode aktorki mogłyby jej pozazdrościć czystości i melodii głosu.

Oczekiwała nas w Paryżu na lotnisku. Uściskaliśmy się. Wszystko układało się najlepiej.

W przerwach między moimi pobytami w szpitalach Paryż brzydł. Nie o placie ani o gmachy i ogrody chodziło. Brzydł we mnie tłum paryski. Na lewym brzegu rzucała mi się w oczy pospolitość twarzy, wydziwaczona bylejąkość strojów, rosnąca ilość „McDonald'sów” i innych stacji prędkiego zarcia. Na Rivoli, w oparach trucizn wydychanych przez stojące w korkach samochody, przewalały się krzykliwe bandy wyrostków w amerykańskich czapczkach daszkami do tyłu. Modny był ubiór w stylu półkloszarda i złe psy. Stałem z laską przed pocztą na ulicy Moussy, gdy biały pitbull, prowadzony na łańcuchu przez ostrzyżonego do skóry nastolatka, szarpnął się nagle w stronę moich nóg. Machnąłem laską. Nic by to jednak nie pomogło, gdyby chłopak zarykując się ze śmiechu nie był go przytrzymał za obrozę.

Ach, te moje spacerki. Wyznaczałem sobie bezsłoneczne trasy, ograniczone do kilku uliczek, na których było niewielu przechodniów. Źle czułem się wśród ruchu, wołałem bezruch



mebli i ciszę w moim pokoju. Wrażenie brzydoty miasta miało pewnie związek z poczuciem mojej własnej brzydoty, brzydoty mojej choroby, wewnętrznosci znieczulanych truciznami, prześwieتلanych, krajanych. Nie byłem jeszcze zdrowy. Nie wiedziałem, że czekają mnie cztery następne pobyty w szpitalach, ale wiedziałem, że nie jestem zdrowy.

W zeszłym tygodniu Ilona kilkakrotnie prosiła mnie o pożyczanie którejś z moich książek. Dałem jej „Rondo”. Zwróciła mi je po paru dniach bez słowa i zapytała, czy nie mam „Ani z Zielonego Wzgórza”. To jej ulubiona książka. Wczoraj zwierzyła się M., że od dawna używa pigułek antykoncepcyjnych. Powiedziała: „...używam pigułki antykoncepcyjne”. Teraz przeważnie tak mówią – zastępuje się drugi przypadek czwartym. Pewna doktorantka filologii polskiej, zapytana o swoje wrażenia z przemówień na zjeździe polonistów, oznajmiła: – Śmierć dopełniacza.

Tomasz Mann zanotował w swoich dziennikach, że nie pozwalają mu zasnąć w nocy wyobrażenia erotyczne. To bardzo ciekawe. Oczywiście żadnych porównań. Był wówczas mężczyzną w sile wieku, ojcem pięciorga dzieci i homoseksualistą. Należał do rzędu cnotliwych grzeszników. Ze zdziwieniem czytałem te trzy grube tomy. W przeciwieństwie do jego listów nie ma w dziennikach śladu omawianej postokroć mannowskiej autokreacji. „Przed obiadem kazałem się ostrzyć” notuje. Albo: „Wstałem o pół do ósmej. Ćwiczenia oddechowe”. Nie cofa się przed wzmiankami o kłótniach z żoną. Kiedyś przy śniadaniu zwróciła mu uwagę, że zużywa za dużo masła, które było wówczas trudne do nabycia. Wybuchła awantura w obecności dzieci. Zapisał, że potem wstydział się i gryzł.

Najbardziej mnie zdziwiło – i zasmuciło – iż po przeczytaniu jego dzienników Tomasz Mann mi zmałał. Są tam wprawdzie fragmenty imponujące szczerością (np. o stosunkach fizycznych z żoną Katią) i stronice, które świadczą o tym, jak wcześniej i przenikliwie ocenił zbrodniczość nazizmu; lecz zaraz obok notatka o depeszy zawiadamiającej, że przyznano mu zaszczytne wyróżnienie: „Musiałem dopłacić trzy marki”. To się nie pokrywa z sylwetką autora „Śmierci w Wenecji”. Nie bez zażenowania czuję, jak zmniejszył się we

mnie kult dla wielkiego Niemca, odkąd ukazał mi swoją małostkowość. „Musiałem dopłacić trzy marki...”.

Być może wypływają stąd wskazania dla autorów wspomnień i dzienników. Jaki ma sens notatka, że w poniedziałek 15 września kazałem się ostrzyć czy ogolić, jaką to ma wartość i po co o tym informować. A jednak. Takie zapiski, powtarzane co pewien czas, wyznaczają rytm codziennego życia, dzięki nim postać autora staje się bardziej widzialna. Tomasz Mann każący się ostrzyć i wetrzeć olejek we włosy nabrał nieco pospolitości i stracił w moim odczuciu tajemniczą osobowość Czarodzieja, to prawda. Ale jego twórczość – podziw dla niej nie został naruszony. Fragmenty „Czarodziejskiej góry”, „Śmierć w Wenecji” czytam od lat z niezmienną fascynacją, tak samo jak „Prawo”, opowiadanie o Mojżeszu, arcydzieło, o którym się nie pisze, bo nie zauważyły go międzynarodowe osły.

W czwartek 17 października dałem sobie zrobić pedikir. Nazajutrz kropił deszcz. W letniej kurtce, bez szalika i nakrycia głowy czekałem na samochód, który obiecali przysłać ojcowie pallotyni. Samochód przybył po pół godzinie, dreszcze poczułem, zanim dojechaliśmy na Surcouf, gdzie miałem wygłosić przemówienie, by uczcić pamięć księdza Zenona Modzelewskiego. Zdaje się, że przemówiłem pierwszy, po mnie zabrali głos profesor Kłoczowski i Krzysztof Rutkowski. Dobrze, że mogłem mówić bez kartki – nie utrzymałbym jej w ręku, tak mi dygotała. Podobno byłem siny i w rzędach słyszano, jak zęby mi kłapią. M. słała mi znaki, żebym przerwał i opuścił salę. Postanowiłem jednak wysłuchać dwóch następnych przemówień. Nim rozpoczęto zabierać głos z krzeseł, podeszła do mnie i wyprowadziła z sali. Wróciliśmy samochodem, który nas przywiozł. W domu zmierzyłem gorączkę: 40 stopni. Byłem zdumiony. Kiedy przyjechał lekarz z *S.O.S. Médecins*, najpierw mnie zbadał, długo osłuchując plecy, po czym wezwał ambulans. Nazywał się doktor Panetti. Ubrałem się z pomocą M. Skarpetki wciągnęła mi Ilona. Na szczęście w czwartek dałem sobie zrobić pedikir.



**Wiersze**

Jerzy GIZELLA

**A CO TERAZ Z NOWĄ HUTĄ?**

Może ją rozebrać  
Do fundamentów  
Ziemie zorać  
Obsadzić drzewami?

Albo w całości  
Zrobić skansen  
Dla turystów  
Z Europy  
I Ameryki?

Powywieszać  
Odkurzone Staliny  
Breżniewy  
Gomułki  
Czerwone szmaty  
Transparenty

Przywrócić kolejki  
Po śledzie  
Po papier toaletowy  
Otworzyć z powrotem  
Restaurację „Oaza”  
i „Ludową”

Powódź dolarów  
Zaleje mieszkańców

Wreszcie ludziom  
Będzie się żyło dostatnio  
I nie zapomnieć  
O butelkach z mlekiem  
W drucianych kontenerach  
Najmłodszy literaci  
Zrozumieją wreszcie  
O czym nie pisała  
Nowa Fala

**W DZIWNYM CZASIE**

Wyjechałeś nagle  
Bez pożegnania  
My to nazywamy  
Jednym krótkim słowem  
Wypadało zostać  
Z boleścią na twarzy  
Z cierpieniem na czole  
Żeby zebrać plony

Gasić i zapalać  
Latarnie morskie  
Ostatnich oddechów  
Ostatnich namaszczeń

Nikt o zdrowym umyśle  
Ale to zupełnie nikt  
Nie uwierzy  
Że to wyłącznie ze wstydu

Że się wstydziliś  
Mówić sąsiadom  
W windzie  
Dzień dobry



Sąsiadom  
Którzy w dzień  
Rozwieszają  
Pranie na strychu  
A w nocy  
Duszą za gardło  
Kopią w nerki  
Skaczą po żebrach

Wiersze

Jerzy GIZELLA

Mira KUŚ

O CZYM TO...

Przypomniał mi się Kant  
siorbiący z filizanki kawę,  
dostarczając w ten sposób swoim płucom tlenu;  
więcej tlenu poprzez siorbanie – wstrząsająca kantowska

teoria,

melanzjusz z hipochondrią, równanie  
do absurdu.

Absurd.

O tym właśnie myślałam.

O kropli śmiechu

zatopionej

w goryczy zdrowego rozsądku.

TRAWA

ślepiec który tarkę do sera wziął za książkę Braille'a –  
jako żywo ja sama  
gdy usiłuję odczytać z wosku na wodzie  
fusów po kawie

czy też z kształtu chmur  
co tak naprawdę w trawie słyhać  
mowa trawa ja wiem  
że po cichu trawa  
obraca mi naga stopę  
chyłkiem pnie się po ciebie  
aż wreszcie powie  
co ma powiedzieć – wprost w ucho

Mira KUŚ

Agnieszka LISAK

DLA ZWYCZAJNYCH

Nasze życie  
bez braw fleszy i oskarżów

nasza miłość  
bez złotych naszyjników

orkiestr  
jachtów

ot po prostu  
dwie łódeczki z kory

złączone na chwilę  
dźwigające z trudem

po połowie świata.

ŻOŁNIERZOM KAMPANII WRZEŚNIOWEJ

Historia mojego dziadka

miała siedemnaście dni

najpierw cenzor skrócił ją

do dwóch linijek



a potem już wcale jej nie było.  
 Dziś dziadek powrócił z wojny  
 z całym oddziałem  
 stoi na półce  
 w dwóch tomach  
 i twardej obwolucie.

Agnieszka LISAK

Adam LIZAKOWSKI

## DOLNY ŚLĄSK

*Towarzystwu Dolnośląskiemu w Chicago ten wiersz dedykuję*

Dolny Śląsku kraino krosien tkackich, kopalń,  
 pół uprawnych, ludzi pięknych, mądrych, pracowitych.  
 Wrocławiu – stolico marzeń małych chłopców  
 o bystrych oczach oświetlonych twoim blaskiem,  
 przodowniku duszy, wyznaczniku talentu,  
 mieście ambicji i wiedzy, kultury, wyniosłych ludzi.  
 Kraino – słowniku pierwszych najważniejszych słów,  
 rozzarzonych miłością, jawisz się jak mityczny jednorożec,  
 odciskasz się w mej pamięci liściem kasztana,  
 polnym kwiatem, ulicą Świdnicką, górą Śnieżki.  
 Jak mam cię wyśpiewać moja mała ojczyzno  
 pomiędzy Górami Sowimi a Odrą, Nysą i Karkonoszami,  
 którym językiem wyszeptać: Polaka, Niemca, Czecha,  
 jakim akcentem: wileńskim, lwowskim, nowogrodzkiem,  
 matko stu narodów, dwóch cywilizacji,  
 jakim krajobrazem opisać dziecinne marzenia,  
 wiatry górskie, smak szczawiu, kolor przepysznej czereśni,  
 cokolwiek powiem, napiszę, zawsze w tym odnajdę  
 czułość i miłość mojego wspaniałego miasteczka Pieszycy;  
 Jaka to miłość czyni emigrantów w dalekiej Ameryce  
 bogatymi w pałacach wyobraźni, w których pachnie  
 koniczyną,

zamienia chłopców dmiących w trąbki rąk w zwiastuny  
 czegoś wielkiego: przyjaźni miast i ludzi:  
 Świdnica na powitanie wyciąga rękę,  
 Sobótka przyrodą po prasłowiańsku wita,  
 Nowa Ruda i Bolestawiec zapraszają na przechadzkę,  
 a Kłodzko na wieczory polsko-czeskie przy ognisku.  
 Kudowa, Łądek Zdrój pachną świeżością, Jelenia Góra  
 wraz ze Szklarską Porębą na odpoczynek wzywają.  
 Ktoś powie, że w Legnicy najlepiej, bo jakże jej nie pokochać  
 Najśodsze dziewczyny są w Bielawie, tym z Dzierżoniowa,  
 Wołowa, Bogatyni, Strzegomia też słodyczy nie brakuje.  
 Najpiękniejszy jest Dolny Śląsk jesienią, gdy zielen  
 w złoto i purpurę się zamienia, gdy pola cebulowe  
 z Jordanowa otula mgłą, a ptaki zaprzestają  
 sporów z latem w Ząbkowicach Śląskich,  
 Kamieńcu Ząbkowickim, Lubinie i Polkowicach.  
 Bociany spod Kamiennej Góry do odlotu się szykują  
 w długą podróż. Ale jak po tylu latach rozłąki wskrzesić  
 zapach złotej renety, smak pstrąga z Walimia, jak uchwycić  
 majestatyczność sadu spod Ziębic, Głogowa czy Milicza,  
 który malarz w Ameryce namaluje brzęk powietrza  
 tłuczonego skrzydłem bociana?  
 Mój dom Dolny Śląsk leży w środku serca mego,  
 pamiętam go w kadzideł dymie, dzwonych głosie św.  
 Antoniego,  
 deszczu, śniegu, splocie rąk jedynym naszym janki mojej matki.

## POWRÓT DO PIESZYCY

Jeszcze o powrocie do Pieszyc nie myślę  
 jeszcze nie jestem przygotowany do powrotu  
 choć jak każdy emigrant, obiecuję sobie,  
 że być może po Nowym Roku:  
 chciałbym, aby mój powrót odbył się w południe,  
 w słoneczny dzień, w którym rodziny Marcuków,  
 Michalskich, Duszków, Kuców, Mazurków,  
 Majchrzaków krzątają się wokół domów  
 jak pszczoły wokół ula.



W ogrodach, słoneczniki, pszczoła w tarcze ich mierzy,  
 lwie paszcze, labirynty dla trzmieli,  
 kalafior, kapusta, pomidory, groch, ogórki  
 wygrzewają się w grzędach w wakacyjnym słońcu.  
 Ktoś woła kogoś na obiad przez otwarte okno  
 ulatnia się zapach odciedzanych kartofli,  
 pranie suszy się w ogrodach, pies o imieniu Argos  
 śpi pod gruszą, dwadzieścia lat na mnie czekał,  
 przez sen merda ogonem, na boisku ukrytym  
 pomiędzy domami biegają głosy dzieci.  
 Niczym nie-Ikar nie-spadam w otchłanie ojczyzny  
 ale po szczeblach codzienność schodzę w dół  
 przez nikogo nie zauważony, a miasteczko  
 niczym dzwon z kościoła św. Antoniego drzemie.

Adam LIZAKOWSKI

Leszek SZARUGA

AUSCHWITZ 1998

żywi sortują  
 swoich umarłych

segregują cienie  
 tu nasi tu wasi

przesypują popioły  
 rozdzielają pył ciał

rozgarniają popioły  
 rozdmuchują żar

piszą palcem w popiołach  
 odczytują wyroki

będziecie ten krzyż dźwigać  
 przez kolejne epoki

Leszek SZARUGA

## Archiwum polityczne

### Czy Europę stać na własny przemysł zbrojeniowy?

*Pierwsze jaskółki, czyli wstęp optymistyczny*

12 sierpnia 1998 ogłoszono w Sztokholmie, że dwie firmy wchodzące w skład szwedzkiego koncernu zbrojeniowego Cel-sius zawarły ważne, ponadpaństwowe umowy z innymi europejskimi partnerami: szwedzki Kockums i francuski DCN o projekcie i wspólnej produkcji najnowszego typu konwencjonalnej łodzi podwodnej oraz szwedzki Bofors i niemiecka Dasa-LKF o rozwoju wspólnej produkcji rakiety Taurus.

Mówiąc ściślej, pierwsza z tych umów już od blisko roku znana była we wrażliwych kołach wielkiego biznesu. Podpisano ją bowiem, choć nie ujawniono, w październiku 1997; dotychczasowi zawzięci konkurenci, Kockums i DCN, zobowiązali się do stworzenia w układzie własnościowym 50-50 *joint venture*, ulokowanego w Paryżu, którego dyrektorem został Szwed, Ingemar Steiner. Łódź podwodna zupełnie nowego typu ma być gotowa w ciągu 2-3 lat, kosztować dość tanio, bo około 350 milionów dolarów za sztukę i być budowana w stocznicach francuskich i szwedzkich. Oprócz tego wspólnego projektu Kockums i DCN będą nadal ze sobą konkurować w zakresie łodzi dotychczas produkowanych; chodzi tu zwłaszcza o dwa ponętne kontrakty na dostawę trzech łodzi dla Grecji (wartość transakcji 934 miliony USD) i czterech dla Afryki Południowej.

Umowy Kockums-DCN i Bofors-Dasa (dzięki której szwedzka firma Bofors Missiles otrzymała 33% udziałów



w Taurus Systems) oceniane są jako kolejne, udane posunięcia na drodze pospiesznej integracji przemysłów zbrojeniowych w Europie. Wśród fachowców zwłaszcza umowa Kockums-DCN wzbudziła zainteresowanie, gdyż została zawarta między firmami reprezentującymi kultury odległe i wobec siebie dość niechętnie. Przypomnijmy, że zapowiadana z wielką pompą i niewątpliwie korzystna fuzja Volvo-Renault nie doszła do skutku w roku 1993 przede wszystkim z powodu różnic międzykulturowych. Faktor ten jednak najwyraźniej stał się drugorzędny w obecnej sytuacji przemysłów zbrojeniowych.

### Wyścig z czasem i Jankesami

Już w latach 80-tych rozpoczęli przeczorni Amerykanie konsolidację swojego przemysłu zbrojeniowego, która z czasem doprowadziła do powstania trzech tylko kolosów (Lockheed-Martin, Boeing i Raytheon) z 15 wielkich przedsiębiorstw. O tym niewiarygodnym rozmachu konsolidacyjnym najlepiej może świadczyć fakt, że w skład Lockheed-Martin wchodzi 8 firm na tyle dużych, że jeszcze w roku 1990 wszystkie one znajdowały się na „liście pięciuset” międzynarodowej edycji *Fortune*. Każdy z trzech amerykańskich gigantów sam dysponuje sporym aparatem lobbymingowym, marketingowym i informacyjnym, a ponadto korzysta z efektywnego wsparcia amerykańskiej dyplomacji, banków i służb specjalnych. Jest tajemnicą poliszynela, iż wspomaganie amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego, także w dziedzinie eksportu, zajmuje dziś jedno z głównych miejsc na liście priorytetów amerykańskich służb wywiadowczych – pisze zresztą o tym otwarcie europejska prasa (w Szwecji np. tygodnik businessu *Affärsvärlden* z 23 kwietnia 1998). Dzięki monstualnemu systemowi nasłuchowemu ECHELON – który komputerowo może wyławiać i przepracowywać kilka milionów komunikatów równocześnie – prowadzi NSA (National Security Agency) *monitoring* i ewentualny deszyfraż wszystkich interesujących Amerykanów rozmów telefonicznych, faksów i poczty elektronicznej. Bynajmniej nie w celu studiów prasoznawczych prowadzi CIA zbieranie danych nawet o tych zagranicznych publicystach, którzy pisują o rynkach przemysłów zbrojeniowych.

W dodatku europejscy producenci kilka razy przekonali się dość boleśnie, że współpraca technologiczna z Amerykanami może być równoznaczna z eksportową blokadą. W przemyśle lotniczym Szwedzi doświadczyli jej dwukrotnie. Pierwszy raz dwadzieścia lat temu, gdy mieli szansę sprzedania myśliwca Viggen. Ponieważ zawierał on amerykańskie komponenty, Amerykanie skwapliwie skorzystali z prawa odmowy zgody na eksport swojej technologii. Na próżno ówczesny szwedzki minister handlu, Staffan Burenstam-Linder przekonywał w Waszyngtonie, że przecież nie chodzi o eksport do sowieckiej strefy, ale do krajów NATO (sic!). Amerykanie pozostali nieugięci i potencjalnym nabywcą szwedzkiego sprzętu sprzedali wkrótce własne samoloty. Historia ta powtórzyła się niemal dokładnie w roku bieżącym. Można się spodziewać, że identyczne obiekcje zostaną wysunięte przy próbie sprzedaży samolotu JAS w Chile. USA uznają bowiem Amerykę Łacińską wręcz za swój rynek wewnętrzny i za afront uznali, iż francuskiej DCN udało się w roku 1997 sprzedać Chile swoje łodzie podwodne za 0,5 miliarda USD.

Natomiast dla europejskich producentów broni Pentagon bardzo niechętnie uchyla drzwi rynku USA: firmy amerykańskie sprzedają w Europie uzbrojenie za sumę pięciokrotnie większą niż Europejczycy w Stanach Zjednoczonych.

Reasumując, podzielić trzeba pogląd, który szwedzki minister obrony, Björn von Sydow, sformułował w roku ubiegłym: – Jeżeli w Europie szybko nie nastąpi ponadpaństwowa integracja przemysłu zbrojeniowego, to za 5-7 lat przemysł ten przestanie istnieć, a od amerykańskich decyzji będzie zależeć, jakie samoloty, rakiety i systemy obronne mamy posiadać i kupować w USA.

### Europa zaczyna się budzić

W unijnej „piętnastce” sześć państw jest liczącymi się producentami nowoczesnego uzbrojenia: Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Szwecja, Włochy i Hiszpania. Nie tylko cytowany powyżej minister von Sydow rozumie, że utrzymywanie narodowych przemysłów zbrojeniowych w aż sześciu krajach Unii jest dłużej niemożliwe. Obliczono, że już teraz



państwa europejskie płacą za poszczególne rodzaje sprzętu obronnego 30-40% drożej niż Pentagon. Wprawdzie na rynku globalnym Europa jest nadal równorzędnym USA eksporterem nowoczesnej broni, ale walka o nowe kontrakty staje się coraz bardziej brutalna. Światowy rynek broni skurczył się o ponad połowę. Główną przyczyną jest fakt, że Związek Sowiecki produkował dawniej 1/3 światowego uzbrojenia, a dzisiejsza Rosja – 1/12; przyczyną dodatkową – możliwość zmniejszenia wydatków zbrojeniowych przez większość rządów. W Szwecji zmniejszono zamówienia materiału dla sił obrony na lata 1998-2001 o szokującą sumę 9,6 miliardów SEK. Oznacza to nie tylko utratę 5200 miejsc pracy, ale także zatrzymanie rozwoju szeregu rodzajów broni i systemów: drugiej generacji haubic 77A, przeciwpancernego granatu Bonus, systemu komputerowo-radarowego ostrzegania RBS23 Bamse, mechanizmu naprowadzania na cel YRV dla rakiety Bill. Degrengoladę rosyjskiej armii przeklinają zresztą głucho wszyscy producenci broni (na głośne lamenty nie pozwala im egzekwowana twardo na Zachodzie *political correctness*), ale nie zmienia to faktu, że w ciągu ostatniego dekadum tylko jeden kraj na świecie – nawet nie USA, a Wielka Brytania – zwiększył swój eksport broni, a w europejskim przemyśle zbrojeniowym liczba miejsc pracy zmniejszyła się o 40%.

Jednak konieczność ponadpaństwowej integracji europejskich przemysłów zbrojeniowych narzuca nie tylko kurczący się rynek. Koszt produkcji nowoczesnego uzbrojenia, łącznie z ceną prac badawczych, staje się tak duży, iż przekracza możliwości najbogatszych państw europejskich. Wiadomo dzisiaj, że szwedzki samolot wielozadaniowy JAS 39 Gripen czy doskonała łódź podwodna klasy Gotland (A 19) są ostatnimi produktami czysto szwedzkimi, gdyż na samodzielną konstrukcję sprzętu kolejnej generacji przemysłu Szwecji już nie stać. Dyrektor generalny szwedzkiego Urzędu Zaopatrzenia Sił Obrony, pani Brigitta Böhlín stwierdziła otwarcie, iż szwedzki przemysł zbrojeniowy nie może już dłużej ponosić kosztów technologicznego rozwoju, a wyjściem z tej sytuacji musi być nie tylko ścisła współpraca z przemysłem cywilnym, ale także tworzenie firm ponadpaństwowych, działających w oparciu o zasady czysto komercyjne.

Trzeba przyznać, że pewne próby kosztownych projektów ponadpaństwowych czynione były już wcześniej ze skutkiem dość udanym. Przede wszystkim należy tu wymienić niemiecko-hiszpańsko-włoski samolot bojowy Eurofighter czy pasażerski Airbus, produkowany w kooperacji firm czterech krajów: Dasa (Daimler Benz Aerospace), Aérospaciale, BAe (British Aerospace) i Casa (Construcciones Aeronauticas). Firma z Tuluzy, Airbus Industrie, mająca dziś 30% rynku, jest prawdopodobnie jedynym europejskim producentem samolotów cywilnych, który przeżył może morderczą walkę z amerykańskim rywalem (po wchłonięciu firmy McDonnell-Douglas ma Boeing już 64% rynku). Jednak w tym celu musi się Airbus pozbyć tej kuli u nogi, jaką prawie zawsze stanowi nieoperatywny *management* państwowy, szczególnie w wydaniu śródziemnomorskim. W tym celu państwo francuskie ma częściowo sprywatyzować Aérospaciale, ograniczając swój udział do 48%, a Airbus Industrie ma ze zbiurokratyzowanego konsorcjum-mastodonta przekształcić się w normalną, notowaną spółkę akcyjną z wyłącznie własnym kierownictwem operacyjnym całej działalności. Airbus ma także zajmować się produkcją wojskową, a pierwszym projektem tego typu ma być opracowany już FLA (Future Large Aircraft), wielki, wojskowy samolot transportowy, w którego produkcji będą uczestniczyć przemysły lotnicze ośmiu krajów Unii. W stadium planowania znajduje się natomiast inny projekt cywilny: A3XX, superjumbojet na 600 pasażerów, który skonstruowany będzie kosztem 10 miliardów dolarów jako jedyna możliwa konkurencja dla monopolisty Boeinga. Wspólnymi projektami europejskimi są też dwie rakiety: kierowany radarowo Meteor i podczerwienią Iris-T (w tym drugim projekcie bierze udział także Kanada). To właśnie w rakiecie Meteor typu MRAAM (Medium Range Air-to-Air Missile) wyposażony będzie Eurofighter, a w przyszłości także JAS 39 Gripen. Dziś te szwedzkie samoloty wielozadaniowe uzbrojone są w 100 amerykańskich rakiet typu MRAAM, których producent, Raytheon, nader wyrafinowanymi metodami starał się storpedować plany wyposażenia JAS-ów w Meteory. Na próżno, gdyż producent JAS-a, koncern Saab, wie już z jakim eksportowym dyskomfortem związane jest wykorzystywanie amerykańskich technologii, a ponadto udział Saab



Dynamisę w projekcie Meteoru przyniesie szwedzkiemu podwykonawcy 11,5 miliardów SEK. Na uwagę zasługuje też właśnie przygotowywana, produkcyjno-operacyjna fuzja brytyjskiej firmy GKN Westland Helicopters z włoską Finmeccanicas Agusta; jeżeli zostanie ona zakończona powodzeniem, to w Europie powstanie drugi co do wielkości producent helikopterów na świecie, mogący śmiało równać się z Boeingiem.

Zauważmy, iż w konsolidacyjnych procesach europejskiego przemysłu zbrojeniowego przynależność do NATO nie ma znaczenia, o czym najlepiej świadczy współpraca szwedzkiego koncernu Saab z British Aerospace (BAe posiada 35% firmy Saab AB), z konsorcjum Meteor Partners czy z Airbus przy projekcie FLA. Nader interesująca jest też szwedzko-duńsko-norweska współpraca przy projekcie konstrukcji superłodzi podwodnej Viking 2000 czy nabierająca rumieńców zbrojeniowa współpraca szwedzko-norweska na wszystkich polach (Szwecja nie jest członkiem NATO, a Norwegia – Unii Europejskiej). Mniemam, iż nie będę winny wielkiej niedyskrecji, gdy ujawnię, że szef koncernu Celsius, Lars G. Josefsson marzy o ogólnonordyckiej integracji przemysłu zbrojeniowego, który z kolei stałby się atrakcyjnym partnerem w ponadpaństwowej współpracy z producentami Unii. W tym kontekście należy widzieć powstanie amunicyjnej Namno Group, której właścicielami są norweski Raufoss, szwedzki Celsius i fińska, państwowa firma zbrojeniowa Patria. Celsius – który już tylko w 24,9% należy do państwa szwedzkiego – zainteresowany jest też planami prywatyzacji dwóch norweskich zespołów zbrojeniowych, Raufoss i Kongsberg Gruppen, w jakich państwo nadal posiada ponad 50% udziałów. Już w roku 1994 kupił Celsius 15% firmy Raufoss i 25% pracującej dla potrzeb obrony elektronicznej firmy Natech w Narviku. Dnia 24 kwietnia 1998 norweski minister przemysłu i handlu, Lars Sponheim otrzymał list, w którym szef koncernu Celsius wyraża zainteresowanie zwiększeniem udziałów w Raufoss i nabyciem ich w Kongsberg Gruppen właśnie w aspekcie tworzenia ogólnonordyckiej, zintegrowanej sieci producentów broni.

Choć jednak Europa nie chce być biernym i pokornym odbiorcą amerykańskiego uzbrojenia, to jednak konkretne posunięcia w celu ponadpaństwowej konsolidacji i integracji

przemysłów zbrojeniowych wykonują głównie businessmen; politycy wyraźnie pozostają w tyle, zwłaszcza w tych krajach, gdzie przemysł zbrojeniowy jest własnością i domeną państwa. Manfred Bischoff, dyrektor Dasa, uważa, iż politycy zdają sobie sprawę, iż Europa musi mieć wspólny, ponadpaństwowy przemysł, produkujący samoloty bojowe, okręty i łodzie podwodne, rakiety, zintegrowane, obronne systemy elektroniczne, a z czasem pojazdy kosmiczne. Choć jednak czas nagli, stworzenie takiego paneuropejskiego przemysłu zbrojeniowego będzie trudne, dopóki Unia nie będzie posiadać wspólnej polityki obronnej, dopóki nie zostaną przewyżczone narodowe partykularyzmy, a więc – mówiąc innymi słowami – dopóki nie zostanie uczyniony dalszy krok w kierunku Federacji, tym razem nie na odcinku polityki monetarnej, a obronnej i zagranicznej.

#### *Nacjonalistyczne duchy czyli miarkowanie optymizmu*

W roku bieżącym ukazała się w Niemczech interesująca praca „Deutsche Interessen. Streitschrift zu Macht, Sicherheit und Aussenpolitik”, której autorem jest Egon Bahr. Młodszym czytelnikom *Kultury* należy tu może przypomnieć, że 76-letni dziś Egon Bahr uważany jest za rzeczywistego architekta tzw. *Ostpolitik* kanclerza Brandta. Ponieważ Bahr jest wybitnym i cenionym socjaldemokratą, a równocześnie – z racji wieku – nie wchodzi w grę jako kandydat na żadne stanowisko rządowe, mógł wypowiedzieć się szczerzej niż jakkolwiek inny reprezentant jego partii. Książka Bahra częściowo łączy się z rozważaniami niniejszego tekstu. Unia Europejska charakteryzowana jest bowiem niczym dawna BRD: jako gospodarczy kolos i polityczny karzeł. Można nawet twierdzić, iż politycznie Unia w ogóle jeszcze nie istnieje, skoro Amerykanie nadal muszą rozwiązywać polityczne problemy w Europie. Bahr zaznacza, że Europa istniejąca w formie amerykańskiego protektoratu wcale nie musi być jakąś katastrofą. Skoro jednak doświadczenie poucza, że protektoraty rzadko kiedy osiągają pomyślność gospodarczą, Zjednoczona Europa musi zostać drugim supermocarstwem. Oczywiście nie będzie ono zagrażać USA w



sensie militarnym, ale – dzięki swojej odmiennej tradycji i bardziej ludzkiej postaci *welfare state'u* – może być pełnoprawnym konkurentem USA na płaszczyźnie politycznej i gospodarczej. Jednak w tym celu państwa Europy muszą zrezygnować ze swojej suwerenności nie tylko w dziedzinie monetarno-finansowej, ale także w sprawach zagranicznych i polityki bezpieczeństwa. Bahr zdaje sobie oczywiście sprawę z trudności tego przedsięwzięcia; często wszak ocenia się, że Europa potrzebuje jeszcze czasu przynajmniej jednego pokolenia dla przezwyciężenia narodowych egoizmów i nacjonalistycznych przesądów. Dlatego Bahr uważa, że przykład znowu powinny dać dwa najpotężniejsze kraje kontynentalnej Europy: Francja i Niemcy powinny utworzyć organ do prowadzenia wspólnej, jednolitej oraz ponadpaństwowej polityki zagranicznej i obronnej. Do tego „twardego jądra” przyszłego supermocarstwa Europy zaczęłyby sukcesywnie dołączać inne kraje Unii. Bahr szkicuje szereg korzyści takiego rozwiązania, ot chociażby Francja mogłaby w tym układzie wyzbyć się obaw, że zostanie przesunięta na peryferie i zmarginalizowana po rozszerzeniu Unii na Wschód, gdzie Niemcy z natury rzeczy pełnić będą rolę dominującą.

Zasluga Bahra polega przede wszystkim na tym, że wypowiedział publicznie to, o czym dotychczas tylko szeptano w zaciszu różnych gabinetów i kancelarii. Trzeba tu powiedzieć stanowczo, że dawna idea de Gaulle'a – *L'Europe des patries* – jest dziś całkowicie przebrzmiała. W zasadzie lansują ją jeszcze tylko przeciwnicy europejskiej integracji, np. w Polsce – ZChN-owcy, w Szwecji – komuniści, a ze względów taktycznych do obu grup dołączają czasami przeciwnicy Unii *en bloc*. Nadmienimy tu przy okazji, że paranoja przeciwników Unii niejedno ma imię: katolicy ultrasi z Radia Maryja za ponadpaństwowymi ideami Unii widzą Żydów w masońskich fartuszkach; szwedzcy nacjonaści – katolików, którym jezuici, rzecz jasna, przekazują tajne instrukcje z Watykanu. Jednak większość europejskich polityków zdaje sobie doskonale sprawę, że zasady wypracowane dla „szóstki” – nieustannego dialogu i współpracy, ciągłej wymiany ustępstw i korzyści – kiepsko funkcjonują w dzisiejszej „piętnastce”, a są już zupełnie niemożliwe we wspólnocie liczącej 21 czy później 26 państw; taka Unia byłaby po prostu niezdolna do

działania i musiałyby ulec rozbiciu. Politycy wiedzą, że jedynym ratunkiem jest federalizacja i wprowadzanie zasady ponadpaństwowej do wszystkich dziedzin, ale większość z nich – bojąc się nacjonalistycznych nastrojów swoich wyborców – zastrzega: „Byle tylko nie za naszej kadencji”. Gdy Wielka Brytania wysunęła ideę Eurospace – jednego gigantycznego producenta samolotów wojskowych i cywilnych w Unii, zaraz we Włoszech i Francji podniosły się protesty. Często odnosi się zabawne wrażenie, że politycy na ponadpaństwową integrację przemysłów zbrojeniowych mogą się nawet godzić, byle tylko nikt o niej głośno nie mówił. Otwarta werbalizacja takiej idei *nolens volens* zakłada ponadpaństwową politykę bezpieczeństwa, a o tym nikt głośno mówić nie chce (tylko Egon Bahr jest chwalebny wyjątkiem).

Gdyby wspólna, ponadpaństwowa polityka bezpieczeństwa i obrony okazała się w przyszłości jednak do przyjęcia, to można już dziś przewidzieć, że przemysł zbrojeniowy Federacji składałby się z trzech wielkich gigantów.

Kolos lotniczy, w którym naturalną rolę lidera odgrywałaby British Aerospace, a w skład którego wchodziłaby także Dasa, Aérospaciale, Casa i Saab. Jego osobną częścią byłby pion helikopterowy.

Konsorcjum sprzętu raketowego i satelitarnego, w którym naturalne przywództwo przypadłoby Francji (część Aérospaciale, Alcatel, Thomson, Matra), W jego skład wchodziłyby też – w całości lub częściowo – dzisiejsze firmy typu brytyjskiej GEC, niemieckiej Siemens, włoskiej Alenia, szwedzkiej Saab Dynamics etc.

Gigant marynarki, broni pancерnej i artylerii, w którym kierowniczą rolę pełniłyby Niemcy, z mocnym wsparciem Szwedów (Koskums, Bofors) i kilku mniejszych firm europejskich.

Na pytanie będące tytułem tego tekstu będzie można odpowiedzieć twierdząco tylko w wypadku realizowania zarysowanych powyżej, ponadpaństwowych tendencji integracyjnych.

Stefan ABNER

Po napisaniu powyższego tekstu ogłoszono, że British



Airways zdecydowały się na nabycie 188 samolotów Airbus. Transakcja ta, wartości 8 miliardów GBP, jest największym dotychczasowym zamówieniem europejskich linii lotniczych; oceniana jest ona jako dotkliwa porażka amerykańskiego Boeinga na rynku Unii. British Airways zakupią trzy typy samolotu Airbus: A319, A320 i A321 – w przeciwieństwie do samolotu Boeing 737 są one na tyle ciche, że praca ich silników nie przekracza międzynarodowych norm hałasu, które zaczną obowiązywać w roku 2002. Decyzja British Airways wzmacnia pozycję konsorcjum Airbus na rynku lotniczym i uwiarygodnia także jego plany produkcji samolotów wojskowych.

**KSIĄŻKI POLSKIE  
ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE  
DAWNE I NOWE  
W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE  
POLECA  
ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI  
7, rue de la Bûcherie 75005 Paris  
Telefon 01 40 51 76 40  
Fax 01 40 51 78 32  
Metro: Maubert-Mutualité  
Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87  
od wtorku do soboty od godziny 10 do 19  
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI**

## Wywiady „Kultury”

### Rozmowa z Adamem Czerniawskim

BEATA TARNOWSKA: – *W swych „Fragmentach niepokojnego dzieciństwa” notuje Pan fakty, zdarzenia, ale raczej ucieka Pan od opisów wewnętrznych przeżyć. Jest tu pewien dystans, humor w opisywaniu wyczynów często nieznośnego dziecka... Z czego wynika ten dystans?*

ADAM CZERNIAWSKI: – Kapłani i politycy w ramach sprawowania swych funkcji muszą od czasu do czasu przekonywać wiernych, posługując się chwytami retorycznymi, które częściowo polegają na argumentach, częściowo służą pobudzaniu określonych emocji. Poeta zaś nie trudni się przekonywaniem; stwarza obrazy, sytuacje, które w odbiorcy wywołują jakieś uczucia. Poeta nie wie, jakie to będą uczucia. Odnosi się to zresztą do wszelkiego rodzaju dzieł sztuki. W „Wierszu współczesnym” napisałem kiedyś, że „precyzyjnie rozplanowane płótna Poussina, a nie retoryczne gesty Rubensa, na uczuciowy wydzwitek u widza obliczone, potrafią wzruszyć nas do łez.” „Precyzyjnie rozplanowane”, czyli rzekomo w ogóle uczuć pozbawione. A w bardzo wczesnym eseju „Nieporozumienia”, w którym broniłem „intelektualnej” poezji Norwida, argumentowałem tak:

Otóż poezja intelektualna nie jest zaprzeczeniem istoty poezji, co więcej, poezja intelektualna nie musi być *ex definitione* pozbawioną uczucia. Ładunek uczuciowy rodzi się właśnie z ładunku intelektualnego: może to być bystro przeprowadzony argument, może to być satyryczna scena, a wreszcie analiza przeżycia estetycznego.



Poezja „intelektualna” stanowi tu odpowiednik „precyzyjnie rozplanowanych” kanw Poussina. I wreszcie, uczucia nie tylko objawiają się niespodziewanie, ale objawiają się kapryśnie, często nie wiemy, czy śmiać się, czy płakać. Nawet to samo przeżycie może nas różnie wzruszać:

W mojej pamięci drzemią sceny  
radosnych ukojeń,  
ale gdy do źródła wracam,  
gdy je do oglądu wznoszę,  
w bólu je doświadczam...

To – drogą okrężnego wstępu do odpowiedzi na pytanie, bo poezja nie jest (w oczywistym sensie tego słowa) autobiografią. Ale podobnie jak poezja, nie ma na celu perswazji. Przedstawia sytuacje, notuje wydarzenia, autor „widzi i opisuje”. Tzn. w takich ramach funkcjonuje autobiografia okresu dojrzewania, okresu spokojnego lub niespokojnego dzieciństwa, gdyż, jak zanotowałem w moim „Krótkopisie”: „Uczciwą autobiografię można pisać tylko z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości, kiedy się jest wobec świata biernym, kiedy nie można się jeszcze popisywać słuszością decyzji i wielkością osiągnięć.”

Podobnie autobiografie okresu dojrzałości osądza Zbigniew Herbert w wierszu „Dlaczego klasycy”, w którym czytamy:

generałowie ostatnich wojen

[.....]

skomlą na kolanach przed potomnością

oskarżają podwładnych

zawistnych kolegów

nieprzyjazne wiatry

(Właśnie do tego utworu odnosi się zacytowany komentarz z mojego „Wiersza współczesnego”). Ale autobiografia to nie zupełnie poemat; inne względy też wchodzą w grę. Musi być próbą dojścia do prawdy. Aby się do niej jak najbardziej zbliżyć musiałem odczekać, aż wygasną we mnie różne resentymenty i żale, którymi ten okres został w późniejszych latach obarczony. Musiałem zapomnieć o dzielących mnie od dzieciństwa latach, by opisać jak najwierniej nie tylko fakty i

wydarzenia, ale właśnie też i uczucia, jakie mną w tamtych czasach powodowały. Na tym właśnie polega ten dystans, który jest jednocześnie zbliżeniem.

B.T.: – *Simone Weil pisała, że „dystans jest duszą piękna...”*

A.Cz.: – Jeśli tak napisała, to się cieszę, bo bardzo ją cenię...

B.T.: – *W swojej autobiografii pisze Pan: „moje pierwsze artystyczne próby są pełne minaretów, lazurowych wód i piekącego słońca”. Czy chodzi o próby literackie czy o malarskie?*

A.Cz.: – Chodzi o rysunki kredkami.

B.T.: – *Wydaje mi się, że Pańska późniejsza twórczość poetycka nie jest raczej zakorzeniona w obrazach Bliskiego Wschodu.*

A.Cz.: – Ani późniejsza, ani wcześniejsza.

B.T.: – *Jak to się stało, że ocalały listy Pańskiej matki i siostry? We „Fragmentach” przytacza Pan obszerne ich fragmenty.*

A.Cz.: – Listy były pisane z Guberni do ojca, który przebywał głównie w Rumunii i Turcji. On je szczęśliwie przechowywał, a ja szczęśliwie ich nie zniszczyłem, chociaż po śmierci ojca już byłem gotów to uczynić, przekonany o ich bezużyteczności. W ostatniej chwili zahałem się...

B.T.: – *W polskiej literaturze, zwłaszcza tworzonej na emigracji, przewija się motyw zmitologizowanego, wyidealizowanego „kraju lat dzieciennych”. Czy w kontekście Pańskiej biografii to określenie nie brzmi trochę ironicznie?*

A.Cz.: – W literaturze emigracyjnej – także tej XIX-wiecznej – ten motyw przewija się oczywiście w twórczości ludzi dojrzałych, piszących z perspektywy dojrzałości. Ja zaś, jak już zauważyłem, pisałem „Fragmenty” z perspektywy dziecka, jakby na gorąco. Więc za wcześnie na idealizację. A gdybym starał się idealizować, idealizowałbym nie Polskę przecież, a Turcję, Palestynę, Liban!



B.T.: *Jak wyglądało przed wojną życie w tzw. „wyższych sferach”?*

A.Cz.: – Z moich własnych wspomnień wyłania się obraz mglisty, fragmentaryczny, dotyczący głównie naszego komfortowego, obszernego mieszkania w centrum Warszawy i wczasów letnich pod Płockiem. Z opowiadań i zapisków matki wiem o balach, przyjęciach na Zamku, rautach, Sylwestrach, kabaretach i operze, o wyjazdach rodziców do Paryża, Nicei, Berlina, Aten. Dotyczy to ostatnich lat przed wojną. Ojciec tych tematów nie poruszał; wołał zajmować się polityką i historią tego okresu, przekonywać mnie o wielkości i mądrości Piłsudskiego, o skuteczności ówczesnych rządów, a do tych wypowiedzi prowokowała go moja agresywna, młodzieńcza krytyka tego okresu: on przeżywał i uczestniczył w sukcesach lat 1918 i 1920, ja znałem tylko klęskę 1939.

B.T.: – *Opisał Pan wstrząsający epizod związany z Powstaniem Warszawskim i śmiercią Pana kuzyna Jacka Świtalskiego. Wspomniał Pan o aresztowaniu wuja Kazimierza\*, książka poświęcona została pamięci Janiny Świtalskiej. Czy mógłby Pan powiedzieć więcej na temat losów państwa Świtalskich po 1945 roku? Pana wuj zginął w 1962 roku w niewyjaśnionych okolicznościach. Jaki był powód jego aresztowania po wojnie?*

A.Cz.: – Kiedy w 1939 Niemcy dzielili się z Rosjanami polskimi jeńcami zniewolonymi nad Bugiem, wujowi przypadła niewola niemiecka i tak uniknął Katyń. Po wyzwoleniu mógł zostać na Zachodzie, osiąść w Londynie, gdzie miał siedzibę legalny Rząd Polski, ale zdecydował się wrócić do żony w Polsce. Osądzono go za ujarzmienie strajku okupacyjnego w Krakowie, kiedy kilka osób zginęło. Policja strzelała, za jego niebytności, bez jego zgody. Ale jako wojewoda krakowski formalnie ponosił odpowiedzialność. Chodziło tu jednak oczywiście nie o sprawiedliwość, ale o zemstę. Dlatego go zamknęli i torturowali, stał w wodzie...

Do Powstania Ciotka przeżyła okupację w Warszawie.

\* Kazimierz Świtalski (1886-1962), jeden z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego; w 1929 r. premier, w latach 1933-35 marszałek Sejmu; 1935-36 – wojewoda krakowski. W czasie wojny więziony w obozie hitlerowskim Woldenberg, w latach 1948-1956 więziony przez władze PRL, zrehabilitowany.

Udało jej się uciec do Zalesia Dolnego, gdzie przebywała do połowy lat sześćdziesiątych. Tam przechowywała archiwum wuja, które jednak zabrali jej ubecy. Wróciła do Warszawy, ale bardzo niechętnie. Zawsze kochała przyrodę. Mając lat 70 jeszcze jeździła na nartach; wczasowała w Suwałkach. Była wielką anglofilką z dumą opowiadała, że po wojnie jedna z pierwszych zapisała się do biblioteki British Council, co było wówczas oczywiście czynem ryzykownym. Uczyła angielskiego w jakiejś instytucji ale ją wyrzucili z pracy, kiedy się dowiedzieli, że jest żoną przedwojennego premiera. Rodzice zapraszali ją do Londynu, gdzie widywała się z czołowymi piłsudczykami, była dobrze poinformowana, regularnie słuchała BBC. Mimo, że straciła jedynaka w Powstaniu, że męża męczyli ubecy, że sama była szykanowana, zachowała niesamowitą pogodę ducha, a prawie do końca, mając już blisko sto lat, sprawność umysłową i fizyczną. Przez przeszło trzydzieści lat od mojej pierwszej powojennej wizyty w 1963 regularnie ją odwiedzałem. Korzystałem z jej serdecznej gościnności, troskliwości, wiedzy, inteligencji; byłem dla niej zdaje się przybrany synem. Była przeciwieństwem mojej matki, uczuciowej, zapadłej w prawie nie ustającą melancholię i apatię po śmierci mojego ojca w 1973. Ciotka zmarła w 1995. Pochowana na Powązkach razem ze swym synem, mężem i teściem, powstańcem z 1863r. Matka zmarła w Chicago rok później, przeleżawszy sześć lat w szpitalu w stanie nieprzytomnym.

B.T.: – *Wspomniał Pan, że wuj zginął w dziwnych okolicznościach. Czy to przypuszczenie?*

A.Cz.: – Tak. Potrafił go tramwaj. Mówiono, że ktoś go pchnął. Może to była zrozumiała w tamtych czasach paranoja: jak bywałem u niej, ciotka zawsze otulała telefon poduszką, w przekonaniu, że w słuchawce jest zainstalowany podsłuch.

B.T.: – *Pańska autobiografia kończy się na roku 1952. Jakie były dalsze losy Pańskiej rodziny?*

A.Cz.: – Siostra ukończyła medycynę, wyszła za mąż za żołnierza II Korpusu, bohatera spod Tobruku i Monte Cassino. Wyemigrowali do Stanów, osiedli w Chicago, gdzie siostra pracowała jako pediatra; mąż jej zmarł wcześniej na raka. Ma dwie córki, troje wnuków, cztery psy, dwa koty i kanarka. Ojciec zmarł w 1971 w Londynie. Bardzo angażował się



w życie polityczne emigracji do końca. Stale go namawiałem, żeby ten czas poświęcił na pisanie własnych wspomnień. Częściowo to uczynił i po jego śmierci znalazłem rękopis jego kroniki z okresu belwederskiego: Giedroyc ją wydrukował w *Zeszytach Historycznych*. A ostatnio miałem dużą niespodziankę: warszawska *Karta* opublikowała wybór jego listów z okresu Legionów, pisanych z frontu. Mam ten zbiór w maszynopisie, który przekazała mi ciotka Świtalska. Nie wiedziałem, że kopia znajduje się w Bibliotece Narodowej, gdzie ją zdeponowała ciotka. Redakcja *Karty* tam maszynopis znalazła.

B.T.: – Mam wrażenie, że to koczownicze, niespokojne dzieciństwo ukształtowało w pełni Pana widzenie świata, tzn. poczucie tymczasowości, prowizoryczności istnienia, braku jakichkolwiek fundamentów. Czy Pan zgodzi się z takim stwierdzeniem? Niepewność wynikająca z nadmiaru świadomości, z natłoku przeżyć, owocuje – moim zdaniem – w Pana twórczości groteską, ironią, absurdem...

A.Cz.: – W dużej mierze, ale może niezupełnie. Objawia się to chyba głównie w moich narracjach. Zresztą przypomnieć przecież muszę, co spowodowało to koczownicze, niespokojne dzieciństwo. Mogło być np. spowodowane karierą dyplomatyczną ojca: przenosi się na różne stanowiska z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent, czyli że wszystko odbywa się według planu, bez stresów i gwałtu. Ale w moim wypadku oczywiście do tych przenosin zmusiła nas wojna. Bestialstwa Niemców i Rosjan opanowały moją świadomość bardzo wcześniej: dowodziły, że chaos moralny, a raczej kompletna amoralność, jest zjawiskiem normalnym.

B.T.: – O rzeczywistości absurdalnej mówimy językiem absurdu?

A.Cz.: – Bywają różne formy absurdu. Moja wywodzi się chyba z Kafki, którego lekturę polecił mi Michał Chmielowiec, i z Borowskiego. Obaj komponują swoje utwory na nadzwyczaj prostej, a przerażającej w skutkach zasadzie: że nienormalne jest normalnym. Dobrze, że Pani użyła określenia „rzeczywistość absurdalna”: komentatorzy raczej nie spostrzegali, że – posługując się słowami Chmielowca – „Tematem [‘Części mniejszej całości’] jest uduchowiony, wykrzywiony, lecz wyraźnie rozpoznawalny świat współczesny, a przede wszystkim jego schorzenia, choroby XX w.”

B.T.: – Mam wrażenie, że Pana twórczość stale odwołuje się do tradycji kultury europejskiej, stawia jej zarzadem bardzo pesymistyczną diagnozę, poczucie absurdu istnienia jest przecież symptomem głębszego cywilizacyjno-kulturowego kryzysu. A poza tym jest tu jakaś obsesja końca, apokalipsy?

A.Cz.: – Taki wniosek można chyba wyciągnąć na podstawie lektury moich narracji. Ale one raczej reprezentują jedno skrzydło mojej dialektyki, którą w formie retorycznego pytania przedstawiam w zakończeniu któregoś mojego „Komentarza” tak: „O świecie, świecie, czy przenika nas grozą i radością twój domniemany ład czy chaos?” Jest to też temat jednego z moich „babilońskich” wierszy:

klasyczne proporcje w zmierzonej przestrzeni  
konkluzja zgodna z klarownym przesłaniem  
na moście pociąg w dole karny strumień  
a jednak pożar potop gwałt i pożądanie

A jako epigraf do zbioru wierszy, który właśnie przygotowałem do druku, wybrałem taką myśl Antoniego Kępińskiego:

Z sięgnięciem w przyszłość wiąże się transcendentna natura człowieka, nadzieja, że z jego śmiercią nie wszystko się kończy, że porządek, który stworzył, sięga dalej niż jego życie. Porządek ten staje się jakby mitem, który nadaje sens życiu i śmierci. Zdarza się bowiem – i to nie tak rzadko – że dla tego mitu poświęca się własne życie.

B.T.: – Chciałabym powrócić jeszcze do pojęcia absurdu istnienia. Czy Sartre jako egzystencjalista jest Panu bliski?

A.Cz.: – „La Nausée” zrobiła na mnie kiedyś duże wrażenie; ale również „L’existentialisme est un humanisme”, która głosi, że wartości obiektywnie nie istnieją, że należy je samemu stwarzać. Można ten argument odczytać pesymistycznie, jako afirmację absurdu egzystencji, ale można go uznać, i tak właśnie ja go uznałem, za bodziec do wypracowania sobie własnych wartości.

B.T.: – Chciałabym poruszyć jeszcze problem tożsamości w Pańskiej poezji i prozie. Nie zgadzam się z Alicją Lisiecką, że jest to rzecz mało istotna. Uważam, że problem



jest bardzo ważny. W prozie tożsamość jest najczęściej rozbita, rozproszona. Kim jest narrator w opowiadaniach „Rozproszony”, „Rachelą w Rzymie”? W opowiadaniu „Rozproszony” narrator tłumaczy, że z jednej strony bohaterka należy utożsamić z samym autorem, z drugiej zaś z wykonawcami rozkazów Hitlera. Poza tym pojawia się tajemnicza postać: Józef Zenon Tynicki. Skąd wziął się pomysł stworzenia tej postaci? To jest kolejne piętro mistyfikacji. Czemu to służy?

A.Cz.: – Zgadzam się z Panią, że w tamtych wczesnych latach, kiedy powstawały te narracje, problem tożsamości mnie absorbował, ale właśnie w prozie, chyba nie w poezji. Kim jest narrator w tych dwóch opowiadaniach? „Rozproszony” stanowi coś w rodzaju glossy do „Racheli”. Tyle tylko chciałbym na ten temat powiedzieć.

B.T.: – Czemu służy mitografia w końcu „Aktu”? Obok realnych, znanych utworów są z pewnością fikcyjne.

A.Cz.: – Pełni taką rolę, jaką w dziele naukowym pełni bibliografia.

B.T.: – A Józef Zenon Tynicki?

A.Cz.: – To mój kuzyn, z którym łączy mnie serdeczna przyjaźń i wspólnota zainteresowań; słucham jego rad. A czasem jednak, jak to Tynicki ujawnił w swym skandalicznym wstępie do „Aktu”, dochodzi między nami do bolesnych konfliktów. Ale są tacy, jak np. dr Marian Kisiel, którzy twierdzą, że go zmyśliłem. A jeśli ktoś z takim autorytetem tak twierdzi...

B.T.: – Niektórzy krytycy piszą, że bohaterem Pana prozy jest Everyman, jak w twórczości Różewicza. Czy to przypadkowa zbieżność?

A.Cz.: – Chyba od czasów Kafki, a w przeciwieństwie do powieściopisarzy XIX wieku, bohaterem utworów prozatorskich często bywa Everyman.

B.T.: – Interesujące są Pana dywagacje na temat Kartezjusza w książce „Akt”. Czy Kartezjusz jest Panu bliski?

A.Cz.: – Tak, nawet zamierzałem o nim książkę napisać na zamówienie angielskiego wydawcy, ale zabrakło mi czasu. Kiedy wprowadzałem studentów na pierwszym roku do filozofii, zadziwiałem ich twierdzeniem, że każdy z nich jest filozofem, dlatego, że filozofia nie jest jakąś wygrodzoną dziedziną wiedzy, jak historia czy astronomia, której trzeba się uczyć; że przeciwnie, każdy z nas już w dzieciństwie stawia sobie i rodzicom pytania filozoficzne. Dlatego na tych wstępnych seminariach dyskutowaliśmy Medytacje Kartezjańskie, których fundamentem jest jaźń nie tylko samego Kartezjusza, ale właśnie każdego czytelnika jego dzieła, który podobnie rozpoczyna od analizy własnej jaźni.

B.T.: Pan ukazuje dramat nieuchwytności „ja”, a zatem jakby podważenie kartezjańskiego cogito ergo sum. Kartezjusz świadom był niedociągnięć swojej koncepcji?

A.Cz.: – W rozmowach i w obfitej korespondencji z wieloma świetlanymi umysłami epoki uparcie odpierał ich argumenty skierowane przeciw cogito. Skoro z cogito uczynił podwalinę swej filozofii, musiał tak postępować. Ale to może świadczyć o ograniczeniach jego filozofii. Do moich wybranych filozofów należą także Platon i Wittgenstein, a to dlatego, że nie zawahali się poddać zasad swej filozofii druzgocącej krytyce. W „Parmenidesie” Sokrates niweluje filozofię idealnych form, w „Dociekaniach” Wittgenstein rozprawia się ze swym młodzieńczym „Tractatusem”.

B.T.: – Obrona cogito była z pewnością obroną ładu.

A.Cz.: – Naturalnie. I więcej niż obroną: Kartezjusz był przekonany, że znalazł tu absolutnie niepodważalną, niezaprzeczalną prawdę, którą, co najważniejsze, każdy z nas sprawdza własnym doświadczeniem. Któż zakwestionuje pewność, że myśli, że jest przytomnym? A przecież nawet kwestionując, myślący dalej myśli, a więc egzystuje!

B.T.: – Może jest jeszcze jakaś trzecia droga, np., że rzeczywistość istnieje i nie istnieje, wszystko jest względne, poczucie relatywizacji?

A.Cz.: – Nie dla mnie. Jestem nieugiętym platonistą.



B.T.: – *Chciałabym przejść do tematu przestrzeni. Czy Polska pozostawała przez lata dla Pana, jak dla Andrzeja Buszy, jedynie abstrakcją? Bardzo spodobał mi się fragment z opowiadania „Wojaż” z lat sześćdziesiątych. Bohater tego opowiadania mówi: „Polska to chaotyczny, denerwujący melanz, bez wyraźnego oblicza, w którym tylko stroje ludowe i pałace kultury wprowadzały element ładu i jednolitości”. Czy takie widzenie było także udziałem autora?*

A.Cz.: – W przeciwieństwie do Buszy, który zdążył się zaledwie w Polsce urodzić, a więc nie mógł wynieść z kraju żadnych wspomnień, ja miałem w pamięci Polskę przedwojenną i okupacyjną w wymiarach, w jakich ją opisałem w mojej autobiografii. A to oczywiście władze PRL starały się wycisnąć własne piętno ludowością i pałacowością kultury.

B.T.: – *Czy miał Pan kłopoty z cenzurą w okresie PRL-u?*

A.Cz.: – Znikome w porównaniu z cenzurą stosowaną przez działających w „wolnym świecie” rodaków! Udokumentowałem przykłady w eseju „Książę Poetów o sobie”, ogłoszonym w bydgoskiej *Metaforze*, a także w „Krótkopisie”.

B.T.: – *W 1988 w ankiecie o Gombrowiczu, na łamach Zdania, pisze Pan, że z Polską poza Dziennikiem Gombrowicza, wierszami kilku poetów, poza przypadkiem nic Pana nie łączy.*

A.Cz.: – Ta ankieta była przedrukiem z *Wiadomości* londyńskich z r.1969, czyli ciężkiego okresu po-marcowego, kiedy kraj mi się zaprezentował w wybitnie ciemnych barwach. Stąd mój zgorzkniały, pesymistyczny ton.

B.T.: – *Czy czytał Pan w „Prywatnych obowiązkach” reakcję Miłosza na wypowiedź Pana zawartą w Zdaniu: „Jakby mnie ktoś w twarz uderzył”.*

A.Cz.: – W odpowiedzi na pierwsze pytanie ankiety, ile miejsca poświęciłbym Gombrowiczowi, gdybym pisał historię literatury polskiej, stwierdziłem, że „komponowanie historii literatury jest zajęciem dla szarlatanów i pedantów.” Ale dodałem:

„Zresztą, dlaczego nie. Tak dla zabawy. Zaprojektujmy im historię literatury. Ilość stron w nawiasach. Kochanowski (5), Sęp-Szarzyński (5,23), Malczewski (2), Krasiński (0,94), Norwid (7,11), Herbert (4), Bursa (3,3), Leo Lipski (2,1), Lec (16), Mrozek (17), Kołakowski (19), Gombrowicz (19,999999....). W przypiskach maczkiem wymieniłbym jeszcze Mickiewicza, Prusa, Leśmiana i Miłosza.”

A w „Krótkopisie” tak temat rozwijam:

„Pierwsze zdanie tej odpowiedzi umieściła jako epigraf do swej krytycznej oceny ‘The History of Polish Literature’ Miłosza Maria Danilewicz-Zielińska. Miłosz z kolei, nobilitując to zdanie mianem «aforyzmu», oznajmił w ‘Prywatnych obowiązkach’, że poczuł się nim spoliczkowany i orzekł o autorze, że «obolały i nienawistny musi to być jegomość». Dlaczego sceptycyzm wobec kompilatorów literackich ma stanowić dowód skłócenia ze światem trudno dociec. Ale przynajmniej zakodowany w dziele mistrza, uzyskałem mimo woli gwarancję nieśmiertelności.”

B.T.: – *Jaki jest Pański obraz Polski teraz, kiedy komunizm upadł? Jak Pan ocenia przemiany ustrojowe w naszym kraju?*

A.Cz.: – Źle się orientuję w polityce; dostrzegam tylko groźnie rozwijającą się władzę Kościoła, a raduję się, że kiedykolwiek przyjeżdżam z wizytą, nie jestem na granicy i w hotelach szykanowany przez ubecję.

B.T.: – *Czy Anglia istotnie wprowadzała w Pańską biografię element sielskości? Tytuł rozdziału „Lata sielskie, angielskie” w angielskim wydaniu brzmi „Anglia w deszczu”.*

A.Cz.: – Polski tytuł bardziej mi się udał. Po chaosie i awanturnictwie Bliskiego Wschodu doświadczałem spokoju i ładu społecznego w Anglii. Radowałem się, że jestem z powrotem w Europie.

B.T.: – *Jan Darowski pisał o obcości całego pokolenia wobec społeczeństwa angielskiego: „Żyjemy w nim jako niemi świadkowie, tak naprawdę nie zapuściliśmy tutaj korzeni”. Jak Pan by się ustosunkował do tych słów?*



A.Cz.: – Negatywnie.

B.T.: – *Czy Anglia stała się drugą ojczyzną?*

A.Cz.: – Tak. Temperament angielski, styl życia, ustrój, wydały mi się bardzo atrakcyjne. Wśród Polaków było to stanowisko wyjątkowe. Ożeniłem się z Angielką, tu ukończyłem wyższe studia. Teraz delektuję się Szkocją.

B.T.: – *Czy Londyn był dla Pana, jak dla Ławrynowicza, Darowskiego, Anglobabilonem, Molochem, czy też ten obraz był inny? Negatywne obrazy Londynu dosyć często można było spotkać w poezji grupy Kontynentów.*

A.Cz.: – Nie, przeciwnie. Często cytowałem słynną wypowiedź Samuela Johnsona: „Zmęczony Londynem jest zmęczony życiem”. Wielki frankofil Ławrynowicz pracował w londyńskim banku; nalegał, by go przeniesiono do Paryża. Po roku zdecydował powrócić do Londynu, bo uważał że mu w Paryżu nie dość płacili! Nosił węża w kieszeni.

B.T.: – *Ale w opowiadaniu „Rozproszony” pisze Pan, że „Londyn jest teraz skorupą, z której dawno wyparowało życie”.*

A.Cz.: – „Rozproszony” nie jest fragmentem mojej autobiografii!

B.T.: – *Czy mieszkał Pan kiedyś w Paryżu?*

A.Cz.: – Bywałem na krótko; zatrzymywałem się przeważnie u Giedroycia w Maisons-Laffitte. I tam nieraz, ku jego zdziwieniu, częściej przesiadywałem na rozmowach i czytałem polską prasę, niż jeździłem do stolicy.

B.T.: – *W Pańskim opowiadaniu „Rozproszony” pojawia się Wenecja, Tel Awiw, w opowiadaniu „Albowiem” pisze Pan: „miasto się kończy i Londyn zaczyna”.*

A.Cz.: – Miasto to jest City, „City of London”, czyli serce Londynu. Tam są pozostałości rzymskiego osiedla Londinium. Dzisiaj to jest dzielnica bankowa, jeden z wielkich ośrodków międzynarodowej finansjery.

B.T.: – *W opowiadaniu „Wojaz” wyspa Bilboa – która przypomina Anglię – oznacza przestrzeń fikcyjną?*

A.Cz.: – Podobno Bilboa-Sud załazy wody Pacyfiku po niedawnym trzęsieniu ziemi.

B.T.: – *W opowiadaniu „Dzień w życiu bywalca” z „Części mniejszej całości” pojawiają się nazwy angielskie, polskie, rosyjskie, francuskie... Czy to przestrzeń fikcyjna?*

A.Cz.: – „Dzień w życiu bywalca” jest usytuowane właśnie w sercu Londynu.

B.T.: – *Dość często w poezji grupy Kontynentów pojawia się Gloucester Road czy Clapham Common, jak w wierszach Śmieji. Czy te miejsca miały jakieś szczególne znaczenie?*

A.Cz.: – Na Clapham mieszkało wielu Polaków, także wówczas Czaykowski, Darowski i Sito; przy Gloucester Road mieszkał Ławrynowicz, u którego często ześmy się zbierali, gdzie w pobliżu było sporo polskich instytucji i klubów.

B.T.: – *Z problemem tożsamości łączy się obsesja siebie, głównie jako twórcy. W „Koncercie życzeń” na przykład czytamy: „Jego [Czerniawskiego] poezji nikt nie rozumie, to jest grafomania”. Czy ta obsesja jest po części wynikiem nieporozumień z krytykami i czy nadal ma Pan kłopoty z krytyką?*

A.Cz.: – Znów przypominam, że dzieło literackie nie jest autobiografią autora! A swoją drogą każdemu chyba pisarzowi wydaje się, że jest niedocenionym. Pisarze bywają bardzo wrażliwi na krytykę negatywną, szybko zapominają o pozytywnej. Dlatego, gwoli obiektywności, postępuję się opiniami innych.

Piotr Wilczek stwierdził niedawno w *Kulturze*, że „Czerniawski jest bardziej ceniony w Wielkiej Brytanii [...] niż w kraju ojczystym”.

Nie ma mnie w wydanej właśnie przez Karla Dedeciusa monumentalnej, dwutomowej antologii poezji polskiej XX w. od Kasprowicza do Artura Szłosarka urodzonego w 1968. Kiedy dzieło było przygotowywane, jeden z zakwalifikowanych do niego poetów upomniał się o mnie i nawet propo-



nował okrojenie własnej reprezentacji, by mnie zmieścić. Decidus wyjaśnił, że nie jestem dobrze notowanym przez polską krytykę. Wiem, że chodzi o kilku bardzo wpływowych opiniotwórców.

Ale nie narzekam, bo przecież w przeciągu blisko pół wieku udało mi się trafić do aż dwu antologii wydanych w kraju. Natomiast, o ile wiem, nie wyróżniono mnie jeszcze w wypisach i podręcznikach szkolnych.

B.T.: – *Spotkałam się ze stwierdzeniem, że autor jest odpowiedzialny za tekst tylko w 50%. Drugie 50% to odbiorca.*

A.Cz.: – Takiej precyzji bym się nie doszukiwał, ale w zasadzie przyjmuję, że udane dzieło nie jest jednoznaczne, że właśnie jego wielostronność decyduje o jego wartości. Publikując dzieło, autor staje się jednym z jego czytelników, nie korzysta już z przywileju autorstwa.

B.T.: – *Krytycy wielokrotnie porównywali Pana twórczość z twórczością Gombrowicza, a także Witkiewicza.*

A.Cz.: – W młodości, kiedy właśnie pisałem swoje narracje, dobrze się bawiłem lekturą Gombrowicza, ale sądzę, że Lisiecka ma rację argumentując, iż nasze „poetyki” różnią się zasadniczo. Witkiewicza widziałem zaledwie parę sztuk, z których jednej w ogóle nie zrozumiałem (może dlatego, że była grana przez angielskich aktorów!): przed przerwą było nas trzech na sali, po przerwie miałem tylko jednego towarzysza niedoli; a w interesującym nas tu okresie niczego jego nie znałem.

B.T.: – *Czy do Gombrowicza nie trzeba było podchodzić na kolanach?*

A.Cz.: – Przeciwnie, należało podchodzić ostro, polemicznie; ja tego trochę próbowałem w korespondencji z nim, którą po jego śmierci opublikowałem w londyńskiej Oficynie Poetów. Żałuję dziś, że nie byłem bardziej agresywny. On na takie podejście umiał odpowiednio reagować. Był na tyle człowiekiem Zachodu, w przeciwieństwie do Miłosza, orientalnego bożka, który tylko hołdy przyjmuje.

B.T.: – *Wydaje się, że z Gombrowiczem łączy Pana linia kartezyjska – nie możemy orzekać o istnieniu czegokolwiek poza danymi naszej świadomości. To jest to, co różni Miłosza od Gombrowicza. Dla Gombrowicza jest jeden tylko element rzeczywistości istniejący obiektywnie – ból, cierpienie. Miłosz pisał o Gombrowiczu, że z natury był manichejczykiem, bardzo wrażliwym na takie, nie inne urządzenie świata.*

A.Cz.: – Za mało Gombrowicza znam i dawno go już nie czytałem, więc nie czuję się tu kompetentnym; ograniczę się do „linii kartezyjskiej”, która ciągnie się o wiele dalej niż Pani, a może i Gombrowicz, przyjmują. „Cogito” jest zaledwie pierwszym krokiem. Ustaliwszy ten fundament, Kartezjusz daje dowód na istnienie świata i Boga-stwórcy, a więc wykroczyliśmy już bardzo daleko poza „dane naszej świadomości”.

B.T.: – *Czy pojawiły się w prasie emigracyjnej głosy odnośnie przedmowy Gombrowicza do zbioru Pańskich opowiadań? Czy ktoś to komentował?*

A.Cz.: – W posłowie do „Koncertu życzeń” Marian Kisiel zauważył, że „w przeciwieństwie do poezji i eseistyki – proza Adama Czerniawskiego pozostaje dzisiaj wciąż najmniej opisanym fragmentem jego pisarstwa. Bez ryzyka popełnienia większego błędu można postawić tezę, iż Czerniawski-prozaik prawie w ogóle nie funkcjonuje w świadomości krytycznej, zepchnięty został na literackie peryferie i dokładnie zapomniany”. Trudno mi się z tą konkluzją nie zgodzić, choć na emigracji paru osobom przedmowa dała asumpt do zaklasyfikowania mnie jako epigona Gombrowicza, czemu, jak już przed chwilą wspominałem, sprzeciwiła się żywo Lisiecka.

B.T.: – *Czajkowski i Busza w artykule opublikowanym w Pulsie podzielili poezję na poezję mowy (Mickiewicz, Miłosz) i poezję języka (Słowacki, Przyboś i Pan). Zwrócili uwagę – w przypadku Pańskich utworów – na pewne odchylenia jednakże w kierunku poezji mowy (wielogłosowość, aluzyjność, dyskursywność). Oznacza to zwrócenie uwagi na świat obiektywnie istniejący – bo przecież prawdy nie można wypowiedzieć jednym głosem?*

A.Cz.: – Owszem, są prawdy dające się wypowiedzieć jednym



głosem. Np. „ $2 + 2 = 4$ ” lub „Księżyc jest satelitą Ziemi”. Wielogłosowość natomiast występuje w przypadku, gdzie dwie osoby obserwują to samo zjawisko z różnych punktów widzenia. I, jak zgodziliśmy się przed chwilą, odnosi się to do odbioru dzieł sztuki. Ale wielogłosowość nie oznacza, że zbliżamy się do prawdy; a wielogłosowość wewnątrz utworu literackiego (jeśli nie pretenduje do realizmu lub naturalizmu) może w dużej mierze dotyczyć prawd mających zastosowanie tylko wewnątrz tego utworu. Tak się dzieje w baśniach i powiastkach *science-fiction*. Do jakiego stopnia moje utwory przez swoją wielogłosowość zbliżają się do prawd poza ich obrębem, inni muszą zdecydować.

Warszawa 1996 – Hawthornden Castle 1998



## Odkryj „Prasę Polską”

Najlepsze teksty z najlepszych gazet

Najcenniejsze jest to, że pismo jest obiektywne i bezstronne. Sam je czytam z zainteresowaniem i z pożytkiem.

Redaktor Kultury  
Jerzy Giedroyc

Przegląd Prasa Polska jest antologią tekstów prasowych, literackich i popularnonaukowych, ilustrowanych Galerią wybitnych plastyków.

Każdy, kto pocztą bądź faksem prześle swój adres - otrzyma okazowy egzemplarz.

Prasa Polska - 3 rue Robert Houdin  
75011 Paris (fax 00 331 49299760)

Zapraszamy!

## Kraj

### Kartki ze skażonej strefy

Lubię Warszawę w lecie. Do dziś mam w głowie jej nastrój, jej koloryt, które w chłody jesienne trzymają mnie przy życiu. Latem ulice przeredzone (z Warszawy w lecie wyjeżdża nawet biedota, głównie do rodzin na wsi). Uderzająco długie jasne wieczory oświetlone niby zorzą polarną z wolna schodzącym słońcem. Nie zapominajmy, że wszak jesteśmy na Północy! Piękna szara godzina dająca ukojenie nerwom. Gdzież to teraz?

Latem, zieleń drzew kryje brzydotę domów, w zimie szpetnie odsłoniętych. Na ulicach i jezdniach najwyżej kałuże, zamiast ślizgawicy, na powstałych na równinie górach, gdzie latami zwalano gruz zburzonego miasta, najwyżej chwasty samosiejki; wyrastające z nagła dziewanny, szafranowy wrotycz, zakurzone kiście dzikiego bzu. Z tych „gór śmieciowych” nierzadko fruwa młódzież na parolotniach (najnowsza namiętność), mając amfiteatr publiczności przyglądającej się ich wyczynom z okien bloków.

Ludzie na lekko, na kolorowo, w luźnych autobusach. Jeżeli kto powie, że śmierdzą, to skłamię z przyzwyczajenia.

Miron Białoszewski w ostatnich latach życia zwykł jeździć na pętli tramwajów i zapuszczać się w okoliczne rurowiska, na poły śmietniki, na poły kwietniki. Zdziwiał się, jak żyzną glebą okazują się odpadki! Przechadzał się wśród tych chaszcz, pełnych zieleni, pobitego szkła, rozgniecionych puszek, drutów, sprężyn, żelastwa, jak po „zonie” z filmu Tarkowskiego „Stalker”. Wybierał z tego niebieskie osty świecące nocą, gałęzie kaliny i jeszcze czegoś i rozstawiał te miotły po rogach swojego pokoju na „Chamowie”. Pachniało łąką.



Tak się składa, że i ja znalazłam swoją „zonę” tego lata na warszawskiej Woli. Pamiętam, że gdy chodziłam tam przed laty z małymi synami odwiedzając mamę, nie było gdzie wyjść na spacer. Spacerowaliśmy po łysych ścieżkach, które miały stać się parkiem przyszłości, w co nikt nie wierzył.

A jednak stał się. Park Moczydło (bo tak się miejsce nazywa), na rysownicach urbanistów oparł się wzorcom socrealizmu. A gdy drzewa porosły, odsłonił niebywałe szerokie perspektywy, przy których Łazienki wyglądają jak zagęszczony ogród liliputów. Dawne glinianki zamieniły się w wodne oczka z rybami; pagórki w ostro idące do góry wyciągi narcziarskie i saneczkarskie, co poznać po słupach z powybijanymi doszczętnie latarniami na czubku; z ławek też zostały resztki, ale rozmach pozostał, a póki wszystko to pokrywa bujnie kwitnąca polska zieleń, to polewana deszczem, to grzana słońcem, jak właśnie w tym roku – pięknie jest. To lubię.

Mało, że lubię. Nasuwa się szerszy wniosek, że Warszawa, przed którą totalne zburzenie w czasie Powstania otwierało szansę odbudowy według najlepszych wzorców, nie do końca tę szansę zaprzepaściła, co zdawało się nieuchronne, gdy ze spychaczami i dźwigami wkraczał do roboty socrealizm urbanistyczny. Napsuł wiele, ale robota jego była, na szczęście, niesolidna; paskudne kwartały budowli powoli zapadają się w nicość, a to, co dobre – drzewa, przestrzenie dające oddech, nowe fantazyjne style w budownictwie, może w nie najlepszym guście, ale preferowane jakby na przekór tamtej monotonii – rosną, nadając miastu oryginalny własny wyraz.

W owe piękne ostatnie lato, które spędziłam w Warszawie, zmarło prawie równocześnie kilku znaczących ludzi „z różnych szuflad”. Zbigniew Herbert, zostawiając na koniec piękny „szpitalny” wiersz „Brewiarz”; zmarł na Mazurach nagle Kazimierz Dziewanowski, dziennikarz, o którym gazety głównie wspominały, że był autorem owej jedynej przejmującej mowy Wałęsy, która wstrząsnęła amerykańskim parlamentem, wywołując stojącą owację, a którą odczytał, dziś

już nieżyjący, Jacek Kalabiński, oraz umarł niejaki płk Janusz Przymanowski.

O zmarłym nie należy nic, prócz dobra, i milczałabym na jego temat, gdyby nie pogrzeb. Odbył się z najwyższymi honorami wojskowymi, salwy, fanfary, całe widowisko, ukazane w głównych dziennikach telewizyjnych – zupełnie tak, jakby chowano bohatera.

A płk Przymanowski bynajmniej bohaterem nie był. Chyba, że negatywnym. Niech mu ziemia lekką będzie, i, jak mówię, nie napisałabym słowa, gdyby go pochowano skromnie.

Przymanowski był typem berlingowca na pokaz. Rozgłos przyniósł mu telewizyjny serial dla dzieci „Czterej pancerni i pies”. Do końca wierny partii. Jego mowa sejmowa w stanie wojennym swoim jadem przeciw pokonanym solidarnościowcom przebiła wszystkie przemówienia zawodowych aparatczyków.

Pisarz-wojak, w tej roli występował. Lubił drapować się w panterkę, nawet już w starszym wieku. Uczestniczyłam w wyprawie dziennikarskiej do garnizonu wrocławskiego, którą prowadził, pod hasłem „wojsko – kulturze”. Była to jedna z popularnych wówczas kurso-konferencji polegających głównie na kilkudniowej wypitce. Przymanowski już w autokarze pokazał, kto tu rządzi. Uwagi typu „już ja bym was wymusztrował, gdybym miał wolną rękę”, przeplatał wyjątkowo niewybrednym dostawianiem się do kobiet. Wzgardzony, usadowił się na przodzie, obok kierowcy i wyniośle milczał. I nagle, jednym głosem wyrwało się ze wszystkich piersi na nutę „O, mój rozmarynie...”:

*O, mój Przymanowski, rozwijaj się,*

*O mój Przymanowski, rozwijaj się,*

*Partia cię miłuje,*

*Pies cię pocałuje,*

*Ale nie my...*

„Ale nie my” niosło się w noc, powtarzane bez końca.

Brzydkie wspomnienie o zmarłym, przyznaję. Nie byłoby go, gdyby minister obrony, Janusz Onyszkiewicz (bo musiał rozkaz paść z góry), nie zatwierdził takiego pogrzebu. Bezmyślność, zaniedbanie? Co ma myśleć młode pokolenie, już



i tak niedokształcone historycznie, o osobie chowanej z najwyższymi honorami państwowymi? Że bohater? Jest to po prostu wprowadzanie ludzi w błąd.

Na początku był ROPCIO, czyli Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Zbierał się w mieszkaniu Kazimierza Janusza na dziewiątym piętrze korytarzowca, w którym mieszkałam, na ulicy Czerniakowskiej 34. Gdy u Janusza założono podsłuch – niewybrednym, ale powszechnie stosowanym sposobem, wzywając Januszów i najbliższych sąsiadów na milicję w sprawie rzekomej kradzieży pierścionka, żeby mieć wolną rękę w mieszkaniu – otóż kiedy założono ten podsłuch, zebrania ROPCIA przeniosły się pod zsymp na tymże piętrze. Zsymp był wąski, śmieci rozsypywały się na wszystkie strony szerokiego podestu schodów, skąd przez okna rozciągał się szeroki widok na działki pracownicze i Wisłę. Zebrani ropciowcy, przestępując z nogi na nogę, trochę jak na *garden-party*, roztrząsali tam sprawy przyszłej Polski i swojej w niej władzy.

ROPCIO nie miał jednak długiego żywota. Nie zmiotła ich bezpieka, sami się zmiotli. Prędko skłócili się z sobą i rozpadli. Leszek Moczulski założył wówczas KPN, a ci, którzy nie chcieli poddać się jego dyktatowi rozproszyli się. Nie na długo wszakże.

Gdy nadszedł czas Wielkiej Przemiany większość z nich szybko sfotografowała się z Wałęsą i weszła w Sejmie (nazwanym później Kontraktowym) do OKP, czyli Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego.

Pamiętam ten moment jak dziś. Lipiec 1989 roku. Świeżo obrany marszałek, Mikołaj Kozakiewicz, jeszcze z ZSL-u, otwiera pierwsze posiedzenie, dziękując zebranych za wybór: „tym, którzy na mnie głosowali, i tym, którzy byli przeciw...”. Raptem, z foteli wyskakują jak sprężyna niewielka postać, twarz lisio-sarmacka, i prosi o głos. Nim się kto spostrzegł, już stał na mównicy i głosem z lekka zaciągającym oznajmił, iż owszem, należy do grupy tych, którzy obecnego marszałka nie wybrali, ale nie życzy sobie od niego żadnych podziękowań ani uwag.

Na sali cisza. Oto padł pierwszy mały pocisk w wykluwającą się demokrację. Wymierzył go Jan Łopuszański. Niebawem padną następne podczas burzliwych od samego początku zebrania „Okapu”. Z różnych stron, ale najbardziej spektakularne pochodzą ze strony Stefana Niesiołowskiego, ścierającego się z Adamem Michnikiem, jak na *corridzie*, i młodzieutkiego Marka Jurka o słodko-groźnej buźce prymusa. Co tu gadać, spory te przyczyniły się w sumie do rozpadu Klubu.

Burzyciele, szermujący religijno-nacjonalistyczną retoryką, bez oglądania się na bieżące potrzeby, na rzeczywistość, na konieczności chwili, stanowili zarodek ZChN-u czyli Zjednoczenia Chrześcijańsko Narodowego, które w przyszłych wyborach, już jako zwarta partia popierana przez Kościół, weszło do Parlamentu.

Mimo, że w ZChN-nie było wiele żalonych postaci, to jednak ton nadawała wymieniona trójca, od której ciągnęło inkwizycją. Wszyscy trzej – wraz z innymi posłami – mieli przed sobą olbrzymie zadanie stanowienia fundamentów demokracji, ale nie to im było w głowie.

W listopadzie 1991 roku pisałam w *Gazecie Wyborczej* w artykule pt. „Czego się boję”: „...oczu posła Łopuszańskiego, gdy wymawia słowo ‘wartości’. ‘Będziemy ich bronić w duchu naszej dotychczasowej retoryki, bo tak obiecaliśmy narodowi’. Boję się Leszka Moczulskiego jako jedyne go zbawcy... i jego ‘adiutanta’, Krzysztofa Króla, który z niezachwianą wiarą mówi, że ‘za parę lat weźmiemy wszystko’. Boję się fuzji tych ugrupowań, ich obecności w Sejmie, gdzie w imię ‘jedynej słusznej racji’ będą krzyczeć ‘liberum veto!’ Boję się, żeby mi nie zawyrokowali z mocą ustawy, co znaczą słowa ‘Bóg, honor i ojczyzna’, bo obawiam się, że znaczą one co innego dla mnie i co innego dla nich. Boję się tego prawie tak, jak bałam się, cofając się w czasie – łoskotu kolejowych drzwi na ośnieżonych stacyjkach, gdy w Boże Narodzenie 1981 roku ‘beprawnie’ udawałam się do Łowicza na chrzest wnuka. Jak w stalinizmie wysiedlenia wraz z matką z Warszawy jako osoby ‘martwej ręki’ (były takie przymiarki). I po wiem szczerze, mniej boję się postkomunistycznej lewicy, bo jest bezzębna niż idealnie uzębionych integrystów i superpatriotów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej... Boję się własnego



wstydu jako członka społeczeństwa, które zdobywszy klucz do demokracji, może go od siebie odrzucić... Jeżeli mój strach się nie sprawdzi, to uklęknę i przeproszę ZChN. I uczynię to z najwyższą radością”.

Jak na razie, nie było okazji.

Mamy rok 1998. Polska a wraz z nią ZChN od tamtego czasu przeżyły różne koleje losu, ale linia uprawianej przez Zjednoczenie demagogii zachowała doskonale tę samą linię.

Wypadki toczyły się dalej.

Pomówiony o agenturalność przez własnego ministra, Antoniego Macierewicza, w słynnej „aferze teczek” schodzi ze sceny i z przewodnictwa ZChN najbardziej jeszcze z nich umiarkowany, długoletni więzień komuny, Wiesław Chrzastowski. Najniefortunniej w świecie oddaje ster partii niedowarzonemu, lekko oceniając, Ryszardowi Czarneckiemu. Nie będę się o nim rozwodzić, bo skompromitowawszy się na szczęście dość wcześnie jako szef Komitetu Integracji Europejskiej, pogрузzył swoją dalszą karierę polityczną, mam nadzieję na długo. Gotowam opodatkować się do końca życia, żeby pozostał ministrem bez teki na zawsze.

Do ostatnich wyborów ZChN startowało w bloku z AWS. Obecny przewodniczący Zjednoczenia, Marian Piłka, stał się jednocześnie jednym z zastępców Krzaklewskiego.

Obecnie, jakby w cień zesłała opisana wyżej trójka ustępując miejsca ciut młodszemu retorykom. Na scenie pojawili się Jan Maria Jackowski, przystojny nordyk o nabożnym głosie, sprzężony z Radiem Maryja, oraz tyjący w oczach, roztrajkotany Michał Kamiński.

Bałam się ich poprzedników, Łopuszańskiego, Niesiołowskiego i Jurka, bo posiadali jakąś klasę, więc jako przeciwnicy mogli być groźni. Ich następcy nie mają jej za grosz. Nie można się ich bać, najwyżej – wyśmiać. Lawiranci, szantażyści polityczni, z miedzianym czołem łamią wszelkie względy lojalności wobec swoich, obcych i wyborców. Wypowiedziane słowo nie ma dla nich żadnej ceny. Dziś to, jutro tamto. Jak się ułoży.

Zewsząd w Polsce słyhać głosy: „pozwólcie młodym przyjść!” Radio, telewizja, prasa nawołują: „weźcie młodych do władzy, partii, samorządów, weźcie jak najmłodszych; niech oni decydują, niech wejdą. Będzie lepiej”. Otóż nie

trzeba ich brać. Sami wchodzą. Są. I nie jest lepiej.

Nie sprawdzili się. Nie tylko w ZChN-ie. W Unii Wolności rysuje się wśród najmłodszych parę interesujących postaci. Takich, jak na przykład Paweł Piskorski jak Mirosław Czech. Mówią do rzeczy, umieją się znaleźć w każdej sytuacji. I cóż z tego, skoro są bladzi. Tajemnicą polityka jest to coś, co czyni go porywającym. Charyzma. A takich nam brak.

Tak się złożyło, że mąż mój trafił na badania do szpitala policyjnego. Na sali sama policja z całego kraju w różnym wieku i stopnia. Zgodnie z panującą się w Polsce w zastraszającym tempie modą, i ich szpitalne gadki ozdabiał co drugie słowo przerywnik „kurwa”. Wypowiadany, bez agresji, bez urazy, bez świadomości – automatycznie.

Ale jednak, nie! Bo mąż zauważył, że w rozmowach z lekarzami „kurwę” zastępowało słowo „kurna”. Różnica subtelna fonetycznie, lecz znaczeniowo ogromna. I nikt się nie pomylił.

Zagadka psychologiczna. Kombatant-dzieciątko – Jacek Taylor. Adwokat o ujmującym, rozbrajającym uśmiechu; człowiek najwyższej wiarygodności. Bronił politycznych bezinteresownie i odważnie. Członek UW. I nagle, gdy tylko stał się ministrem d/s kombatantów – odbiło mu, jak mówią młodzi. W trybie ekspresowym stał się osobą represjonowaną. Na podobne orzeczenia starzy ludzie czekają latami. A dlaczego on stał się osobą represjonowaną, i to w mig? Przede wszystkim dlatego, że stał się ministrem od takich orzeczeń, co według prof. Ewy Łętowskiej koliduje z prawem. A z jakiej przyczyny? Otóż, prawie jeszcze w brzuszku mamusi – no nie, miał pół roczku – spędził miesiąc w obozie przesiedleńczym w Poznaniu. To wszystko. Uzyskał w ten sposób, pozał się Boże, przywileje i... wielki śmiech pospólstwa. Cały szacunek pryś. Na co mu to było – nikt nie zgadnie. Jak tłumaczyć takie zachowania?



Może parszywiejemy jako gatunek, gdy tylko znajdziemy się w okolicach władzy?

Ewa BERBERYUSZ

PS. Widocznie i ja sparszywiałam, skoro w *Kulturze* nr 7/8 br. popełniłam karygodny dla dziennikarza błąd niesprawdzenia, pisząc, iż w Australii nie ma senatu. Jest. Wycieczka naszych senatorów była więc zasadna. I tania. Płacili tylko za przelot, za resztę gospodarze. Jak się dalej dowiaduję z wiarygodnego źródła, była nie tylko zasadna, ale ze wszech miar pożyteczna i pracowita. Przepraszam zainteresowanych.

E.B.

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

## KOMUNIKAT PRASOWY

### Sprawy i troski

## Komitet Ratowania Białowieży

Wychodzący w Chicago *Dziennik Związkowy* zamieścił w dniu 3 lipca br. wywiad z biologiem, prof. Ewą Jastrzębską, na temat spustoszeń, jakie czyni w Puszczy Białowiejskiej przemysłowa eksploatacja na obszarze nie objętym statusem parku narodowego, wbrew kolejnym moratorium na wyrąb starych drzew, zręcznie obchodzonym przez zainteresowane zyskiem osoby i instytucje.

Społeczna reakcja na zawarte w wywiadzie informacje spowodowała, że 22 lipca w Chicago powstał *ad hoc* – pod kierunkiem prof. Jastrzębskiej – Komitet Ratowania Białowieży. Liczący 25 członków Komitet nie ma formalnej struktury ani zarządu. Jego praca opiera się na dobrowolnych, bezinteresownych działaniach skupionych w nim osób, ich przyjaciół i ludzi dobrej woli.

Komitet opracował petycję, którą podpisali na początek jego członkowie, i którą – wraz z listem zapowiadającym akcję zbierania podpisów – wysłano do premiera Rzeczypospolitej Polskiej Jerzego Buzka.

Petycja jest rozprowadzana wśród Polaków poza granicami kraju, głównie w Stanach Zjednoczonych. Każdy podpisujący może ją powielić i włączyć się do dalszej akcji zbierania podpisów.

Napływające egzemplarze petycji będą sukcesywnie wysyłane do kancelarii Premiera.

O akcji petycyjnej polonijnego Komitetu Ratowania Białowieży zostaną powiadomieni: Minister Ochrony Środowiska, Prezydent, Sejm i Senat RP, szefowie partii reprezentowanych w obu Izbach, osoby i instytucje szczególnie zainteresowane ochroną Puszczy Białowiejskiej oraz media.



## KOMUNIKAT PRASOWY

Puszcza Białowieska jest ostatnią pierwotną puszczą nizinną w całej Europie i ostatnim schronieniem wielu gatunków roślin i zwierząt – unikalnych nie tylko w skali Polski, ale i świata. W roku 1977 Puszcza została uznana za rezerwat biosfery UNESCO, a w 1979 wpisano ją na listę Światowego Dziedzictwa.

Tak skomplikowanego, przez tysiąclecia tworzonego ekosystemu nie da się utrzymać na niewielkim obszarze. Jak dotychczas tylko 16,6% polskiego terytorium Puszczy ma zapewnioną „bezpieczną przyszłość”. W praktyce jednak tak mały obszar – przy rabunkowej eksploatacji lasów otaczających, a więc kurczeniu się jego naturalnego otoczenia – może zostać jedynie nieco większym ogrodem zoologicznym, przestając być naturalnym biosystemem.

Tymczasem każdego roku wywozi się z Puszczy coraz więcej metrów sześciennych drewna uzyskiwanego z najcenniejszych dla niej starych drzew, niszcząc przy okazji ciężkimi maszynami całe otoczenie wraz z poszyciem i zmniejszając dramatycznie obszar pierwotnej puszczy.

Mając nadzieję, że dotychczasowe zaniedbania rządu Jerzego Buzka wynikają z braku rozeznania w tej sprawie, oczekuję – wreszcie odpowiedzialnej i skutecznej – dziejowej decyzji w sprawie Puszczy Białowieskiej. Decyzja taka leży w kompetencji rządu.

W szczególności domagam się:

1. Położenia kresu dalszej eksploatacji przemysłowej na całym obszarze Puszczy Białowieskiej. Jedynie skuteczne rozwiązanie widzimy w nadaniu jej w całości statusu Parku Narodowego.

2. Zbadania dotychczasowych przepisów, które umożliwiły nieodwracalne trwonienie skarbu narodowego, jakim jest Puszcza Białowieska, pociągnięcia do odpowiedzialności osób, które dopuściły się przekroczenia lub rozmyślnego obchodzenia istniejących przepisów oraz dokonania w nich odpowiednich zmian pod kątem skutecznej ochrony lasów pierwotnych.

3. Wyznaczenia na stanowisko ministra ochrony środowiska człowieka wiarygodnego i kompetentnego, dla którego działalność określona nazwą ministerstwa będzie celem nadrzędnym.

4. Zaniechanie szokującego projektu wcielenia Departamentu Ochrony Przyrody do Departamentu Leśnictwa.

Podpisaną petycję (imię, nazwisko, adres, telefon) odesłać na adres:

Komitet Ratowania Białowieży, Ms. Ewa Jastrzębska,  
6411 Lincoln Ave., # 414; Morton Grove, IL 60053-2654; USA

Podpisane petycje będą wysłane przez Komitet Ratowania Białowieży do Rządu RP.

Sąsiedzi

## Kronika niemiecka

GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE: W porównaniu do roku ubiegłego w pierwszym kwartale br. wskaźnik wzrostu gospodarczego w całych Niemczech wzrósł o 3,8% i był najwyższy od czasu zjednoczenia. W nowych landach był on jeszcze większy i wyniósł 4%. ■ Zdaniem przedstawicieli 6 największych niemieckich instytutów badawczych, landy wschodnie nie są w stanie samodzielnie wydestać się z zacofania gospodarczego. W tym roku wskaźnik bezrobocia wzrósł tam do 19,4% i jest dwukrotnie większy niż w landach zachodnich. Wydajność w Niemczech Wschodnich osiągnęła 60% wartości w starych landach. ■ Daimler-Benz, Volkswagen oraz Siemens należą do 20 koncernów na świecie o największych obrotach i zajmują kolejno miejsca 10, 13 i 15. ■ Kraje byłego bloku wschodniego importują obecnie więcej towarów niemieckich niż kraje Azji. ■ Pod koniec ub.r. w Niemczech z pomocy socjalnej utrzymywało się 2,9 miliona osób, w tym 2,25 miliona z obywatelstwem niemieckim i 668 000 obcokrajowców. ■ W Niemczech 1/3 powierzchni kraju wykorzystywana jest do celów rolniczych – w starych landach 30% i 41% w nowych landach. ■ Wyprzedzając Monachium, Düsseldorf i Frankfurt nad Menem, Berlin jest obecnie najdroższym miastem w Niemczech. ■ W pierwszej połowie br. inwestycje zagraniczne w Niemczech wzrosły do 14 miliardów marek i ocenia się, że mogą w skali roku osiągnąć 18,2 miliarda marek. ■ W roku ubiegłym liczba skradzionych samochodów w Niemczech spadła o 13,6% do poziomu z roku 1991. ■ Nakładem wydawnictwa Verlag Bertelsmann Stiftung Forschungsgruppe Europa ukazała się praca pt. „Kosten, Nutzen und Chancen der Osterweiterung für die Europäische Union” (Koszta, korzyści i szanse rozszerzenia Unii Europejskiej na Wschód). Jej autorzy Eric von Breska,



Martin Brusis, Claus Giering, Andras Inotaj i Monika Wohlfeld analizują w niej problemy związane z planami poszerzenia UE dotyczące płaszczyzny gospodarczej, polityki bezpieczeństwa, różnic interesów poszczególnych państw członkowskich i planowanych reform oraz w zakresie społecznym i kulturalnym. ■ POLITYKA: Z danych Federalnego Ministerstwa Finansów opublikowanych w maju br. wynika, że Republika Federalna wyasygnowała 133 miliardy marek w ramach pomocy dla reform w Rosji; obecnie Ministerstwo twierdzi, że zadłużenie Rosji w Niemczech wynosi 45 miliardów marek. Natomiast Federalne Ministerstwo Gospodarki ocenia długi rosyjskie w Niemczech na 75 miliardów marek. ■ Na początku sierpnia br. sekretarz stanu w Federalnym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Schelter zapowiedział interwencję w polskim Ministerstwie Sprawiedliwości, które jego zdaniem nie dość intensywnie ściga złodziei maszyn budowlanych ukradzonych w Niemczech, oficjalnie sprzedających swe łupy w ramach aukcji na terenie Polski. ■ Pod koniec maja br. niemiecki Bundestag dużą większością głosów anulował wszystkie wyroki sądów nazistowskich wydane z powodów politycznych, wojskowych, rasowych, religijnych i światopoglądowych jak też wyroki przeciwko homoseksualistom i dezertrom. Bundestag nie uchwalił odszkodowań dla ofiar. ■ Trzecia Wielka Izba Sądu Landowego w Lubece anulowała pod koniec maja br. wyroki śmierci przeciwko obrońcom Poczty Polskiej w Gdańsku z roku 1939 i zrehabilitowała skazanych. Równocześnie sędziowie orzekli, iż ówczesny sędzia sądu wojennego Kurt Bode, który w powojennych Niemczech Zachodnich piastował nawet stanowisko wiceprezesa Wyższego Sądu Landowego w Bremie, stał się winnym „nadużycia prawa”, wydając w ciągu jednego dnia 38 wyroków śmierci, co zdaniem składu sędziowskiego „świadczy o zamiarze skazania za wszelką cenę na karę śmierci”. Prokurator naczelny Günter Möller, który od lat zajmował się sprawą rehabilitacji obrońców i uznał ją za swój punkt honoru, wyraził zadowolenie z wyroku sądu w Lubece. Rodziny i potomkowie obrońców Poczty Polskiej otrzymają odszkodowania. ■ Mimo malejącej liczby osób starających się w Niemczech o azyl, przyjmując w roku ubiegłym wnioski 104 000 osób (1996 r. – 116 000) Republika Federalna była najpopularniejszym pod tym względem krajem przed Wielką Brytanią (40 600), Holandią (34 400) oraz Francją (21 400). ■ Wiceprzewodniczący frakcji CDU/CSU Seiters ostrzegł, że

po rozszerzeniu UE na tereny dotychczasowych państw członkowskich w poszukiwaniu pracy może przybywać rocznie od 340 000 do 680 000 osób z obecnych państw kandydackich. ■ Szef frakcji CDU/CSU Wolfgang Schäuble poparł żądania CSU domagającej się ograniczenia napływu oraz większej woli integracji wśród samych cudzoziemców żyjących już w Niemczech, za jej główny warunek uznając chęć nauki języka niemieckiego. „Jeśli rodzice tureccy uważają, że muszą trzymać swe dzieci z dala od wpływów świata zachodniego, to Niemcy nie są odpowiednim miejscem na to” – stwierdził Schäuble. Od roku 1988 do 1996 do Niemiec przybyło ponad 5 milionów cudzoziemców. ■ Z badań nad preferencjami partyjnymi w Niemczech Wschodnich wynika, że potencjał wyborczy partii skrajnie prawicowych wynosi tam około 10%. Naukowcy uważają jednak większe zwycięstwo wyborcze partii skrajnie prawicowych w wyborach do Bundestagu za mało prawdopodobne, nie wykluczają jednak wzrostu potencjału wyborców. ■ Polski minister spraw zagranicznych Bronisław Geremek otrzymał prestiżową nagrodę miasta Aachen (Akwizgran) „Karlspreis” za swe zaangażowanie „na rzecz dokończenia procesu jednoczenia Europy”. Wśród dotychczasowych laureatów znajdują się m.in. Konrad Adenauer, Sir Winston Churchill, Robert Schumann, Helmut Kohl, Vaclav Havel oraz Roman Herzog. ■ Jewish Claims Conference nadzorująca proces zwrotu byłego majątku żydowskiego w Niemczech wyraziła w połowie czerwca br. niezadowolenie z powodu przeciągania się zwracania byłej własności żydowskiej na terenie nowych landów. ■ Przewodniczący Ziomkostwa Ślązaków Hubert Hupka otrzymał Medal Honorowy miasta Raciborza za swój wkład na rzecz pomocy dla ofiar powodzi w tym mieście. Z powodu obaw przed możliwymi protestami ceremonia odbyła się bez udziału publiczności. ■ 22 sierpnia br. po raz pierwszy w przysiędze polskich żołnierzy w mieście Gubin uczestniczyła kompania żołnierzy Bundeswehry, a w przysiędze ich niemieckich kolegów w mieście Guben kompania żołnierzy Wojska Polskiego. Przed wojną Guben i Gubin stanowiły jedno miasto. ■ Berliński „Urząd Gaucka” postanowił ograniczyć od początku sierpnia br. udzielanie informacji na temat odległej w czasie współpracy osób z enerdownską bezpieką. Obecnie odmawia się informacji na temat osób, które swą współpracę definitywnie zakończyły przed 31.12.1975 r. Wyjątki dopuszczalne są tylko w przypadku przestępstw lub



naruszania podstawowych norm ludzkich i praworządności. Z regulacji tej wyłączeni też są członkowie rządu, posłowie i przywódcy partii oraz kandydaci na te stanowiska. ■ Mimo kontrowersji niemiecko-czeskich na tle żądań organizacji Niemców Sudeckich domagających się odszkodowań za utracone mienie dobre stosunki z Czechami leżą w elementarnym interesie Bawarii – stwierdził popierający żądania wypędzonych premier tego landu Edmund Stoiber z CSU. ■ W Saksonii otwarto w Pirnie pierwsze gimnazjum niemiecko-czeskie. Początkowo do wspólnej klasy 7-ej uczęszczać ma po 15 uczniów z obu krajów. Rząd landu planuje też podobne gimnazjum niemiecko-polskie w mieście Görlitz. ■ W pierwszej połowie czerwca br. w Słubicach oddano do użytku Collegium Polonicum, z którego korzystać mają studenci poznańskiego Uniwersytetu im. A. Mickiewicza oraz Uniwersytetu Europejskiego Vlodrina we Frankfurcie nad Odrą. ■ KULTURA: Laureatką tegorocznej Śląskiej Nagrody Kulturalnej landu Dolnej Saksonii została wrocławska poetka Urszula Kozioł. Uroczystość wręczenia nagrody odbyła się we Wrocławiu. ■ W Warszawie otwarto oficjalne przedstawicielstwo Niemieckiej Służby Wymiany Akademickiej DAAD. Od 1991 roku ze stypendium fundacji korzysta rocznie 3200 naukowców, doktorantów i studentów polskich i niemieckich. 75% z nich to obywatele polscy, korzystający z możliwości pobytu i pracy naukowej w Niemczech, 25% to obywatele niemieccy korzystający z tych możliwości w Polsce. ■ Laureatem tegorocznej Nagrody Pokojowej Księgarzy Niemieckich został znany pisarz niemiecki Martin Walser, który otrzyma ją 11.10.98 r. ■ Trwają spory na tle roszczeń holenderskiego Instytutu Historii Wojny w sprawie uzyskania odnalezionych niedawno stron dzienników Anne Frank i włączenia ich do całości posiadanych zbiorów. Ich obecny posiadacz domaga się w zamian przekazania sumy kilku milionów dolarów na konto Centrum Anne Frank w Nowym Jorku. ■ Austriacki historyk Melissa Müller, która napisała najnowszą biografię Anne Frank, twierdzi, że autorkę słynnych dzienników wydała nazistom sprzątaczką Lena Hartog. ■ Przedstawiciele środowisk żydowskich w Berlinie i całych Niemczech ostro sprzeciwiają się zamiarom wystawienia w berlińskim Teatrze im. Maxima Gorkiego sztuki Rainera Fassbindera pt. „Der Müll, die Stadt und der Tod” (Śmieci, miasto i śmierć). Na skutek podobnych protestów sztukę zdjęto z programu jednego z teatrów we Frankfurcie

nad Menem w roku 1985. Szczególny sprzeciw budzą m.in. fragmenty: „Bogaty Żyd: (...) Kupuję stare domy w tym mieście, burzę je, buduję nowe, które dobrze sprzedają. Mięso chroni mnie, bo musi. Przecież jestem Żydem. Prezydent policji jest mym przyjacielem, (...) burmistrz chętnie mnie zaprasza, liczyć też mogę na członków rady miasta. (...) Tak, że może być mi obojętne, czy płaczą dzieci, czy cierpią starzy i niedołęzni; Hans von Gluck: Wysysa nas ten Żyd. Pije naszą krew i powoduje naszą krzywdę, bo jest Żydem i my jesteśmy winni. (...) A winę ponosi właśnie Żyd, bo nas obwinia, bo tu jest. Gdyby został tam, skąd przyszedł, albo gdyby go zagazowano, mógłbym dziś lepiej spać. Zapomnieli go zagazować. To nie żart, tak mi się myśli. (...)”. Dyrektor teatru Bern Wilms odrzuca zarzuty o szerzenie propagandy antysemitki i pragnie wystawić sztukę. ■ W dniach od 5 do 6 czerwca br. odbyły się szeroko zakrojone „Dni saksońskie we Wrocławiu”. ■ W Niemczech odnaleziono i oddano Republice Czeskiej ponad dziesięć obrazów i rzeźb, wśród których znajduje się m.in. obraz „Zakochany starzec” pochodzący ze szkoły Lucasa Cranacha starszego. ■ Turcja ponowiła żądania zwrotu przez Niemcy starożytnych dzieł sztuki, wśród nich słynnego ołtarza „Pergamon-Altar” oraz tzw. skarbu Pryjamosa, znajdującego się w Rosji, które zdaniem władz tureckich zostały nielegalnie wywiezione z Turcji. ■ Spadkobiercy pisarza Frederico Garcia Lorca oraz wydawnictwo Suhrkamp Verlag chcą wspólnie zbadać, jak dalece nadzwyczaj nieudane niemieckie tłumaczenia dzieł pisarza, jakie wyszły spod pióra Enrique Becka posiadającego wyłączne prawa do ich tłumaczenia, uniemożliwiają ich prawidłową recepcję. Prawa te po śmierci tłumacza w roku 1974 przejęła fundacja jego imienia, która sprzeciwia się nowemu przekładowi. ■ Na terenie Niemiec działa 3500 różnych obcojęzycznych wydawnictw i programów radiowych. ■ Niemieckie wydawnictwa książkowe oczekują w tym roku wzrostu nakładu od 1 do 2% ■ Za swą powieść „Herztier”, pisarka Herta Müller otrzymała międzynarodową nagrodę literacką IMPAC, honorowaną sumą 280 000 marek. ■ Po odrębnej zgodzie wschodnio- i zachodnioniemieckiego PEN-Clubu walne zgromadzenie w sprawie zjednoczenia obu centrów odbędzie się prawdopodobnie pod koniec października br. ■ Mimo spadku nakładu niemiecki *Stern* z liczbą 1 115 059 egzemplarzy znajduje się na pierwszym miejscu wśród tygodników przed tygodnikiem *Der Spiegel* (1 045 170 egz.) oraz *Focus*



(732 842 egz.). ■ Od sierpnia br. wchodzą w Niemczech w życie nowe zasady pisowni uzgodnione z Austrią i Szwajcarią. ■ Towarzystwo Niemiecko-Polskie w Bonn oraz Wydział Kultury Ambasady RP w Niemczech przygotowały wieczór literacki „In memoriam Zbigniew Herbert”. ■ 25 rocznicę powstania obchodzi Towarzystwo Niemiecko-Polskie w Berlinie. Jest to najstarsza organizacja niemiecko-polska nad Szprewą działająca na rzecz zbliżenia i porozumienia obu narodów. Uroczystość jubileuszową zaplanowano na 13 września br. w czasie „Tygodnia Polskiego” zorganizowanego w berlińskiej dzielnicy Steglitz. ■ Podczas zorganizowanych po raz 49-ty w Berlinie obchodów „Dnia ojczyzny” (6.09.98 r.) pod mottem „Prawo do ojczyzny fundamentem dla Europy”, przewodniczącą Federalnego Związku Wypędzonych Erika Steinbach odczytała tzw. „Apel berliński”, w którym stwierdza się, że niemal wszystkie państwa, które dopuściły się wypędzenia, podjęły kroki w celu uregulowania wynikłych z tego roszczeń, za wyjątkiem Polski i Czech. Zawarte w apelu żądania pod adresem obu tych krajów obejmują m.in. prawo powrotu do stron rodzinnych dla wypędzonych i ich potomków, wypracowanie przez oba kraje stosownych form odszkodowań oraz ukaranie winnych przestępstw popełnionych na Niemczech w Polsce i Czechach. Od ich spełnienia powinno, zdaniem Eriki Steinbach, zależeć przyjęcie obu krajów do UE. Wypędzenie Niemców uznała ona za sprzeczne z prawem międzynarodowym i pozbawione legitymacji. Na moje pytanie, czy nie są nią postanowienia z Jałty i Poczdamu, Erika Steinbach odpowiedziała: „Komisja ds. praw ludzkich stwierdziła, że państwa i wspólnoty nie mogą legalnie zarządzić wypędzenia. To jest nielegalne. Czyli także Układ Poczdamski był nielegalny i niezgodny z prawem międzynarodowym. Państwo niemieckie zawsze uważało decyzję wypędzenia Niemców za nielegalną i nie wiążącą”. Erika Steinbach dodała w tym kontekście, że nielegalne było także wypędzenie Polaków z przedwojennych ziem wschodnich. Na moje pytanie, kto ma polskim wypędzonym zapłacić odszkodowanie, wskazała na państwo, które tego dokonało, czyli Rosję. Wśród uczestników „Dnia ojczyzny” nie było żadnych oficjalnych przedstawicieli rządu Republiki Federalnej. Na wstępie odczytano jedynie pozdrowienia od kanclerza Helmuta Kohla, który w swoim pośłaniu stwierdził m.in., że przystąpienie Polski i Czech do Unii Europejskiej ułatwi rozwiązanie otwartych jeszcze kwestii bilateralnych.

Andrzej STACH

## O sytuacji nauki na Ukrainie

ROZMOWA Z AKADEMIKIEM  
VALERYM P. KUKHAREM

Henryk RATAJCZAK: – *Jaka jest kondycja nauki na Ukrainie po uzyskaniu niepodległości i w okresie transformacji ustrojowej państwa?*

VALERY P. KUKHAR: – Działalność naukowa i konstrukcyjno-technologiczna na Ukrainie znajduje się w stanie głębokiego kryzysu. Po rozpadzie Związku Sowieckiego pozostał na Ukrainie potężny, ale strukturalnie niedoskonały potencjał naukowo-techniczny, który wymagał planowej i rozważnej przebudowy ukierunkowanej na nowe potrzeby niepodległego państwa. Nauka mogła być, nawet przy stosunkowo niedużych nakładach finansowych, podstawą nowoczesnego rozwoju kraju. Dlatego, już w pierwszych latach uzyskania niepodległości, należało opracować i stopniowo realizować strategię przebudowy sfery nauki i techniki. Niestety, tak się nie stało. W konsekwencji powstał chaos. W warunkach przedłużającego się ostrego kryzysu gospodarczego nauka przestała być obiektem zainteresowań władzy państwowej i działaczy gospodarczych; przestała być dźwignią rozwoju ekonomicznego i socjalnego kraju, jakim była jeszcze 6-7 lat temu. Kryzys ekonomiczny w przemyśle doprowadził do katastrofalnego spadku działalności naukowo-badawczej. Przedsiębiorstwa nie są w stanie samodzielnie finansować opracowań nowych rozwiązań technicznych czy technologicznych, a tym bardziej ich wdrożeń, które wymagają ogromnych nakładów. Ilość prac wykonywanych na podstawie zleceń placówkom akademii nauk i szkołom wyższym przez przemysł zmniejszyła się kilkakrotnie. Można stwierdzić, że w ostatnich kilku latach nastąpiło drastyczne osłabienie więzi nauki z gospodarką. I tak np. w 1995 roku przekazano do przemysłu około 52 tys. opracowań, podczas gdy w 1990 r. ponad 90 tys. Liczba zgłoszonych patentów w 1995 r. była pięciokrotnie mniejsza niż w 1990 r. Z opracowań przekaza-



nych w 1995 r. tylko co siódme zawierało rozwiązanie na poziomie wynalazku, co praktycznie oznacza, że przemysł nie otrzymał prawie żadnych nowych rozwiązań techniczno-technologicznych. Może świadczyć to dobitnie o braku zainteresowania zarówno ludzi nauki jak i przemysłu prowadzeniem badań stosowanych, niezbędnych dla rozwoju kraju. Na skutki takiej polityki nie trzeba było długo czekać. Już teraz obserwuje się na Ukrainie duże opóźnienie technologiczne podstawowych gałęzi przemysłu, w pierwszej kolejności – metalurgii, energetyki, górnictwa i wielu innych. Eksploatowanie starych urządzeń i starych technologii prowadzi do zwiększonego zużycia energii o 5-8 razy na umowną jednostkę produkcji, w stosunku do państw rozwiniętych. To z kolei zaostrza sytuację w dziedzinie nośników energii i pogłębia kryzys energetyczny kraju, zwiększa zadłużenie przedsiębiorstw i zmniejsza opłacalność produkcji.

Nauka na Ukrainie osiągnęła punkt krytyczny, poza którym dalsze istnienie wiodących zespołów naukowych staje się niemożliwe. W 1991 r. działalnością naukową na Ukrainie zajmowało się około 500 tys. osób (łącznie z personelem pomocniczym), w 1995 r. już tylko 293 tys. (z czego 179,8 tys. wykonywało prace naukowo-badawcze) i zatrudnienie w sferze nauki ciągle spada. Odchodzą do innej sfery działalności również wysoko wykwalifikowani naukowcy, doktorzy nauk; w okresie od 1991 do 1995 r. odeszło ich 17,6%, zatrudnienie zmalało z 28 tys. do 22,9 tys. osób. Około połowa istniejących zespołów naukowych, wg ocen ekspertów, jest niezdolna do normalnej pracy. Jednocześnie szybko rosła ilość instytucji naukowo-badawczych (z 502 w 1991 r. do 680 w 1995 r.). Proces ten odbywał się kosztem zmniejszania dużych zespołów naukowo-badawczych oraz częściowej likwidacji jednostek typu projektowo-konstrukcyjnego.

Wielu wysoko wykwalifikowanych specjalistów wyemigrowało za granicę, w tym od roku 1991 – 313 doktorów nauk. Zmniejszyła się liczba młodych pracowników, znacząco wzrósł wskaźnik osób w wieku emerytalnym i przedemerytalnym. Gwałtownie spada liczba obronionych prac doktorskich, np. w 1995 r. było ich mniej o 36% w stosunku do roku 1991. Narasta w sferze nauki „luka pokoleniowa”, niezwykle groźne zjawisko dla przyszłości kraju.

Warunki materialne pracowników nauki są fatalne. Znaczna część uczonych zmuszona jest tylko formalnie „być” w instytucji naukowej, a rzeczywistość musi zarabiać na życie wykonując zupełnie inną pracę. Szacuje się, że w ten sposób żyje i pracuje ponad 25% pracowników naukowych. Doktoranci szukają przede wszystkim takich promotorów, którzy przez swoje kontakty zagraniczne umożliwią im wyjazd do innych ośrodków naukowych na Zachodzie.

Zjawiskiem powszechnym stało się zmniejszanie liczebności pracowników w zespołach naukowych, skrócenie czasu pracy, udzielanie bezpłatnych urlopów itp. Najsilniej zjawisko to występuje w placówkach naukowo-badawczych i biurach konstrukcyjno-projektowych współpracujących lub pracujących na potrzeby kompleksu wojskowo-przemysłowego i przemysłu ciężkiego.

H.R.: – *Kto na Ukrainie jest odpowiedzialny za politykę naukową państwa i w jaki sposób jest ona realizowana?*

V.P.K.: – W tym obszarze zachodzą również ciągle zmiany. W 1991 r. kształtowaniem polityki naukowo-technicznej państwa zajmował się nowo utworzony Państwowy Komitet d/s Nauki i Techniki, który następnie został przekształcony w Państwowy Komitet d/s Nauki i Polityki Przemysłowej. Jednocześnie zachowane zostały organy kierujące działalnością naukowo-technologiczną w ministerstwach gospodarczych. Akademii Nauk Ukrainy, których mamy pięć (oprócz Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, na bazie oddziałów wszechzwiązkowych Akademii powstały 4 nowe: Akademia Nauk Rolniczych, Akademia Nauk Medycznych, Akademia Nauk Pedagogicznych i Akademia Nauk Prawniczych) kontynuują swoją działalność jako główne organizacje naukowe, prowadzące badania podstawowe i międzydiscyplinarne. Akademie te mają status państwowy i są finansowane z budżetu państwa. Samodzielnie decydują one o sprawach organizacyjnych, wyborze kierunków badawczych i ich realizacji. Na czele każdej z nich stoi prezydium, wybierane na okres 5 lat. Latem 1996 na bazie Komitetu d/s Nauki i Polityki Przemysłowej utworzono Ministerstwo Nauki i Technologii. Praktycznie zajmuje się ono obecnie, przy współpracy z akademiami,



kształtowaniem polityki naukowo-technicznej państwa, przygotowuje programy naukowo-techniczne i zabezpiecza ich realizację, przygotowuje propozycje budżetu na naukę, stopniowo podporządkowuje sobie różne organy zajmujące się dotychczas organizacją badań naukowych w ministerstwach resortowych. Ministrem nauki i technologii został akademik Władimir Pietrowicz Seminożenko, wybitny uczony. W celu lepszej koordynacji działalności naukowo-technicznej powołana została, na mocy ustawy Prezydenta Ukrainy, wiosną 1996 r., Rada d/s Nauki i Polityki Naukowo-Technicznej przy Prezydencie Ukrainy, na czele której stoi Prezydent L.D. Kuczma.

H.R.: – *Jakie są mechanizmy finansowania badań? Czy wprowadzone zostały elementy konkurencyjności w nauce, np. poprzez system grantów?*

V.P.K.: – Badania naukowe są finansowane praktycznie tylko z budżetu państwa. Środki pochodzące ze źródeł pozabudżetowych, jak już poprzednio mówiłem, znacznie zmalały. Jest to dramat nauki i gospodarki na Ukrainie; jest on odbiciem słabego sprzężenia gospodarki z nauką i odwrotnie. Ponadto od kilku lat następuje systematyczne zmniejszanie budżetu na naukę. W latach 1991-96 spadek dotacji budżetowych na naukę przewyższył spadek produktu krajowego brutto (PKB) o 1,5 – 2,8-krotnie. Na naukę, w budżecie państwa, przeznaczono w 1991 r. – 3,1% PKB, w 1994 r. – 0,93 PKB, 1995 – 0,80% PKB, 1996 – 0,64% PKB, 1997 – 0,50% PKB. Sytuacja staje się bardziej dramatyczna, jeśli powiem, że budżet państwa realizowany jest tylko częściowo, w ok. 50-70%.

Praktycznie środki finansowe przeznaczone na naukę wystarczają ledwie na płace pracowników. Brakuje pieniędzy na opłatę energii, wody, telefonów itp., nie ma środków na zakup książek, czasopism, odczynników, aparatury etc. W wyniku takiej polityki zaprzestano prowadzenia szeregu badań naukowych, szczególnie badań doświadczalnych. System grantów staje się coraz bardziej popularny w organizacji badań naukowych; brak jednak środków nie pozwala na jego szersze stosowanie. System ten po raz pierwszy

wprowadzono na Ukrainie w latach 1992-93 na konkurs projektów badań podstawowych i jest kontynuowany. Przeprowadzono również konkursy na granty z Fundacji Sorosa. Ukraińscy uczeni aktywnie uczestniczą w konkursach INTAS, TACIS, CRDF i szeregu innych międzynarodowych programach. Daje to pozytywne wyniki, ponieważ pozwala poznać się z mechanizmami selekcji konkursowej, lepszemu wykorzystaniu projektów, zawierania partnerskich stosunków i współpracy. Wszystko to stwarza dobre przesłanki dla aktywnego wdrożenia konkursowego systemu grantów przy organizacji większości badań naukowych na Ukrainie.

Konkursowy system grantów wprowadzamy usilnie na projekty w dziedzinie wynalazczości oraz w zastosowaniach nowych technik i technologii w przemyśle.

H.R.: – *Jakie kierunki badań zostały uznane za priorytetowe?*

V.P.K.: – Rada Najwyższa (Parlament Ukrainy) zatwierdził 7 głównych kierunków rozwoju nauki i techniki: ochrona otaczającego środowiska naturalnego; zdrowie człowieka, biotechnologie; nowe substancje i materiały; ekologicznie czysta energetyka; przyszłościowe technologie informatyczne, aparatura kompleksowej automatyzacji i system łączności; produkcja, przetwórstwo i przechowywanie produkcji rolniczej; naukowe problemy budowy państwowości Ukrainy.

W zakresie wymienionych priorytetów rozpisano dwukrotnie konkursy na projekty badawcze. Część z nich jest już realizowana. Ponadto parlament Ukrainy zajął się uporządkowaniem sfery nauki i techniki, takimi sprawami jak: ustaleniem realnego budżetu na naukę, płacami pracowników naukowych, atestacją placówek naukowych, przywróceniem ekonomicznych i moralnych bodźców w celu realizacji naukowej i naukowo-technicznej działalności.

H.R.: – *Czy Ukraina jest zainteresowana w rozwijaniu współpracy naukowej z innymi krajami, w tym również z Polską?*

V.P.K.: – Ukraina jest na drodze rozwijania współpracy nau-



kowej i naukowo-technicznej z innymi państwami. Podpisano w wielu dziedzinach szereg umów między rządami państw byłego ZSSR, Europy, Kanady. Bierzemy udział w programach Unii Europejskiej i NATO. Jednakże proces ten dopiero się zaczyna. Sądzę, że czynnikiem hamującym jest brak dostatecznej ilości własnych środków dla zabezpieczenia pożądaných kontaktów.

Nie rozwiązane są problemy uczestnictwa Ukrainy w międzynarodowych instytucjach naukowych, brakuje środków na zapewnienie stałej informacji naukowej i szybkiego wchodzenia kraju do istniejących międzynarodowych sieci informatycznych. Istnieją bariery podatkowe na środki przychodzące z zagranicznych instytucji dobroczynnych na wsparcie nauki na Ukrainie, co często jest sprzeczne z wcześniej podpisanymi umowami.

Jednocześnie uczeni starają się wykorzystać możliwości współpracy z kolegami z zagranicy. Młodzi i uczeni w średnim wieku wykorzystują możliwości pracy (od kilku miesięcy do 1-2 lat) w placówkach naukowych USA, Europy, Japonii. Szereg naukowych zespołów zawarło bardziej lub mniej stałe kontakty ze swoimi kolegami za granicą. Jest to szczególnie znamienne dla nauk fizycznych, współczesnych badań w dziedzinie biologii, pewnych kierunków chemii i matematyki. W ramach tych kontaktów zapewniona jest pomoc w otrzymywaniu najświeższych informacji, odczynników itp. Zwiększa się liczba wspólnych publikacji uczonych ukraińskich z ich zagranicznymi kolegami. Rośnie udział uczonych Ukrainy w konferencjach międzynarodowych. Jednakże w większości przypadków jest to finansowane przez organizatorów konferencji.

Współpraca uczonych Ukrainy z Polską była zawsze owocna. W dziedzinie nauk chemicznych była bardzo ścisła. Odbywały się regularne spotkania naukowe, wzajemne wizyty uczonych, wspólne publikacje. Jest to zupełnie naturalne i prawidłowe – jesteśmy przecież bliskimi sąsiadami.

Procesy rozpadu ZSSR, powstanie niepodległej Ukrainy, jak i powstałe w obu krajach trudności ekonomiczne w istotny sposób odbiły się na tych kontaktach, które miały miejsce wcześniej. Tym niemniej współpraca naukowa nie tylko przetrwała, ale jest kontynuowana. Istnieje określone współ-

działanie między uczonymi z centrum lwowskiego i uczonymi z Polski. Obecnie w Polsce znajduje zatrudnienie kilkudziesięciu ukraińskich uczonych, nie tylko ze Lwowa. Szereg instytutów ukraińskich współpracuje z polskimi instytutami. Mamy podpisaną ogólną ramową umowę między Narodową Akademią Nauk Ukrainy i Polską Akademią Nauk. Ustalono kontakty na poziomie odpowiednich ministerstw nauki. We wrześniu 1997 podpisaliśmy umowę o współpracy między Towarzystwem Chemicznym Ukrainy i Polski.

Obecnie polskie instytucje naukowe mają lepsze warunki do zapraszania uczonych z zagranicy i lepsze możliwości prowadzenia badań naukowych niż uczeni ukraińscy. Ten trudny okres transformacji ustrojowej, który wspólnie przeżywamy, zbliża nasze narody, pogłębia współpracę na zasadach dobrosąsiedzkich, partnerskich stosunków.

Jest to bardzo ważny proces polityczny, korzystny dla obu stron i dla rozwoju stosunków między państwami w tej części Europy.

H.R.: – *Bardzo Panu Profesorowi dziękuję za interesującą rozmowę.*

*Rozmowę przeprowadził Henryk RATAJCZAK*

**Prof. Valery P. Kukhar jest Wiceprzewodniczącym Rady d/s Nauki i Polityki Naukowo-Technicznej przy Prezydencie Ukrainy, członkiem Prezydium Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, dyrektorem Instytutu Chemii Bioorganicznej i Petrochemii Narodowej Akademii Nauk Ukrainy.**

**Prof. Henryk Ratajczak jest członkiem rzeczywistym PAN, członkiem tytularnym Europejskiej Akademii Nauki, Sztuki i Literatury, obecnie pełni funkcję dyrektora Stacji Naukowej PAN w Paryżu.**



## Ukraina w obliczu kryzysu rosyjskiego

Polityczne i ekonomiczne trzęsienie ziemi w Rosji musiało się odbić echem i na Ukrainie. Wstrząs nie dokonał katastrofalnych spustoszeń. Ale duży stopień obrotów handlowych z północno-wschodnim sąsiadem, opiewający na czterdzieści procent całego handlu zagranicznego Ukrainy, musiał dotknąć gospodarkę Kijowa. Na szczęście wiele obrotów odbywa się na bazie barterowej a nie walutowej. Dotkliwe straty poniosły te banki ukraińskie, które ulokowały pieniądze w instytucjach kredytowych Rosji.

Ale największe zagrożenie powstało dla ukraińskiej hrywny, która w ciągu całego roku utrzymywała niezmiennie stabilny kurs wobec dolara. Nagła dewaluacja rubla mogła wywołać podobną panikę na Ukrainie i nagminne wykupywanie waluty amerykańskiej. Do tego jednak nie doszło, a Ukraiński Bank Narodowy kierowany zręczną ręką swego prezydenta Wiktora Juszczenka, wprowadził łagodny system stopniowej dewaluacji. Nadwyrężyło to i tak szczupłe rezerwy walutowe Kijowa. Przed krachem rubla wynosiły one dwa miliardy dolarów a w ciągu dwóch tygodni stopniały do 820-tu milionów. Doraźny ratunek przyszedł w formie kredytów Międzynarodowego Funduszu Walutowego w wysokości dwóch miliardów dwustu milionów dolarów, jednak nie jednorazowo, lecz w kilku ratach. Drugim zastrzykiem jest kredyt Banku Światowego w wysokości sześciuset milionów dolarów.

Czy ta pomoc uratuje Ukrainę przed zapaścią? Zdania ekonomistów w Kijowie i za granicą są rozmaite. Niemieccy fachowcy są bardziej optymistyczni niż ich ukraińscy koledzy. Ale u ostatnich razem z obiektywną opinią bywa często domieszka opozycyjnej złośliwości, powiązanej z początkiem kampanii do wyborów prezydenckich w przyszłym roku.

Ale kryzys rosyjski ma też implikacje polityczne. Kijów postawił na kartę Czernomyrdina i przegrał. Z gabinetem reformatorów w Moskwie panowały chłodne stosunki. Kirijenko i Niemcow stronili od dialogu z Ukrainą. Niekiedy manifestowali negatywne stanowisko wobec „zacofanych”

kolegów w Kijowie. Po upadku rządu Kirijenki nikt wśród Ukraińców nad tym nie ubolewał. A już przed tym rozpoczął się flirt prezydenta Kuczmy z byłym premierem Czernomyrdinem. Zjawił się on niespodziewanie wraz z „szarą eminencją” polityki moskiewskiej, finansowym potentatem Borysem Berezowskim na 60-tych urodzinach Kuczmy w willi Foros na Krymie, tej samej gdzie puczyści w 1991 roku trzymali Gorbaczowa. Zaraz po swojej desygnacji Czernomyrdin zjawił się znowu na Ukrainie. Politycy kijowscy powitali jego nominację i podjęli pierwsze pertraktacje na temat przyszłych stosunków z Moskwą. Utwierdzał ich w przekonaniu, że dawny-nowy premier będzie zatwierdzony w Dumie, sam Borys Jelcyn w telefonicznych rozmowach z Kuczma.

Kłeska Czernomyrdina zaszokowała Kijów. Z niepokojem spoglądano na nowe kandydatury na Kremlu. Najbardziej bano się nominacji burmistrza Moskwy, Jurija Łużkova, zajadłego wroga, podejmującego ustawicznie anty-ukraińskie prowokacje na Krymie i podburzającego mniejszość rosyjską. Powołanie Primakowa, mimo jego pochodzenia z Kijowa, nie wywołało entuzjazmu, ale w porównaniu z osobą Łużkova, były minister spraw zagranicznych, który w rokowaniach przed podpisaniem generalnego układu międzypaństwowego Rosja-Ukraina, wykazał umiar i powściągliwość, reprezentuje mniejsze zło. Dotychczas relacje Kijów-Moskwa przebiegały na linii Kuczma-Jelcyn. Nikt na razie w establishmencie kijowskim nie ma odwagi by szukać alternatywnych rozwiązań, na przykład z ex-generałem, Aleksandrem Lebiediem.

*Bohdan OSADCZUK*



## Kronika kulturalna

### Koniec nagród Fundacji Jurzykowskiego

Przez lata uroczystość przyznawania dorocznych nagród Fundacji Jurzykowskiego była ważnym wydarzeniem nie tylko dla nowojorskiej Polonii, ale dla polskiego świata kultury i nauki w ogóle. I już nie będzie, gdyż władze Fundacji postanowiły ten program zakończyć. Po 35 latach (obecny rok wliczywszy), po przyznaniu wyróżnień ponad 450 laureatom, po stworzeniu już instytucji, którą w polskiej społeczności na świecie zaczęto określać mianem „polskiego Nobla”, zarząd uznał, iż użyteczność tych nagród się przeżyła. W uzasadnieniu tej decyzji w imieniu zarządu dyrektorka wykonawcza Fundacji, pani Bluma Cohen, napisała między innymi, iż w czasach komunistycznych utrzymanie więzi artystów i uczonych w kraju z Zachodem oraz upewnienie, że ich działalność, ich dokonania są znane i doceniane w świecie, miało ogromne znaczenie. Nagrody pieniężne stanowiły także – w słusznym przekonaniu zarządu – formę finansowego wsparcia dla wielu polskich intelektualistów z kraju, a także stwarzały im możliwość przyjazdu do Stanów Zjednoczonych.

Dziś po zmianach, jakie nastąpiły w Polsce, misja nagród straciła sens bytu: „Nie chcemy minimalizować znaczenia uznania dla osiągnięć, jednak okoliczności się zmieniły (...).

Przewodniczący Komitetu, dr Jerzy Krzywicki, emerytowany profesor filozofii nowojorskiego Queens College powiedział, że na specjalnym posiedzeniu (jeszcze w kwietniu tego roku) siedmioosobowego ciała doradczego, którego zadaniem było przygotowywanie listy kandydatów do dorocznych nagród Fundacji, postanowiono nie nagłaśniać sprawy zamknięcia programu nagród Fundacji, aby nie zrażać do polskich

spraw obu urodzonych w latach sześćdziesiątych w Nowym Jorku córek Alfreda Jurzykowskiego. Obawiano się, aby nie doszło do dalszego obciążenia funduszy na inne polskie programy. Trzeba bowiem przyznać, że instytucja nagród stworzona przez polskiego przedsiębiorcę w 1963 r. jest jednym z wielu punktów działalności Fundacji. Nie ma praktycznie liczącej się polskiej instytucji w Nowym Jorku z Fundacją Kościuszkowską, Polskim Instytutem Naukowym i Instytutem Piłsudskiego, która w znacznej mierze nie korzystałaby z hojności Fundacji Jurzykowskiego. To z jej pieniędzy założono pierwszą w Stanach Zjednoczonych katedrę fundowaną kultury polskiej. Powstała ona na Uniwersytecie Harvarda w Cambridge. Dziś na jej czele stoi Stanisław Barańczak. „Jurzykowski” daje też spore pieniądze na rozmaite cele charytatywne w Polsce, choć właściwie tajemniczą poliszynela jest to, że obie córki Alfreda Jurzykowskiego – Christine i Yolanda – wykonawczynie testamentu polskiego przedsiębiorcy, mało interesują się sprawami polskimi. Sprawy ekologii, medycyny, emancypacji społecznej kobiet z krajów tzw. Trzeciego Świata – to główne punkty ich zainteresowań i kierunek działania Fundacji.

„Nie jest bez znaczenia – napisał *Nowy Dziennik* – że w ciągu 35 lat rozdawania laurów, ani Polonia, ani polskie władze po 1989 r. nie zdobyły się na znaczący wyraz uznania wobec córek Jurzykowskiego i Fundacji”. Pretensja ta, może nie wprost wyrażona, pojawiła się także w wypowiedziach pani Cohen dla *Nowego Dziennika*. Broniąc słuszności podjętej przez zarząd decyzji, jako jedną z racji podawała małe zainteresowanie nagrodami nawet ze strony samych laureatów, którzy często pod byle pretekstem wymawiali się od przyjazdu do Nowego Jorku na doroczną uroczystość ogłoszenia nazwisk nagrodzonych.

Na to odpowiedział Jerzy Surdykowski, pierwszy konsul RP w Nowym Jorku. W obszernym liście do redakcji *Nowego Dziennika* przypomniał, że niemal od początku jego urzędowania w latach dziewięćdziesiątych zwracało się doń wiele osób sugerujących jakąś formę wyrażenia uznania przez najwyższe władze RP córkom Alfreda Jurzykowskiego. „W związku z tym wystąpiłem drogą służbową poprzez MSZ – pisze Surdykowski – do kancelarii ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy o odznaczenie obu siostr Christine i Yolandy Jurzykowskich Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP. (...) Po niedługim czasie stosowne postanowienie prezydenta



zostało podjęte i odznaczenia te otrzymałem. Wystosowałem więc listy do obu pań informujące je o zaszczytnym odznaczeniu i wyrażające podziękowanie za wytrwałą pracę Fundacji imienia ich ojca na rzecz kultury i nauki polskiej. (...) Na te listy nie otrzymałem żadnej odpowiedzi". Sprawa ciągnęła się przez kilka lat. Praktycznie konsul Surdykowski miał jedynie kontakt z panią Blumą Cohen, która stale odmawiała podania bezpośrednich telefonów do mieszkań siostr. Ostatecznie więc tę żenującą sytuację braku odpowiedzi na kolejne listy konsulatu RP uznano za odmowę przyjęcia odznaczeń.

O decyzji o likwidacji programu nagród przewodniczący Komitetu Doradczego, prof. Krzywicki został poinformowany jako o fakcie dokonanym, od którego praktycznie nie ma odwołania. We wspomnianym liście pani dyrektor Cohen powiada, że zarząd ewentualnie weźmie pod uwagę, czy nie zrobić „ostatniego wielkiego gestu”. Nie jest jasne, na czym ów wielki gest pod adresem polskiej kultury i nauki miałby polegać. W każdym razie przyznanie nagród jesienią tego roku będzie ostatnią tego typu uroczystością.

Wśród laureatów nagrody dorocznie przyznawanej przez Fundację za wybitne osiągnięcia uczonych i artystów polskiego pochodzenia na świecie wyróżniono setki wybitnych osobistości, którzy często znajdowali uznanie tutaj, skoro nie mogli go uzyskać w kraju. Przyznano, na przykład, nagrody obu polskim laureatom Nagrody Nobla, Czesławowi Miłoszowi w 1968 r. i Wisławie Szymborskiej w 1972 r. Oprócz nich nagrody otrzymali na przykład: Magdalena Abakanowicz (1982), Jerzy Andrzejewski (1968), Władysław Bartoszewski (1967), Miron Białoszewski (1981), Zbigniew Brzeziński (1966), Józef Czapski (1965), Karl Dedecius (1967), Marek Edelman (1986), Zbigniew Herbert (1964), Gustaw Herling-Grudziński (1964), Paweł Jasienica (1965), Leszek Kołakowski (1968), Jan Lebenstein (1975), Sławomir Mrożek (1964), Alfred Tarski (1966), Stefan Themerson (1987), Jerzy Turowicz (1977), Stanisław Ulam (1966), Stanisław Vincenz (1966), Wiktor Weintraub (1976), Kazimierz Wierzyński (1964).

W dzisiejszych czasach, gdy istnieje sporo rozmaitego typu nagród, a wśród nich są już i finansowo hojniejsze, wyróżnienia przyznawane przez Fundację Jurzykowskiego spełniają ciągle przynajmniej dwa podstawowe i niezmiernie ważne zadania. Po pierwsze, stanowią wyraz uznania ze strony

niezależnej instytucji, weryfikującej z zachodniego punktu widzenia osiągnięcia Polaków w świecie. Nagrody te stanowią więc gwarancję, że dostrzeżone zostają i docenione autentycznie wielkie, a nie lokalne dokonania. Po drugie, była to przez dziesięciolecia jedyna instytucja przyznająca nagrody Polakom niezależnie od ich miejsca zamieszkania. Liczyły się (by użyć już czasu przeszłego) tylko prawdziwe dokonania.

Kiedy władze PRL podejmowały wysiłki, aby zerwać więź emigracji z krajem, aby Polonię na Zachodzie przedstawić w fałszywym świetle, albo przynajmniej przemilczeć jej istnienie, nagrody Fundacji Jurzykowskiego przyznawane od 1963 r. stwarzały okazję, by Polaków poinformować o istnieniu wielu naukowców, twórców, artystów działających na emigracji i mających poważne, światowe osiągnięcia. Z drugiej strony też mnóstwo Polaków na Zachodzie, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, dowiadywało się o polskich uczonych i twórcach w kraju, o ich znakomitych osiągnięciach; nagrody budziły zainteresowanie ich działalnością, a wielu mogło się przy tym przekonać, że kultura i nauka w PRL to nie tylko ideologia i propaganda (jak niejednokrotnie uważano), ale też prawdziwa sztuka i nauka. Ze zrozumiałych względów większy nacisk przy selekcjonowaniu kandydatów do wyróżnień zawsze kładziono na sprawy kultury i sztuki, humanistyki, w mniejszym zaś (choć wcale niemającym) na nauki matematyczno-przyrodnicze. Kierowano się słusznym przekonaniem, że skoro wyróżnienia te pełnią także i funkcję promocyjną, to właśnie sztuka i humanistyka wymagają większej promocji, „zareklamowania”, niż matematyka.

Jest dużą stratą, że teraz, kiedy Polska wchodzi do Zachodu, zabraknie tej ważnej instytucji, pełniącej przy tym rolę niezależnego (bo poza wszelkimi krajowymi układami) weryfikatora osiągnięć mierzonych najwyższymi, zachodnimi standardami.

Czesław KARKOWSKI

Alfred Jurzykowski urodził się w 1899 r. na Śląsku Cieszyńskim. Brał udział w wojnie bolszewickiej, przez następne kilka lat był zawodowym oficerem WP. Potem zaangażował się w działalność gospodarczą. Po klęsce wrześniowej przedostał się do Rumunii, stamtąd do Rzymu, skąd w 1940 r. wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Tutaj założył fabrykę wyrobów czekoladowych „Delicja”. Aby mieć tanię kakao kupił plantację w Dominikanie. I od tej właśnie plantacji zaczęła się fortuna Jurzykowskiego. W 1950 r. przeniósł się do Brazylii, gdzie założył przedsiębiorstwo Distribuidres Unidos do Brasil, które



handlowało głównie z Republiką Federalną Niemiec. Ponieważ w tym czasie po Brazylii jeździły samochody ciężarowe wyłącznie z importu, Jurzykowski rozpoczął pertraktacje z brazylijskim rządem i firmą Mercedes-Benz. Efektem tych rozmów było otwarcie w 1956 r. niedaleko Sao Paulo pierwszej w Brazylii fabryki autobusów i ciężarówek. Jurzykowski miał w tej fabryce początkowo 50, a później 75 procent udziałów.

W 1960 r. Alfred Jurzykowski powrócił do USA, gdzie utworzył fundację swego imienia. Zmarł 2 czerwca 1966 r. w Nowym Jorku.

Cz.K.

## Z nordyckiej perspektywy

### Gimnazja internetowe

Najnowszą, całkowicie internetową, szwedzką szkołą średnią jest Mobila Gymnasiet, fizycznie usytuowane w dość pounurej, sztokholmskiej dzielnicy Kista, zwanej z pewną przesadą szwedzką Silicon Valley, gdyż mieści się tam większość ekspansywnych firm branży INFOCOM-u. Gimnazjum powstało dzięki poparciu businessu informatycznego oraz z inicjatywy kilku zapaleńców. Jeden z nich, obecny dyrektor tej szkoły, Gösta Sundberg, jest też założycielem Learning Center of Scandinavia, które we współpracy z politechniką sztokholmską KTH specjalizuje się w nauczaniu i pedagogice sieciowej.

W szwedzkich szkołach średnich obowiązuje podział na linie specjalizacyjne – w Mobila Gymnasiet jest to linia multimedialna z możliwością fakultatywnego rozszerzenia o program linii nauk przyrodniczych. Program szkoły realizowany jest całkowicie indywidualnie, w zależności od zainteresowań i możliwości ucznia – np. obowiązkowy kurs matematyki można przerobić w znacznie krótszym terminie i następnie bądź go poszerzać, bądź zająć się innym przedmiotem.

Każdy uczeń pracuje pod nadzorem stałego opiekuna (tutora), ale już nauczanie odbywa się przez sieć. Testy i prace

pisemne wysyłane są do nauczycieli pocztą elektroniczną, a technika videokonferencji umożliwia nawet dyskusje, czy zdawanie egzaminów ustnych na odległość. Skądinąd brak fizycznego kontaktu z nauczycielami większość uczniów uznaje za największą zaletę gimnazjów internetowych. Odpadają trudne problemy z utrzymaniem dyscypliny w klasie, a także w dużym stopniu wyeliminowane są czynniki osobistych sympatii i antypatii nauczyciela przy ocenie ucznia.

Obowiązkowe zajęcia w Mobila Gymnasiet odbywają się trzy razy w tygodniu. Ponadto każdy uczeń zaopatrzone jest w kartę magnetyczną dającą mu wstęp do szkoły (i osobistego komputera ze stałym, szybkim podłączeniem do sieci) przez całą dobę. Dla potrzeb szkoły zamówiono szereg podręczników i programów treningowych na CD-ROM, a digitalne słowniki, encyklopedie etc. stanowią oczywiście wyposażenie standardowe.

Dyrekcja Mobila Gymnasiet zadbała o wybór nauczycieli wysokiej klasy z całej Szwecji, aby uniknąć tego przykrego, choć powszechnego w szkołach – także szwedzkich – zjawiska, iż wiedza informatyczna uczniów znacznie przewyższa analogiczną wiedzę ich nauczycieli. Zresztą selekcja uczniów też okazała się konieczna, gdyż na jedno miejsce w Mobila Gymnasiet przypadało pięciu chętnych. Należy zaznaczyć, iż przy przyjmowaniu uczniów kierowano się tylko ich dotychczasowymi wynikami w nauce: gimnazjum to nie będzie żadną szkołą elitarną, gdyż uczęszczają do niego także uczniowie pochodzący z niższych warstw społecznych, również z rodzin imigranckich. Nie udało się natomiast zachować równowagi płci, gdyż chłopcy stanowią 65% przyjętych.

Trzeba dodać, iż w tej samej dzielnicy Kista otwarto także IT-gymnasiet ze specjalizacją w zakresie nauk ścisłych i elektroniki. Jest ono oczywiście całkowicie skomputeryzowane i również ściśle współpracuje ze znajdującymi się w tej dzielnicy firmami informatycznymi.

Choć jednak dokłada się starań, aby w prywatnych gimnazjach tego typu uczyła się młodzież ze wszystkich warstw społecznych, nie da się ukryć, iż szkoły te grupują uczniów dość specyficznych.

Władze szwedzkiego resortu szkolnictwa zauważyły ze zdziwieniem, że większość powstających gimnazjów prywat-



nych dotyczy tylko dwóch linii specjalizacyjnych: albo IT, albo nauki społeczne o kontaktach międzynarodowych (ze szczególnym uwzględnieniem działania instytucji Unii Europejskiej oraz różnic międzykulturowych w obrębie tej wspólnoty). Jak zwykle biurokraci ocknęli się za późno i dziś mogą tylko wyrażać ubolewanie, że nie ma podobnych gimnazjów komunalnych, które ze względów ideologicznych bardziej by im odpowiadały niż gimnazja prywatne, tworzone przez prywatny business.

Naturalnie nie wszyscy absolwenci szkół typu Mobila Gymnasiet i IT-gymnasiet muszą później kontynuować naukę na wyższych uczelniach, gdyż istnieje wielkie zapotrzebowanie na różnego rodzaju techników informatycznych o wykształceniu średnim. Coraz powszechniejsza jest też praktyka wykupywania przez firmy dla swojego personelu kursów dokształcających na wyższych uczelniach. W gospodarce rynkowej przede wszystkim liczą się umiejętności, a mniej ważne jest, czy zostały one nabyte na normalnych studiach stacjonarnych, czy na kursach organizowanych przez pracodawcę. Bardzo umiarkowane prognozy firmy analitycznej Dataquest przewidują w Europie liczbę 44-45 milionów komputerów podłączonych do sieci już w roku 2000 i w wielu krajach brak informatyków o wykształceniu średnim oraz wyższym jest sporym problemem. Szwecja jeszcze jakoś sobie radzi, choć z coraz większymi trudnościami, ale już w małej Danii sytuacja stała się krytyczna. Dlatego niektóre duńskie firmy zaczęły rekrutować na kontrakty czasowe personel z innych krajów lub w innych krajach otworzyły swoje filie, pracujące oczywiście na potrzeby rynku duńskiego. Przede wszystkim chodzi tu o filie w indyjskim stanie Kerala, który – dzięki mądrej polityce władz! – przyciągnął do

1. Niewątpliwymi atutami Indii w przyciąganiu firm informatycznych z USA i Unii Europejskiej są: powszechna znajomość angielskiego oraz fakt, że indyjski programista kosztuje tysiąc dolarów miesięcznie, a więc mniej niż szwedzka sprzątaczką. Jednak decydujące znaczenie miała polityka władz, które w stanie Kerala zainwestowały w infrastrukturę oraz wykształcenie ludności. Parki techniki są na swój sposób eksterytorialne, z własnymi siłowniami, połączeniami fiberoptycznymi, satelitarnymi etc. – filie mogą być w 100% własnością firm zachodnich i przez 7 lat zwolnione są z podatku obrotowego. Nieco ponad 70% produkcji parków techniki wysyłane jest od razu przez sieć do firm macierzystych w USA i Europie.

swoich technoparks firmy z całego świata, łącznie z takimi gigantami jak Microsoft, AT&T czy Oracle. Także szwedzkie firmy planują stworzenie swoich filii w indyjskim parku techniki Thiruvananthapuram. Choć jednak w branży informatycznej pracuje już 900 tysięcy Hindusów i Hindusek, firmy europejskie muszą posiadać też własny personel. Dlatego – nie czekając na decyzje nieruchawych biurokratów władz oświatowych – szwedzki business zainicjował tworzenie prywatnych gimnazjów informatycznych; w przyszłym roku szkolnym ma już ich być 11.

### IT po obu stronach Bałtyku

Jak wiemy z historii nauki, rzeczywiste upowszechnienie jakiejś nowej techniki wymaga wcale długiego czasu. Przykładowo, fax znany był już w początku lat 70-tych, ale pod przymiotnik strzechy trafił dopiero 15 lat później. Piecyk mikrofalowy, bez którego nie wyobraża dziś sobie życia nawet wiele polskich pań domu, potrzebował na swoje upowszechnienie aż 20 lat. Jeszcze dłużej trwało to z Internetem, którego ideę naszkicował pewien Amerykanin o dziwnie swojskim nazwisku (Paul Baran) już przed 50 laty, ale który powszechną siecią komunikacji, dziś już multimedialnej, stał się dopiero w ostatnich latach.

Istnieją oczywiście także powody techniczne opóźnienia upowszechniania technicznych wynalazków. Komercyjny sukces faksów wymagał nowoczesnych sieci telefonicznych, w wypadku grupy 4 – typu ISDN (Integrated Services Digital Network). Piecyk mikrofalowy – który dość kiepsko nadaje się do gotowania potraw – był mało przydatny, dopóki nie upowszechniły się zamrażarki i zarazem nie pojawiły gotowe, mrożone produkty, które się w nim tylko podgrzewa. Powszechność Internetu zależała od wielu czynników, przede wszystkim od możliwości produkcji rzeczywiście tanich komputerów osobistych. Efektywna komunikacja multimedialna, z videokonferencjami włącznie, nie jest możliwa bez szybkości przesyłu od 150 Mbit/sec wzwyż i bez sieci typu B-ISDN czy ADSL.

Najczęściej jednak decydujące znaczenie dla upowszech-



nienia nowych technik ma impuls polityczny; pouczająca jest tu chociażby historia rozwoju kolejnictwa. Projekt Internetu – wymiany przez ekspertów AT&T – też znacznie dłużej leżałby w archiwach, gdyby USA nie przeżyły szoku po wystrzeleniu pierwszego sowieckiego sputnika; wówczas to prezydent Eisenhower nakazał stworzenie ARPA (Advanced Research Projects Agency) i po latach prób oraz konstrukcji pierwszych procesorów IMP – które były wielkości lodówki (sic!) – powstała Arpanet, poprzedniczka dzisiejszego Internetu. Gdy szwedzcy socjaldemokraci zorientowali się, że kraj ich – niegdyś przodujący na świecie w telekomunikacji – pod względem upowszechniania IT osunął się na czwarte miejsce, nawet wśród państw nordyckich, rozpoczęli ogromną kampanię, wyjaśniającą społeczeństwu niezbędność komputeryzacji i przy pomocy instrumentów podatkowych umożliwili korzystne formy ratalnej sprzedaży komputerów dla każdego za pośrednictwem zakładów pracy i związków zawodowych. Dziś model ten przejęty już został przez Norwegię, a jest dość prawdopodobne, że wykorzystywany będzie także przez rząd innych państw europejskich.

Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, że zmiany cywilizacyjne następują coraz szybciej i szybciej, społeczeństwo musi być przygotowane i przekonane do technologicznych innowacji. W realizacji tego zadania nikt polityków zastąpić nie może. Gdy jednak pewne progi techniczne i mentalne zostaną przekroczone, upowszechnienie nowej technologii zaczyna się dokonywać w szybkim tempie. Coś takiego stało się ostatnio z IT; dane liczbowe, które podałem w artykule „Efekt pajęczyny” (Kultura nr 5/1998) już są nieaktualne. Nawet we Francji – przywiązanej do swojego Minitelu i wrogiej anglosaskiemu Internetowi – nastąpiła ostatnio rewolucyjna zmiana postaw i eksperci France Télécom oceniają, że w roku 2002 w kraju ich będzie 10,1 milionów komputerów podłączonych do Internetu, co w stosunku do stanu obecnego oznacza wzrost 10-krotny.

A jak wygląda upowszechnienie IT po zachodniej i wschodniej stronie Bałtyku? Odpowiedź na to pytanie jest zwłaszcza istotna w kontekście politycznych planów integracji tego regionu, ale jest to odpowiedź smutna.

Według danych IT Watch, na koniec półrocza 1998

liczba komputerów podłączonych do Internetu na 1 tysiąc mieszkańców wyglądała następująco:

Finlandia – 98, Norwegia – 67, Szwecja – 41, Dania – 33, Niemcy – 14, Estonia – 12, Łotwa – 3, Polska – 2, Litwa – 1.

Dla porównania nadmiemy, że np. w Argentynie analogiczny wskaźnik wynosi 4 podłączone komputery na 1000 mieszkańców. Natomiast na pocieszenie Litwinów dodajmy, że wyprzedzają oni Polaków w ilości telefonicznych linii stacjonarnych w stosunku do liczby ludności. Nędza polskiej telefonii stacjonarnej, najgorzej rozwiniętej w całym regionie Bałtyku, jest znana od dawna i zmiany na lepsze następują bardzo powoli; na 1000 mieszkańców ma Polska nadal aż 4-krotnie mniej telefonów stacjonarnych niż Szwecja. Podkreślmy tu z naciskiem, że podstawą telekomunikacji kraju musi być telefonia stacjonarna, a nie mobilna. Zresztą w zakresie telefonów komórkowych sytuacja w Polsce też nie jest świetlana. Z oczywistych względów nie może Polska być bardzo nasycona telefonami mobilnymi. Jednak w stosunku do liczby mieszkańców i tu wyprzedzają Polskę kraje bałtyckie, Estonia nawet 8-krotnie.

Nakłady inwestycyjne w przeliczeniu na 1 mieszkańca przedstawiają się następująco (dane za rok 1996, dla przejrzystości przeliczone na SEK):

Niemcy – 1464, Finlandia – 1352, Norwegia – 1328, Dania – 1168, Szwecja – 920, Estonia – 360, Polska – 184, Łotwa – 183, Litwa – 64.

Podziwiając stosunkowo wysoki wskaźnik Estonii pamiętać trzeba, że kraj ten, choć pod względem GDP/capita biedniejszy od Polski, położył także wyjątkowo duży nacisk na komputeryzację swojego szkolnictwa: w roku 2000 jeden komputer ma przypadać na 20 uczniów w każdej estońskiej szkole. To w Estonii opracowano interesujący plan narodowy *Tigerhuepe* (Tygrysi Skok) wprowadzanie IT do programów szkolnych, obejmuje on także ciekawe propozycje kształcenia nauczycieli, których niski poziom informatyczny jest problemem zasadniczo we wszystkich krajach.

Według rankingu przeprowadzonego przez dwie wielkie firmy teleoperatorskie, szwedzką Telia i fińską Sonera, a uwzględniającego stan telekomunikacji, komputeryzacji oraz



nakładów na infrastrukturę i szkolenia, kraje regionu Bałtyku zostały uszeregowane w następującej kolejności: 1. Norwegia, 2. Finlandia, 3. Dania, 4. Szwecja, 5. Niemcy, 6. Estonia, 7. Łotwa, 8. Polska, 9. Litwa.

Percy Barnevik – znany dobrze także w Polsce były szef międzynarodowej korporacji ABB, napisał w lutym 1998, że kto nie rozumie znaczenia IT, szybko i bezapelacyjnie usunie ty będzie z nowoczesnej cywilizacji. Rządząca dziś Polską koalicja dobrze powinna sobie zapamiętać powyższe słowa.

W opinii tych polityków polskich, którzy aktualnie są u władzy i związanych z nimi dziennikarzy, Polska jest oczywiście krajem kwitnym. W rzeczywistości Polska jest krajem nadal zacofanym i biednym, w którym – co sam w czasie częstych wizyt obserwuję – ludzie wychodzą z aptek z płaczem, bo nie stać ich na lekarstwa. Jest też krajem ze szczególnym spiętrzeniem wielkich problemów: hutnictwo, górnictwo i inne dinozaury, eksport oparty o surowce i towary mało przetworzone, a więc i narastająca dysproporcja w handlu zagranicznym, najwyższy w Europie Wschodniej odsetek ludności pracującej w gospodarstwach rolnych, z których tylko 20-25% może przetrwać, wyjątkowo nędzny stan telekomunikacji, bardzo zła sytuacja ekologiczna (Polska jest największym truci-cielem Bałtyku), nadal wysokie bezrobocie, wysoki wskaźnik zadłużenia zagranicznego etc., etc. Nie jest przypadkiem, iż coraz częściej słychać głosy, iż do Unii Europejskiej powinna być Polska przyjęta dopiero w drugim rzucie, przynajmniej w kilka lat po Słowenii, Estonii i Węgrzech. Nikt nie odmawia Polakom przedsiębiorczości i niewątpliwych sukcesów, ale trzeba pamiętać, że gdyby nawet polski wzrost gospodarczy nadal pozostał wysoki, a krajów Europy Zachodniej niski, to i tak dopiero za 27-30 lat osiągnęłaby Polska produkt brutto/capita Unii Europejskiej. W Polsce upowszechnienie IT nie może nastąpić bez niezbędnego impulsu polityków. Jeżeli szybko nie zostanie opracowana jakaś narodowa strategia rozpowszechniania technik informatycznych w społeczeństwie, ze szkołami włącznie, to nawet za powyższe 27-30 lat Polacy nadal będą przyjeżdżać do Szwecji w celu sprzątnania mieszkań i zbierania jagód. A usługi informatyczne dla nordyckich firm będą wykonywać Hindusi i Latynosi.

*Stefan ABNER*

## Sztuka Aleksandra Zubryckiego z Mińska

Podczas walnego zebrania członków Stowarzyszenia Białoruś-Polska, które odbyło się w listopadzie ub. r. w Domu Przyjaźni z Krajami Zagranicznymi w Mińsku, na sali konferencyjnej pokazano 11 obrazów z serii „Kościoły Białorusi”. Jediną świątynią spoza naszej republiki był sławny ze swej piękności kościół św. Anny z Wilna (1581). Kościoły białoruskie, o paręset lat młodsze, przedstawiały różne style architektoniczne. Zwraçała uwagę niezwykłość wystawionych obrazów. Przy stonowanym kolorze świeciły one jakimś dziwnym blaskiem.

Trudno było określić jaką metodą zostały wykonane te obrazy. Tym bardziej, że podana była tylko nazwa obiektu, data jego wzniesienia i miejscowość. Brak było jednak nazwiska artysty.

Przedstawiono go zebraniem po zakończeniu oficjalnej części zebrania. Okazał się nim Aleksander Zubrycki z Mińska, z zawodu lekarz oftalmolog, od paru lat na emeryturze, który zaczął rysować pod wpływem architektury Jemenu, gdzie praktykował w latach 1970-72. Przywiózł stamtąd album swoich rysunków. Przez dwa lata pracował w swoim zawodzie na wyspach Zielonego Przylądka (Portugalia), i tam zetknął się z sakralną architekturą katolicką. Stałym miejscem zatrudnienia dr. Zubryckiego był 3. Szpital Kliniczny w Mińsku. W chwilach wolnych od pracy czytał o malarstwie i technice mozaiki, zastanawiał się nad możliwością połączenia tych metod, eksperymentował, podejmował kolejne próby zrealizowania swoich zamierzeń. Stało się to jego pasją.

Aleksander Zubrycki nie należy do osób wielomównych, zwłaszcza nie lubi mówić o sobie. O wiele chętniej zgodził się przedstawić obecnym obiekty, utrwalone na jego obrazach, podając nazwę kościoła, rok jego budowy, miejscowość, osobliwości architektoniczne, najważniejsze wydarzenia, związane ze świątynią oraz jej stan obecny. I przewinął się



przed nami jak na taśmie filmowej jeden z ciekawych fragmentów historii zachodniej Białorusi od 1702 do 1914 roku. Chronologicznie wyliczając, były to kościoły Iwiencja, Zaświara, Wołczyzna, Zakoziela, Budslawia, Postaw, Gierwiat, Sobotników, Wilejki i Widz. Dla dr. Zubryckiego była to pierwsza okazja do publicznego zaprezentowania części jego artystycznego dorobku.

Po zebraniu i prezentacji obrazów przedstawiłem się artyście i poprosiłem o pewne dodatkowe wyjaśnienia. W ciągu wielu lat prowadziłem na tych terenach badania etnologiczne i socjolingwistyczne, więc część wystawionych obiektów sam znałem, co ułatwiało nasz kontakt. Dowiedziałem się, iż p. Zubrycki pochodzi z Mohylewsczyzny, jest Białorusinem wyznania prawosławnego. W Polsce nigdy nie był i pokrewieństwa z Polakami nie posiada. To mnie naprawdę zaintrygowało, bo skąd się wzięło jego zafascynowanie kościołami rzymsko-katolickimi na Białorusi? Zaznaczyłem, że i ja sam, jako rodowity Poleszук, jestem w podobnej sytuacji, wybrawszy za przedmiot moich zainteresowań badawczych Polaków za Bugiem i polszczyznę kresową.

Otrzymałem odpowiedź wymijającą, że trudno mi odpowiedzieć na moje pytanie jednoznacznie. Może porozmawiamy na ten temat innym razem. Wymieniliśmy ze sobą adresy, potwierdzając obustronną zgodę na kontynuację naszej rozmowy przy jakiejś następnej okazji. Przyznam się, że zaintrygował mnie ten przypadkowo poznany artysta amator, na pewno zdolny, inteligentny, powściągliwy w wyrażaniu swoich uczuć i myśli. Wiedziałem jednak z własnego doświadczenia, iż zbyt ciekawość i tym bardziej natręctwo w podobnych przypadkach nie jest wskazana. Dopiero po upływie ponad dwóch miesięcy, w ciągu których odbyliśmy parę telefonicznych rozmów grzecznościowych, otrzymałem od pana Aleksandra zaproszenie do odwiedzenia go w domu rodzinnym. Obiecał pokazać swoją pracownię oraz nieznaną mi dotychczas drugą część swego dorobku artystycznego. Mnie natomiast ciągle jeszcze nurtowała zagadka wybranej przez niego tematyki. Zaproszenie przyjąłem z wdzięcznością.

Państwo Zubryccy mieszkają w parterowym drewnianym domu z niewielkim ogródkiem. Cała dzielnica takich

prywatnych domków z działkami powstała tu po ostatniej wojnie. Wnętrze mieszkania urządzone z gustem, na manierę europejską. Zaprojektował to wszystko i w znacznym stopniu wykonał sam gospodarz. Nie jest to mieszkanie bogate, jednak funkcjonalne, wygodne, sympatyczne. Z dużego pokoju gościnnego na dole szerokie schody prowadzą na mansardę, gdzie są pokoje sypialne i gabinet-pracownia gospodarza. W ostatnich latach przeważa to drugie przeznaczenie – pracownia artystyczna. W biurku, szafce, szufladach, pełno jest wszelkiego rodzaju pudełek i flakoników z proszkiem szklanym najprzeróżniejszych kolorów, różnego rodzaju smołami, płynami, klejami: leżą też narzędzia do wycinania w drewnie i inne.

Pytam o technologię wykonania takich obrazów, jakie były eksponowane onegdaj na wystawie. – Zaczyna się wszystko od wyboru obiektu, jego dokładnych szkiców, określenia gamy kolorystycznej, zgromadzenia odpowiedniej informacji. Wykończony ostatecznie rysunek przenosi się na przygotowany arkusz grubej dykty, w której się wycina odpowiednie wgłębienia, wypełniane potem proszkiem ze szkła kolorowego. Dobieranie i tonowanie kolorów, to kwestia wyczucia i wprawy. Sprawą arcyważną jest też przygotowanie oraz zastosowanie środków umacniających, które cementują proszek szklany, przyklejają go do drewnianego podłoża, nie pozostawiając przy tym żadnych śladów na zewnętrznej powierzchni obrazu. Żmudną i uciążliwą pracą jest przygotowywanie proszku ze szkła kolorowego. Im więcej kolorów, tym bogatsza skala możliwości artystycznych. W sumie wykonanie jednego takiego obrazu wymaga miesiąca czasu.

Pytam teraz o drugi, nieco tajemniczy i zagadkowy cykl jego obrazów. – Żadnych tajemnic, – uśmiecha się mój rozmówca – jest to po prostu tematyka, budząca do niedawna niesmak i podejrzenie u przedstawicieli władz sowieckich. Serię nazwałem nieco prowokująco: „Krzyżowa droga do niepodległości”. Chodzi tu o różnego rodzaju pomniki, kapliczki lub nagrobki, poświęcone powstańcom i żołnierzom polskim, poległym w obronie ojczyzny. Były czasy, kiedy przy tych grobach i pomnikach zaciągano warty honorowe, zapalano świece i składano kwiaty. Dziś częstokroć uległy one zapomnieniu, a czasami wręcz pełnej dewastacji. Moim zdaniem, tak być nie powinno. Groby poległych żołnierzy szanuje się



na całym świecie, bez względu na przynależność państwową lub narodową. Wspomniana seria jest swoistym protestem przeciwko znieczuleniu i barbarzyństwu.

Przystępujemy do oglądania drugiej serii obrazów dr. Zubryckiego, która z podanych wyżej powodów nigdy jeszcze nie była prezentowana publicznie. Na początku pomnik z Kosowa poleskiego i kaplica pamiątkowa z Miłowidowa pod Baranowiczami, poświęcone powstańcom, poległym w 1863 roku. Następnie idą pomniki i nagrobki poległych w obronie granic Rzeczypospolitej Polskiej w wojnie 1919-1920 roku z Wilejki, Wornian, Głębokiego, Brzozówki, Wiszniewa, Duńłowicz, Berezy, Kobylnika i Wołkowyska. Forma i kształt tych pomników mają różny charakter. Na każdym z nich wyraźnie występuje tekst, komu został poświęcony, za jakie czyny i kiedy został ufundowany. Prace nad obydwoma seriami trwają nadal. Przy okazji dowiedziałem się, że obraz Matki Boskiej Loretańskiej, wykonany przez Zubryckiego techniką mozaiki z kamieni kolorowych, został przekazany w r. 1992 jako dar dla kościoła w Augustowie. Niedawno pan Aleksander powrócił z Bieniakoni i okolic, gdzie zapoznał się z resztkami zabytków w byłym majątku Puttkamerów. Miejmy więc nadzieję, iż do rocznicy Mickiewiczowskiej powstanie jeszcze jeden obraz z tamtych stron.

W kwietniu doprowadziłem do prezentacji obydwu serii obrazów dr. Zubryckiego na jednym ze spotkań mińskiego oddziału Związku Polaków Białorusi. Prezentację przyjęto z dużym zainteresowaniem, uważając ją za jedną z najbardziej udanych imprez roku. Kilka osób wyraziło opinię, że kolekcję obrazów pana Zubryckiego należałoby pokazać w Polsce. Do zrealizowania tej intencji mogłyby się przyczynić takie placówki jak Instytut Sztuki PAN, Stowarzyszenie Wspólnota Polska, Komitet Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Przy ich udziale i pomocy kolekcję obrazów z Białorusi mogliby obejrzeć mieszkańcy Warszawy i innych miast Polski. Z takim właśnie przekonaniem podjąłem się napisać o tym.

Mnie jednak nadal nurtuje pytanie, co skłoniło prawosławnego Białorusina Aleksandra Zubryckiego, pochodzącego na dodatek ze wschodniej, sowieckiej części Białorusi, do podjęcia katolickiej i polskiej patriotycznej tematyki w swojej twórczości artystycznej. Po bliższym rozpoznaniu dochodzę

do wniosku, że tych powodów było kilka. Przede wszystkim wątek biograficzny. Ojciec jego, Paweł Zubrycki, docent i kierownik katedry geologii na Uniwersytecie Białoruskim w Mińsku, został w latach 30-tych aresztowany przez NKWD i skazany jako „wróg narodu”, a rodzina poddana represjom i ostracyzmowi. Piętno „wroga” ciążyło nad rodziną Zubryckich aż do okresu pierestrojki. Następnie, jako uczeń Technikum Chemiczno-Technologicznego, odbywając w kwietniu 1949 r. praktykę w Zakozielu, był świadkiem zdewastowanej kaplicy-grobowca rodziny Orzeszków, z wyrzuconymi z trumien zabalsamowanymi zwłokami dwóch polskich i dwóch francuskich generałów, poległych w 1813 roku. Uraz psychiczny z powodu tego aktu bezmyślnego wandalizmu pozostał mu do dziś.

Po ukończeniu Akademii Medycznej pracował w latach 1956-59 w szpitalu obwodowym w Wilejce, gdzie była jeszcze polska ekipa lekarzy i pielęgniarek, około dziesięciu osób. Byli to ludzie przeważnie w starszym wieku. Cechowała ich wysoka fachowość zawodowa, kultura osobista, otwartość i życzliwość w stosunku do personelu i pacjentów. Młody absolwent bardzo to sobie cenił i lgnął do nich, za co miejscowe władze sowieckie miały do niego pretensje, że zadaje się z wrogim elementem. I wreszcie dwukrotny pobyt poza granicami ZSSR jeszcze bardziej otworzył mu oczy na zakłamanie panujące w jego kraju ojczystym. Na tym tle imponowała Aleksandrowi Zubryckiemu zdecydowana i twarda postawa Polaków, zwłaszcza księży katolickich, którzy pod żadnym pretekstem nie poddawali się ani przekonaniom, ani presjom władz komunistycznych. Zawsze uważał i nadal jest zdania, że Polacy służą przykładem godnej postawy obywatelskiej, wartym naśladowania dla mniej świadomych narodowo Białorusinów. Aleksander Zubrycki jest przekonany, że Polacy kresowi, ich wiara i kultura, są integralnym i trwałym elementem społeczeństwa niezależnej Białorusi. Więc wszystko, co osiągnął w swojej pracy artystycznej, ma służyć dla dobra jego ojczystego kraju i ludzi dobrej woli.

Mińsk, Białoruś

Wiaczesław WERENICZ



## PISMA ZEBRANE WITOLDA GOMBROWICZA

Wydawnictwo Literackie przystępuje do opracowania edycji krytycznej Pism zebranych Witolda Gombrowicza, nad którą honorowy patronat objęli Rita Gombrowicz i Jerzy Giedroyc oraz minister kultury i sztuki. Komitet Redakcyjny stanowią: Włodzimierz Bolecki, Jerzy Jarzębski, Zdzisław Łapiński. Wydawnictwo zwraca się z prośbą do osób posiadających materiały związane z życiem i twórczością Witolda Gombrowicza o udostępnienie ich w formie kserokopii Ricie Gombrowicz oraz Komitetowi Redakcyjnemu w celu wykorzystania ich do prac przy tej edycji. Prosimy o kontakt pod adresem: Wydawnictwo Literackie, ul. Długa 1, 31-147 Kraków, Polska. Wydawnictwo pokrywa wszelkie koszty związane z przekazaniem materiałów.

KOMUNIKAT  
O STYPENDIACH FUNDACJI BANKOWEJ  
im. LEOPOLDA KRONENBERGA (Warszawa)  
i FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ  
LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ (Paryż)

W ramach projektu stypendialnego realizowanego wspólnie przez warszawską Fundację Bankową im. Leopolda Kronenberga i paryski Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej w I półroczu br. ze stypendiów skorzystało 14 osób, w drugiej połowie roku pomocą zostanie objętych 17 osób.

Stypendia przyznawane są pisarzom, artystom oraz badaczom w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych, ze szczególnym uwzględnieniem historii. Stypendia służą pokrywaniu kosztów pobytu w zagranicznych (w przypadku osób zamieszkałych w Polsce) oraz – w odniesieniu do osób zamieszkałych za granicą – w polskich ośrodkach naukowych i kulturalnych.

Osobą uprawnioną do otrzymania stypendium jest każda osoba, która nie przekroczyła wieku 35 lat.

Podanie powinno zawierać:

- życiorys,
- informacje o dorobku twórczym oraz
- program pobytu za granicą wraz z informacją na temat przewidywanego czasu jego realizacji.

Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Stypendyści będą mieli prawo do wykorzystania stypendium w terminie nie przekraczającym 6-u miesięcy od daty wysłania zawiadomienia o jego przyznaniu.

Organizowanie podróży, ubezpieczenia i mieszkania nie leży w gestii fundatorów.

Najbliższy termin nadsyłania podań upływa z dniem 31 grudnia 1998.

Podania prosimy przysyłać do sekretarza Funduszu:

Wojciech Sikora, FPNLiNP,  
31, rue de Garlande,  
77-220 Tournan-en-Brie  
Francja

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.



## Notatki Redaktora

Z wielu stron dochodzą do nas wiadomości o głodujących dzieciach w Polsce. Zdarzają się wypadki, że dzieci w szkole mdleją z głodu, gdyż wychodzą z domu bez śniadania, a na obiad nie mają pieniędzy. Dzieje się to w czasie nadprodukcji zboża i kiedy rolnicy demonstracyjnie rozsypują importowane zboże. Taki stan rzeczy jest zagrożeniem biologicznym narodu. Żeby temu zapobiec jest koniecznością wprowadzenie bezpłatnych posiłków w szkołach. Sprawa jest pilna. Nie można dopuścić do przepychanki między rządem a samorządami, które będą się zaślaniały brakiem pieniędzy. Wszystko to w okresie wyborów samorządowych i niesprecyzowanego podziału kompetencji. Wydatek nie byłby tu zbyt wielki, biorąc pod uwagę nadmiar niektórych produktów spożywczych, ale to nie jest wszystko. Należałoby wprowadzić wzmożoną kontrolę nad domami dziecka, gdzie też się dzieje niedobrze. Nie wystarczą jałowe dyskusje w Sejmie na temat rodziny, czy opieki nad rodzinami i tworzenie specjalnych organizacji, które sprawę rodziny wybijają na plan pierwszy. Tego nie załatwi się rozporządzeniami, które są na papierze – na przykład obciążanie gmin sprawą bezdomnych zwierząt przy przepelnionych i nielicznych schroniskach. Nie należy ponadto zapominać, że zbliża się zima i że znów powstanie problem pomocy żywnościowej dla ubogich, a więc zorganizowanie „kuroniówek” czy na wzór francuski tzw. „restaurationi serc”. Można by również pomyśleć o przydziale bezpłatnym lub po niższych cenach – węgla. Na czele takich akcji musi stanąć człowiek kompetentny, z dużym doświadczeniem organizacyjnym i posiadający społeczne zaufanie. Idealny byłby tu Jacek Kuroń, gdyby stan zdrowia mu na to pozwolił.

To wszystko łączy się ponadto ze sprawami terenów popowodziowych. O tragicznej sytuacji na tych terenach mówił

ostatnio prezydent Aleksander Kwaśniewski. Ale to nie wystarczy. Trzeba by tu przeprowadzić jak najszybsze zmiany personalne i zażądać, aby Najwyższa Izba Kontroli w pierwszej kolejności przeprowadziła kontrolę całej akcji pomocy powodzianom, a w każdym razie powinien zorganizować konferencję zainteresowanych wojewodów dla poprawienia stanu rzeczy. Czasu jest mało.

Niewątpliwie to wszystko wymaga znacznych pieniędzy, a nasz budżet jest bardzo napięty. Pieniądze można uzyskać tylko przez oszczędność i zlikwidowanie niepotrzebnych instytucji i resortów administracyjnych. Może należałoby pomyśleć o jednorazowym wysokim opodatkowaniu niewspółmiernie wysokich wynagrodzeń w administracji i samorządach?

Minister spraw zagranicznych wystąpił z pomysłem przydzielania wojewodom doradców z MSZ-u. Znacznie prostsze byłoby wybieranie kompetentnych ludzi na stanowiska wojewodów, a przede wszystkim Ministerstwo Spraw Zagranicznych powinno mieć jasno zakreślone wytyczne polskiej polityki zagranicznej, specjalnie na Wschodzie. Tak na przykład, na początku 1996 roku był problem zorganizowania tranzytu z Kaliningradu do Federacji Rosyjskiej, tworząc specjalny korytarz przebiegający przez tereny polskie. Ten tak szkodliwy dla naszych interesów projekt był bardzo popierany przez ówczesnego wojewodę suwalskiego, który widział w tym szansę dla swego województwa. Pomysł był również popierany przez Kazimierza Koronę pełnomocnika rządu do współpracy północno-wschodnich województw z obwodem kaliningradzkim. Korona był wówczas wiceministrem spraw zagranicznych i ma się rozumieć członkiem PSL-u. A co by robił taki doradca przy pani wojewodzie białostockim Krystynie Łukaszuk, specjalnie teraz, kiedy do woj. białostockiego została dołączona suwalszczyzna, a więc do problemu białoruskiego i prawosławia dochodzi problem litewski? Bardzo namawiam czytelników by zapoznali się z artykułem Mieczysława Wnuka pt. „Wielkie miasto Białystok”, który ukazał się we wrześniowym numerze *Kultury* (nr 9/612).

Problem wojewodów to osobne zagadnienie. Stało się



regułą, że stanowiska rządowe są obsadzone przez członków rządzących koalicji i jak się okazuje – na te stanowiska wysuwani są ludzie całkowicie niekompetentni. Przykładem w rządzie jest Ryszard Czarnecki. A jeśli idzie o wojewodów to katowicki organizuje walkę z narkomanami – czysto mechaniczną, gdyż nie ma dla narkomanów miejsc w szpitalach. Wojewoda warszawski pozwala sobie na przyjęcie z firmy Fiat Polska do „testowania” samochodu wartości 56.000 złotych. W każdym kraju byłby z miejsca usunięty, ale ma się rozumieć, nie w Polsce.

● W Polsce jest prawdziwa epidemia kradzieży samochodów turystów niemieckich. Poprzednio zwracaliśmy uwagę na apele Zbigniewa Panka, kierownika polskiego dużego biura turystycznego w Niemczech, skierowane do naszej ambasady i rządu, stwierdzające, że to zjawisko odbija się katastrofalnie na turystyce niemieckiej do Polski i że skargi poszkodowanych są całkowicie ignorowane przez polską policję, co powoduje rosnącą skalę przestępczości. Dotyczy to również turystów polskich przyjeżdżających z krajów zachodnich. Takie skargi przychodzą także do redakcji *Kultury*. Wiele z nich kończy się zapowiedzią, że to była ostatnia ich wizyta w ojczyźnie.

● W ogóle rosnąca katastrofalnie przestępczość w Polsce powinna być przedmiotem większej troski rządu niż to miało miejsce dotychczas.

● Niefortunne pomysły. Zabiega się o to, aby w roku 2006 olimpiada zimowa miała miejsce w Zakopanem. Nie bierze się pod uwagę, że będzie to kompletne zniszczenie Tatr i tak już zdewastowanych przez turystów. Korzyści z olimpiady byłyby zapewne niewielkie, biorąc pod uwagę słaby poziom polskiego sportu i nasze „talenty” organizacyjne.

REDAKTOR

## Ci, co odeszli

### Urzędnik Rzeczypospolitej

– „Miał pogrzeb komunisty – opowiada Jacek Merkel – on, taki antykomunista jednoznaczny, który w roku 1981 uważał, że mamy szansę zrzucić okowy rosyjskie”.

Wydaje się, że obraz pogrzebu Jerzego Milewskiego tkwi w pamięci Merkla niczym zadra. Państwowa pompa: kompania reprezentacyjna, „Jeszcze Polska”, tremolo werbli i salwa honorowa. Prezydent Aleksander Kwaśniewski z całą kancelarią, przedstawiciele Sejmu i Senatu. Generał Tadeusz Wilecki i Mieczysław Wachowski, zaciekli przeciwnicy koncepcji zmarłego. Wojciech Jaruzelski. I garstka solidarnościowych przyjaciół: Andrzej Milczanowski, Bogdan Lis, Władysław Frasyniuk, Zbyszek Lis, Boguś Szybalski, Janusz Granatowicz, ludzie z biura brukselskiego, Basia Labuda... „Solidarność” formalnie nie była reprezentowana w ogóle. Z dawnej „S” przyszedł Stefan Jurczak, ale jako wicemarszałek Senatu. Nie zgodził się zabrać głosu. „Odmówił ciepło” – oceniła rodzina zmarłego.

Reakcję politycznego światka odzwierciedlają też nekrologi. Te, które dano, na tle tych, których zabrakło. Raz po raz powtarzają się podpisy: Kwaśniewski, Cimoszewicz, Waniek („Człowiek wielkiego serca i umysłu, lojalny Przyjaciel” – napisała o zmarłym), postowie Klubu Parlamentarnego SLD gremialnie, a niektórzy również indywidualnie. Aż dziwnie wyglądają odosobnione, opublikowane dopiero po pogrzebie wspólne kondolencje Olgi Krzyżanowskiej, Bogdana Borusewicza i Jacka Taylora, postów UW.

Za to już nazajutrz po zgonie, 12 lutego 1997, na łamach *Życia* zdemaskował zmarłego autor sygnowany jako „LUZ”: „Zmarł Jerzy Milewski – szef prezydenckiego Biura Bezpie-



czeństwa Narodowego (...). Na liście Macierewicza figurował jako współpracownik SB pod kryptonimem 'Franciszek' (...). Gdy Wałęsa zmusił go w końcu do dymisji, został bezrobotnym. Zarejestrował się w urzędzie pracy i przez kilka miesięcy pobierał zasiłek. Zdaniem wielu, nie chodziło mu jednak o pieniądze, a przede wszystkim o prawo do bezpłatnej opieki zdrowotnej – tajemniczą poliszynela było bowiem, że Milewski od lat cierpiał na nowotwór krwi. W czasie prezydenckiej kampanii wyborczej, wystąpił na wspólnej konferencji z Aleksandrem Kwaśniewskim. Po zwycięstwie zatrudnił on Milewskiego ponownie w BBN”.

Ciekawe, ile osób podpisałoby się pod tym tekstem, gdyby tylko wypadało, gdyby nie wstyd?

Michał Jagiełło, przyjaciel z wypraw wysokogórskich, przywiózł na grób gałązkę kosówki oraz ułomek skalny z Tatr, Merkel piasek z plaży pomiędzy Brzeźnem a Jelitkowem.

#### *Od ciała stałego do polityki*

Blok w Warszawie przy ulicy Sobieskiego. Niewielkie dwupokojowe mieszkanie, umeblowane nader przeciętnie. – „Czterdzieści metrów kwadratowych, jak na pana ministra chyba niezbyt wygórowany standard – Barbara Milewska, córka z pierwszego małżeństwa, rocznik 1958, nie bez powodu pokazuje ten kawałek prywatności. – Niewiele mówi – jest osób, które wierzą, że ojciec nie zbił na tej Brukseli majątku”. Cytuje opinię, którą miała wygłosić jedna z wielkich postaci obozu solidarnościowego: „Jeśli ten Milewski się nie dorobił, to albo kłamie, albo jest zupełnie głupi”. – „Nigdy nie chciał więcej, niż to, co niezbędne do życia. W Brukseli miał pakamerkę w biurze. Domowy klimat wprowadzały koty, zwłaszcza Mruczysław czyli Mrunio, tygrys ardeński karłowaty, 15 kg żywej wagi”.

Z rodzinnych fotografii Barbara Milewska najbardziej lubi portret babki Maryny, młodej panny w boa z piór. Jej młodość to dworkowy świat – przyjaciółki, bracia i kuzynowie przyjaciółek. Maria z Bobrzyńskich, matka Jerzego, była córką wybitnego historyka Michała Bobrzyńskiego. Szlachetna twarz, śnieżnobiała broda – takim go utrwalił

fotograf na ślubie córki z rotmistrzem Józefem Milewskim, uczestnikiem powstania wielkopolskiego, kawalerem Virtuti Militari za wyprawę kijowską.

Rotmistrz zginął w Katyniu. Kazia, starszego syna małżonków Milewskich w 1945 roku rozerwał niewypał. Maryna zmarła dwa lata później. Jerzy Milewski (rocznik 1935) dorastał w rodzinie przyjaciół – państwa Bodniaków, w Kórniku pod Poznaniem. Nie chciał być ciężarem. Po maturze uparł się pracować – został traktorzystą. A Maciek Bodniak wybierał się na Politechnikę Gdańską. Jego matka nalegała, by ich podopieczny też kontynuował edukację. W końcu pojechali do Gdańska obaj.

Pozółkłe gazety z początku lat 60-tych prezentują Milewskiego jako zdolnego fizyka ciała stałego, jednego z konstruktorów generatora magnetogazodynamicznego, zbudowanego w laboratorium Instytutu Maszyn Przepływowych PAN w Gdańsku. Lata siedemdziesiąte zajęła mu praca nad laserem dużej mocy. Prototyp miał być zastosowany w Stoczni Gdańskiej do cięcia i spawania blach na kadłuby statków. Natomiast fotografie z tamtego okresu utrwalają głównie jego pasję alpinistyczną: 1974 rok – Pik Komunizmu (7495 m), potem I Gdańska Wyprawa „Himalaje '79” na Dhaulagiri (8172 m)...

O poglądach politycznych ojca pani Barbara dowiedziała się dopiero w sierpniu 1980. Instytut Maszyn Przepływowych PAN jako pierwsza instytucja tzw. inteligencka poparł strajkujących stoczniowców. Milewski, który kilka dni wcześniej wrócił z gór Pamiru, z ramienia Instytutu został członkiem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Michał Jagiełło zapamiętał, że przyjaciel, zwykle chłodny, powściągliwy, opowiadał jak nawiedzony: Stocznia, Wałęsa, wolne związki zawodowe, determinacja, nastrój wzniosłości i powagi...

Joanna Pilarska, ostatnia życiowa partnerka Jerzego Milewskiego i najbliższa współpracownica w brukselskim biurze, uważa, że pragnienie zmian w Polsce musiało zakiełkować w nim dużo wcześniej, pod koniec lat sześćdziesiątych, podczas rocznego pobytu stażowego w USA, w demokratycznym kraju. Poznała Milewskiego w burzliwym roku 1980. Stołeczni pracownicy nauki, kultury i oświaty chcieli mieć własny związek. Ona, doktor biologii, uczestniczyła w którymś z zebrań. On przyjechał z Karolem Modzelewskim



przekonywać, by przystąpili jednak do NSZZ „S”. – „Mówił językiem programu komputerowego. Ale był w nim płomień przeświadczenia o racji”.

*Zakochany w „Solidarności”*

Andrzej Celiński w tamtym okresie widział w Milewskim głównie chłód i ambicje. Jacek Merkel natomiast eksponuje kreatywność, której efektami były: pierwsza „Sieć”, koncepcja Polskiej Partii Pracy, a potem brukselska placówka „S”. „Sieci” czyli porozumieniu komisji „S” największych zakładów przyświecał zamiar, aby poprzez samorządy pracownicze uderzyć w partyjną nomenklaturę. Polska Partia Pracy natomiast miała stać się polityczną reprezentacją „S”.

Milewski wyraźnie wyszedł przed orkiestrę. Daleko, daleko, zwazywszy jak niedawno „S” wyłoniła z siebie partię. – „Sieć” – mówi Bogdan Lis – odbieraliśmy jako próbę tworzenia na potrzeby Wałęsy pozastatutowej siły, zdolnej zmusić kierownictwo związku do ustępstw. Stąd Milewski był postrzegany niezbyt pozytywnie”.

11 grudnia 1981 poleciał do Nowego Orleanu, na konferencję naukową poświęconą laserom. Tam zaskoczył go stan wojenny. Joanna Pilarska zdołała przekazać wiadomość, by nie wracał. Dołączyła do niego nieco później w Brukseli.

W stanie Connecticut mieszka kuzyn Milewskiego Stanisław z rodziną, więc pojechał najpierw tam. – „Pracoholik, zakochany w ‘Solidarności’. Wierzył, że Polska będzie wolna i że nastąpi to szybko” – tak charakteryzuje go Elżbieta Wasiutyńska, też osiadła w Connecticut, synowa Wojciecha Wasiutyńskiego, publicysty i działacza Stronnictwa Narodowego. Kolega jej męża Tadeusz Morawski, ściągnął przybysza z Polski do Nowego Jorku, gdzie pojawiły się załączki poparcia dla zdelegalizowanej „S”. – „My, Polonia, nie każdego przyjmujemy z otwartymi rękoma – twierdzi Wasiutyńska. – Ale doktora Stanisława Milewskiego znaleźmy od lat. Moja matka znała jego ciotki jeszcze z czasów ziemiańskich”.

Toteż, kiedy Jerzy Milewski pojechał tworzyć biuro „Solidarności” w Brukseli, bo tam miały swoje siedziby dwie centralne związkowe – Międzynarodowa Konfederacja Wolnych Związków Zawodowych oraz Światowa Konfederacja Pracy –

zaoferowała mu swą pomoc żona Morawskiego Irena Dubicka a następnie Wasiutyńska. Obie panie kursowały między Brukselą a Stanami Zjednoczonymi. Pieniądze na podróże pochodziły z datków organizacji polonijnych, od związków zawodowych, utrzymywały się natomiast z własnej kieszeni. Biuro bowiem dysponowało tylko dwoma etatami, które zafundowały wspomniane związkowe międzynarodówki.

Krzysztof Pomian zetknął się z Milewskim po raz pierwszy na początku 1982 roku w Brukseli, dokąd został wezwany z Paryża na ściśle tajne zebranie. Pojechał tam, jak powiada, bez entuzjazmu, spodziewając się spotkać kolejną grupę emigrantów zajętych głównie kojeniem swoich frustracji. Poznał zaś pragmatycznego, rzeczowego urzędnika, organizującego ambasadę zdelegalizowanej „S”.

W kwietniu 1982, kiedy w kraju powstała podziemna Tymczasowa Komisja Koordynacyjna „S”-TKK, właśnie placówce w Brukseli przekazała, po burzliwych dyskusjach, pełnomocnictwa do koordynowania działalności zagranicznej. „Do Milewskiego najwięcej zastrzeżeń zgłaszała ‘Warszawa’ – relacjonuje Bogdan Lis, odpowiedzialny w TKK za kontakty z zagranicą. – ‘Warszawa’ miała swoje źródła, układy, kanały. Jeżeli jakiegokolwiek informacje z Brukseli nie pokrywały się z tymi z Paryża, od razu padały oskarżenia, że agenci, że zdrada...”.

*Ambasador „Solidarności”*

– „Jurek przyjął w tym emigracyjnym świecie założenie, że biuro brukselskie nie jest podmiotem, tylko reprezentuje związek – podkreśla Jacek Merkel. – Uważał, że największe i najtrwalsze poparcie ‘Solidarności’ może uzyskać nie jako ruch, jak chciały środowiska eksperckie, czy KOR-owskie, tylko jako związek zawodowy od innych związków zawodowych. Tamci mieli dobre kontakty na Zachodzie dzięki znajomościom w kręgach emigracji z 1968 roku. My z Milewskim stworzyliśmy wyłom w monopolu”.

Za największe wspólne osiągnięcie uważa Merkel przyjęcie „S” w listopadzie 1986 do dwóch central związkowych, mających swe siedziby również w Brukseli – „Wałęsa tradycyjnie był za a nawet przeciw. W ostatniej chwili podczas jakiegoś przypadkowego spotkania z udziałem połowy TKK i



jeszcze innych osób, zarządził głosowanie. Wyszło na 'tak'. Sądził, że nie zdąży tego wysłać. A tu już następnego dnia Wolna Europa podała informację, że wniosek wpłynął”.

Stosownej treści list z podpisem Wałęsy dawno był w Brukseli. Milewski tylko czekał na sygnał.

Na rozpracowywujących opozycję funkcjonariuszach MSW robiły wrażenie, przygotowywane przez Brukselę, nielegalne wojaże krajowych emisariuszy „S”. Na przykład, Andrzejowi Słowikowi biuro załatwiło audiencję u papieża, w Białym Domu, w Kongresie, w Departamencie Stanu i gdzie tylko. „Chodziło – powiada b. oficer wywiadu – o pokazanie, że państwo podziemne 'Solidarności' w rzeczywistości reprezentuje społeczeństwo, jest załączkiem przyszłej demokratycznej Polski. Milewski, drobiazgowo informowany o toczących się wciąż w 'S' podjazdowych walkach, wobec zagranicznych patronów przedstawiał związek jako monolit”.

Kiedy Milewski miał przyjechać do Stanów, a starał się być przynajmniej raz na kwartał, Wasiutyńska szykowała mu plan spotkań. – „Dwanaście godzin telefonów dziennie, ile tygodni gadania, przebijania się przez sekretarki, prośnienia różnych biurokratów o spotkania” – wspomina związane z tym wysiłki.

Wspomniany oficer wywiadu jest przekonany, że przez brukselskie biuro płynęły pieniądze za sprawą amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej CIA. Na potwierdzenie przywołuje publikację Roberta M. Gatesa „From the shadows”. Elżbieta Wasiutyńska nie może zaakceptować tej wersji: – „Po wygranej chcą przypisać sukces 'S' sobie – mówi o CIA. – Za tym – dodaje – stała kobieta z kupą dzieci”. Wasiutyńska ma bowiem siedmioro potomków.

Ze sławnym pierwszym milionem dolarów, który Kongres USA przeznaczył na „S” rzecz miała się następująco: przedstawiciele biura brukselskiego zostali zaproszeni na spotkanie 30-osobowej grupy pracowników kongresmenów konserwatywnych republikanów. Ludzie ci spotykali się raz na dwa tygodnie, żeby wymienić informacje. Milewski przedstawił im sytuację „S”. Wiedział, że tu nie można prosić o pieniądze, więc jedynie nadmienił, że kwota miliona dolarów rocznie bardzo by „S” pomogła.

Po zakończeniu spotkania, wyszedł za nimi niepozorny młody człowiek Michael Hammond, prawnik, rodzaj eksperta.

Stwierdził, że wyłączenie miliona dolarów jest technicznie proste. W środku roku koryguje się ustawę budżetową. Ten milion można „zawiesić” przy jakiejś ustawie.

– „Anioł opatrności z biurokratycznego wnętrza Kongresu – mówi o nim Wasiutyńska. – Wskazał nam, jak budować poparcie, krok po kroku, co zrobić dziś, co w przyszłym tygodniu, podpisy których senatorów są potrzebne. Stał się naszym rzecznikiem w rozmowach ze swymi kolegami”.

Ona z kolei namawiała przedstawicieli Polonii: mieszkaż w stanie Kalifornia, napisz do swojego kongresmena, że będzie ustawa korzystna dla „Solidarności”, żeby się pod tym podpisał.

### Nowy początek

Milewski wrócił do kraju w grudniu 1989 r. „(...) Nigdy nie czułem się emigrantem a tylko człowiekiem na delegacji, która przeciągała się w czasie” – powiedział dziennikarzom. W sztabie wyborczym Wałęsy ułożył program „Nowy początek”. Potem, po zwycięstwie, Jacek Merkel, który kierował kampanią, pociągnął przyjaciela za sobą do Kancelarii Prezydenta. Milewski został szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Jeszcze w okresie brukselskim chłonał wszystko, co dotyczyło procesów integracyjnych. – „Powtarzał: 'Do tego pociągu musimy wskoczyć, musimy się w nim znaleźć' – wspomina Pilarska. – Uznał jednak, że zaczynać trzeba od NATO, ponieważ łatwiej wygrać interesy polityczne, aniżeli dopasować interesy gospodarcze.”

W BBN Milewski nie czuł, by jego wiedzę i koncepcje wykorzystywano należycie. Jakimś rozwiązaniem było przejście w listopadzie 1993 na własną prośbę do Ministerstwa Obrony Narodowej, na stanowisko sekretarza stanu, pierwszego zastępcy ministra. Krzysztofowi Pomianowi utkwiała w pamięci wizyta u Milewskiego w MON, w okresie jeszcze przed Drawskiem. I ówczesne zwierzenia przyjaciela dotyczące osób z SLD, m.in. Danuty Waniek. – „To było rozbijające. Opowiadał tonem kogoś, kto oczekiwał potworów, a znalazł normalnych ludzi, którym też na czymś zależy. Miał odwagę wyciągnąć z tego odkrycia wnioski, nie myśleć kategoriami



partyjnymi, stronniczymi, kombatanckimi”.  
 Z admirałem Piotrem Kołodziejczykiem we dwójkę chadzali do Lecha Wałęsy z rozmaitymi propozycjami. Ale nigdy nie udało im się odbyć z prezydentem rozmowy bez Mieczysława Wachowskiego i jego komentarzy: „Oni ci władzę zabierają. Czy ty tego nie czujesz?”.  
 – „Po Drawsku Jurek zachował się tak, jak oczekiwałem – wspomina Kołodziejczyk. – Bardzo zdecydowanie obstawał przy standardach europejskich, przy cywilnej kontroli nad armią. Gdyby było inaczej, może by przetrwał...”.

Mimo to, po dymisji admirała, Milewski przez kilka miesięcy pełnił obowiązki ministra. Prawdopodobnie zaważył autorytet, jakim się cieszył w państwach NATO. – „Dlaczego ojciec nie potrafił tupnąć nogą, trzasnąć drzwiami...” – w tym pytaniu Barbary Milewskiej kryje się nutka żalu.

Przyjaciele i bliscy Jerzego Milewskiego nie potrafią rozstrzygnąć, kto torpedował wszelkie próby znalezienia b. szefowi BBN posady – sam Lech Wałęsa czy osoby z jego otoczenia. Barbara Milewska przypuszcza, że ten okres przybliżył ojca do grobu. – „Nie należał do osób, które świetnie sobie radzą w życiu. Głęboko swe bezrobocie przeżywał. Zarejestrowanie się w biurze pracy, nieco demonstracyjne, nie było teatralnym gestem, raczej stwierdzeniem faktu: nie jestem potrzebny, to widać”.

#### *Pseudonim „Franciszek”*

Teczka Jerzego Milewskiego zawiera treści, które nie składają się w logiczną, spójną całość, a nawet wzajemnie sobie zaprzeczają. Otwiera ją dokument stwierdzający wyeliminowanie z kartotek w dniu 6 stycznia 1989 z powodu odmowy współpracy. Ale chodzi o bardzo starą sprawę. W lutym 1963 por. Romuald Z., esbek „obiektywy”, sprawujący „pieczę” nad Instytutem Maszyn Przepływowych PAN, otrzymał polecenie rozpoznania Jerzego Milewskiego, wówczas obiecującego młodego naukowca. Zamierzał go pozyskać jako tajnego współpracownika – TW „na zasadzie dobrowolności i patriotyzmu”. Raport z pozyskania nosi datę 1 sierpnia 1963. Tę samą datę nosi odręczne ZOBOWIĄZANIE (Zobowiązując się do zachowania w bezwzględnej tajemnicy faktu

odbywanych spotkań i treści rozmów odbywanych z oficerem kontrwywiadu. Imię, nazwisko, wiersz niżej – «Franciszek»).  
 Po pewnym czasie, gdy zainteresowanie Milewskim wykazali przedstawiciele Departamentu I MSW z Warszawy, wyszło na jaw, że raporty por. Z. rozmijają się z rzeczywistością. Przybyły do Gdańska kpt. Eugeniusz L. informował 10 maja 1965 r. zwierzchność, że Milewski robi rzeczy tak „karygodne, jak odkładanie słuchawki w trakcie rozmowy oraz wypowiadanie niegrzecznych definicji”.

Na tekście raportu L. znajdują się odręczne notatki dwóch osób utrzymane w tonie: „...są w tym kraju patrioci, godni wyjazdów... chyba mamy innych młodych naukowców... jeśli to wróg, to przykładowo ukarać, jeśli głupi, to nauczyć rozumu...”.

Kolejny raport w sprawie „Franciszka”, z 25 maja 1965, zaczyna się od słów: „Jak wynika z dotychczasowych doświadczeń towarzyszy z KW MO, t.w. ‘Franciszek’ do współpracy z Organami Bezpieczeństwa podchodzi absolutnie negatywnie”. Efektem tych stwierdzeń jest wniosek z 8 sierpnia 1965 o zaniechanie współpracy, poparty następującym uzasadnieniem: „zaczął podobno chętnie, ale wszystkie informacje, o charakterze wyłącznie ogólnym, są z niego wyciągane. (...) Później tak się uparł, że odmówił w ogóle widzenia. Woli zrezygnować z wyjazdu za granicę. Współpraca mu nie leży. (...) kategoryczna odmowa widzenia się nie pozwala na przekonanie go”.

Na końcu tego dokumentu znalazła się adnotacja innym charakterem pisma, bez daty i podpisu: „Pozostaje jako kontakt poufny”.

Może fachowcy byliby w stanie jakoś wyjaśnić sprzeczności, zweryfikować prawdziwość poszczególnych dokumentów. Henryk Majewski, który w 1991 roku jako minister spraw wewnętrznych na zamówienie prezydenta Wałęsy przeprowadzał coś w rodzaju nieformalnej lustracji najbliższych współpracowników prezydenta, nie chce się wypowiadać, jaki był wynik sprawdzania Milewskiego. Andrzej Celiński, któremu pod koniec lat osiemdziesiątych TKK przekazała nadzór nad łącznością z brukselskim biurem, pamięta kontakt z ambasadą USA. – „Tam podejrzewano – relacjonuje – że w Brukseli jest wtyczka. Domyślam się, kto nią był. Z całą pewnością nie Jerzy. Zresztą on, zważywszy relacje z NATO, jest poza podejrzaniem”.



Jednak oskarżenia o współpracę z SB co pewien czas gdzieś się przewijały. Milewski, który znał zawartość teczek, próbował bronić swego dobrego imienia w sądzie. Wniósł sprawę przeciwko Janowi Parysowi. Ciągnęła się długo i zakończyła niczym, ze względu na brak zgody UOP na ujawnienie zawartości teczek.

### *Ciężar ostracyzmu*

Sporo znajomych Milewskiego przypuszcza, że „zdrada” własnej politycznej formacji, czyli przyjęcie oferty Aleksandra Kwaśniewskiego, miało jakiś związek z chorobą. „Nie mógł czekać – uważa Bogdan Lis. – Choć kto wie, może uznał, że sytuacja w Polsce tak się zmieniła, że nawet pracując u Kwaśniewskiego, można coś pożytecznego robić”.

Nowy prezydent widział Milewskiego w roli ministra obrony narodowej. Zaprotestowali jednak koalicjanci z PSL. Powód? Podejrzenia agenturalne, tym razem o związki z CIA. Został więc mianowany tylko szefem BBN.

Jackowi Merklowi trudno było zaakceptować decyzję przyjaciela: – „Rozmawialiśmy o tym. Jurek mówił: ‘Twój czyli nasz prezydent, gdy mnie przyjmował do BBN, poświęcił mi jedną minutę. Ich czyli mój prezydent poświęcił mi parę godzin wnikliwej dyskusji. I w każdej chwili mogę z nim porozmawiać’”.

Joanna Pilarzka: – „Jurek nie chciał wygranej Wałęsy, bo zdawał sobie sprawę do jakiego rozkładu w armii doprowadziła jego prezydentura”. Podobno liczył się z ostracyzmem, choć może nie aż takim. Trochę był już oswojony. Wcześniej nieprzychylnie nastawienie Wałęsy skutkowało podobnymi reakcjami otoczenia. W praktyce jednak to zawsze boli.

Czasem na cmentarzu Joanna Pilarzka widzi nieznanych sobie ludzi. Zatrzymują się przy grobie Milewskiego, zapalają świeteczko. – „Jurek powtarzał: ‘Tak to jest, doceniają nas obcy i wrogowie’”.

*Ryszarda SOCHA*

## Wolna trybuna

### NATO a bezpieczeństwo Polski

Z różnych komentarzy w prasie polskiej, wypowiedzi polityków, oświadczeń rządowych itp, odnosi się wrażenie, iż sam fakt wejścia Polski do NATO daje pełne gwarancje bezpieczeństwa i skutecznej obrony przed agresją zewnętrzną. Z wyjątkiem bardzo nielicznych analiz, nie zwraca się uwagi na ograniczone ramy proponowanego nam członkostwa. A nawet tam, gdzie luki takie są dostrzegane, konsekwencje z nich wypływające są nie zawsze odpowiednio doceniane. Istnieje również w kraju słaba świadomość wewnętrznych rozbieżności, swoistego kryzysu politycznego w ramach NATO, który może doprowadzić do znacznego osłabienia militarnego tego sojuszu. Według ocen ekspertów zachodnich, NATO coraz wyraźniej zaczyna odbiegać od pierwotnych celów „kolektywnej obrony”, a więc założeń Art. 5 Układu, w kierunku wzniosłych wprawdzie, lecz mglistych celów „bezpieczeństwa zbiorowego” w Europie. Właściwe zrozumienie tych zagadnień łączy się tu ściśle ze zrozumieniem coraz bardziej zagmatwanego „czynnika rosyjskiego” w europejskiej polityce USA. Tzw. Akt Założycielski NATO-Rosja z maja ubiegłego roku został uznany, w ocenie MSZ Polski, za „milczącą zgodę Rosji na rozszerzenie NATO na Wschód”. Formalne postanowienia Aktu w niczym nie zagrażają interesom Polski i strategicznym celom naszej polityki bezpieczeństwa. Akt nie stwarza „drugiej kategorii” członków NATO<sup>1</sup>. Oświadcze-

1. „Polska-NATO – Wprowadzenie i wybór dokumentów 1990-1997”, Instytut Studiów Politycznych PAN, Red. Janusz Stefanowicz, W-wa 1997. Przytoczony tu pogląd MSZ znajduje się w rozdz. „Kontekst polityczno-wojskowy”, str. 23. Zbiór ten zawiera m.in. tekst Aktu Założycielskiego NATO-Rosja, oraz „Studium o rozszerzeniu NATO z r. 1995”.



nie to, dalekie od faktycznego stanu rzeczy, potwierdza tylko słaby stan rozeznania związanych z NATO problemów bezpieczeństwa.

### „Czynnik rosyjski”

Decyzja prezydenta Clintona rozszerzenia NATO na Wschód została w Polsce przyjęta jako coś naturalnego, bez zastanawiania się nad okolicznościami w jakich była powzięta, bez spojrzenia na kontekst dotychczasowej polityki amerykańskiej wobec naszego rejonu. Tak jakby nigdy nie było układowej współpracy geopolitycznej między obu supermocarstwami, podziału Europy na dwie strefy wpływów. W podobny sposób przyjęto tegoroczne zatwierdzenie Senatu naszego przyjęcia do NATO, jako odczynienie „grzechów Jały”. Dziś zauważamy, że polityka USA wobec Rosji jest ambiwalentna, niezrozumiała, lecz nie próbujemy zgłębić, co jest tego przyczyną. Dlaczego ta sama Ameryka, która konsekwentnie podtrzymuje raz powziętą decyzję, robi równocześnie wszystko, by praktyczne skutki tej decyzji, a więc ramy autentycznego bezpieczeństwa dla nowych członków NATO, zredukować do minimum? Dlaczego prezydent Clinton, który nigdy nie krył się ze swoimi prorosyjskimi sympatiami, dał się uwikłać w taki oczywisty dylemat?

Zagadkę tę próbował rozwikłać jeden z czołowych politologów amerykańskich, w eseju szczegółowo naświetlającym „anatomie decyzji” rozszerzenia NATO<sup>2</sup>. Przyznaje m.in., że prezydenci Havel i Wałęsa zrobili na Clintonie wielkie wrażenie, lecz nie był to wpływ decydujący. Z wywodów autora odnosi się wrażenie, że decyzja rozszerzenia NATO – najważniejsze pociągnięcie strategiczne USA od końca „zimnej wojny” – była raczej wynikiem przypadkowych posunięć, niż rzetelnej analizy strategicznej. Stąd dylematy Clintona, ambiwalencja polityki amerykańskiej, balansującej między wymogami bezpieczeństwa nowych członków NATO

2. James Goldgeier: „NATO Expansion – The Anatomy of a Decision”, *The Washington Quarterly*, Vol. 21, Nr 1, Winter 1998. Autor, profesor nauk politycznych na George Washington Univ., przygotował ten tekst dla Centrum Badań Strategicznych w Bostonie.

w Europie Środkowo-Wschodniej, a chęcią utrzymywania przyjaznych stosunków z Rosją. Jest to polityka równie nieprzejrzysta, co ryzykowna i niebezpieczna, mogąca doprowadzić do nowych napięć w Europie.

Bez względu na motywy, jakimi kierował się prezydent Clinton, strategiczną doniosłość tej decyzji trudno przecenić. Wszystkie inne racje razem wzięte, frazesy o utrwaleniu demokracji, sprawiedliwości dziejowej, jedności europejskiej itp. nie mogą tu przesłonić z pola widzenia, najważniejszy, strategiczny aspekt tego wydarzenia, jakim jest precedensowa projekcja wpływów Ameryki do rejonu tylko co niedawno opróżnionego przez Moskwę, do strefy gdzie jeszcze do niedawna scenariusz taki był nie do pomyślenia. Pod tym względem trudno nie przyznać racji krytykom rozszerzenia NATO, ostrzegającym przed niebezpieczną ekspansją. „Niebezpieczną” w sensie sposobu, w jakim proces ten przebiega. Uważają oni, że nie tylko sam cel rozszerzenia, lecz również środki i drogi do niego wiodące, powinny być oparte na realizmie politycznym, jakiego na razie nie widać. Dochodzimy do sytuacji na pograniczu absurdu – pisze redaktor wpływowego kwartalnika amerykańskiego *The National Interest* – gdzie oferujemy członkostwo NATO krajom szukającym protekcji przed Rosją, a równocześnie tej samej Rosji proponujemy niemal honorowe członkostwo klubu z prawem weta<sup>3</sup>.

Nie ulega wątpliwości, iż pierwszym krokiem w tym kierunku był Akt Założycielski NATO–Rosja z maja ubiegłego roku. Nie przyznaje on Rosji formalnego prawa weta, tak jak się tego domagała, lecz daje jej szerokie uprawnienia konsultatywne, co może doprowadzić do znacznego osłabienia efektywności obronnej NATO<sup>4</sup>. Niemniej w oczach jego

3. Owen Harries: „The Dangers of Expansive Realism”. *National Interest*; No 5, Winter 1997/98. Autor jest redaktorem naczelnym kwartalnika politycznego *National Interest*.

4. „Founding Act on Mutual Relations, Cooperation and Security between NATO and the Russian Federation” Paris, 27 May 1997. Pełny tekst Aktu Założycielskiego NATO–Rosja w *NATO Review*, Jul-Aug 1997. Z ostrą krytyką Aktu wystąpił b. sekretarz stanu H. Kissinger, dając jej możliwości wpływania na wewnętrzne decyzje NATO. Natomiast do grona obrońców Aktu oraz promotorów myśli „Rosja do NATO”, należy b. Doradca do Spraw Bezpieczeństwa USA Zb. Brzeziński (Zb. Brzeziński: „Wyjść Rosji naprzeciw”, *Polityka* 16/05/1998).



obrońców uchodzi za przejaw dobrej woli Rosji, jej chęci pozytywnej współpracy z NATO, za co Moskwa od razu otrzymała w prezencie ustępstwa, poważnie podważające strategiczne aspekty naszego członkostwa w NATO.

### Luki w bezpieczeństwie

W sferze wojskowo-strategicznej, jako warunek paktu z NATO Moskwa uporczywie nalegała na spełnienie trzech postulatów: niestacjonowania wojsk NATO na obszarze nowych państw członkowskich, nierozmieszczania broni atomowej w tych krajach oraz nierozbudowywania nowej struktury wojskowej w tym rejonie. NATO odniosło się pozytywnie do pierwszych dwu żądań Moskwy, natomiast odrzuciło trzecie, które oznaczałoby kompletny paraliż integracyjno-operacyjny w sytuacji zagrożenia. Trudno do dziś dnia zrozumieć, jak NATO mogło zaakceptować jako przedmiot przetargów kluczowe dla bezpieczeństwa nowych krajów aspekty członkostwa, wiedząc dobrze iż ustępstwo wobec każdego z trzech żądań Moskwy utrudni skuteczną realizację Art. 5 Układu, a więc podważy wiarygodność wypływających z członkostwa NATO gwarancji bezpieczeństwa. Brak też spójności wewnętrznej w sprawie infrastruktury i logistyki. Jej modernizacja jest rzeczywiście istotnym elementem w adaptacji do struktur operacyjnych NATO, co jednak wymaga również wspólnych struktur dowodzenia. Pod tym względem nowe zlecenia NATO, nie przewidujące ulokowania na terenie Polski żadnych kwater dowodzenia, zakrawają na strategiczny nonsens. Tak to widzą nie tylko eksperci, lecz również politycy traktujący rozszerzenie NATO na serio<sup>5</sup>. Wydłużone na Wschód NATO musi mieć wyraźny wymiar strategiczno-militarny, bez żadnych ograniczeń, z pełną integracją struktur

5. Jesse Helms: „The Madrid Summit – New Members, New Missions”, *The Wall Street Journal*, 3/07/1997. Autor, przewodniczący Senackiej Komisji do Spraw Zagranicznych, podkreśla tu nie tylko konieczność pełnej integracji operacyjnej dla nowych kandydatów NATO, lecz również włączenia ich do jądrowego parasola ochronnego sojuszu. Podobne poglądy są podzielane przez ekspertów londyńskiego instytutu wojskowości RUSI (Royal United Services Institute for Defence Studies), którego jestem członkiem.

operacyjnych. Należy również jak najszybciej włączyć nowe kraje członkowskie do antybalistycznego systemu obronnego NATO (BMD Systems) oraz kategorycznie odrzucać wszelkie próby Rosji w kierunku stworzenia pasma bezatomowego w rejonie Europy Środkowej. Tylko w ten sposób można zapewnić nowym członkom NATO ramy autentycznego, a nie iluzorycznego bezpieczeństwa. Czy w podobny sposób widzą i rozumieją te sprawy sternicy naszego bezpieczeństwa w Warszawie? Nie sądzę.

We wspomnianej uprzednio pracy zbiorowej „NATO–Polska” autorzy oceniają kartę NATO–Rosja pozytywnie, jako wynik kompromisu, w sumie jako sukces NATO, ponieważ wytargowało „zgodę” Rosji na rozszerzenie sojuszu na wschód. Rosja żadnej formalnej „zgody” nie wyraziła, gdyż takiej nie żądano. Natomiast wbrew oczekiwaniom architektów, a późniejszych obrońców Aktu Założycielskiego, Rosja nigdy się z rozszerzeniem NATO nie pogodziła, a w najbliższej przyszłości, z wiadomych przyczyn, nie pogodzi. Nie mogą nie rozumieć tej podstawowej prawdy autorzy książki, pisząc o negatywnym wpływie wchodzenia do NATO dla naszych stosunków z Rosją. Dlatego, dla złagodzenia szkód, zalecają dobrowolne przyjęcie uzgodnionych w Karcie NATO–Rosja ograniczeń (czytaj: ustępstw wobec Rosji), uznać je za całkowicie zgodne z polskim interesem narodowym. Dziwne to rozumienie interesu narodowego, w którym zamiast dbać o wzmocnienie, godzimy się z góry na strategiczne osłabienie obronności kraju. Wiedzieliśmy dobrze, że Rosji, takiej jaką jest ona dzisiaj, nie spodoba się nasz pęd do NATO. Skoro jednak postawiliśmy na sojuszu atlantyckim, to pierwszym i nadrzędnym postulatem naszego w nim członkostwa powinno być zapewnienie solidnych ram bezpieczeństwa. Osobnym pytaniem pozostaje, czy dzisiejsze NATO jest nadal w stanie sprostać takim oczekiwaniom.

### Quo vadis NATO?

NATO znajduje się, od prawie siedmiu lat, w procesie przemian, które swoim zasięgiem obejmują potencjalne, głębokie zmiany myślenia strategicznego. U podłoża tych



zmian jest zapoczątkowana na listopadowym szczycie w Rzymie w 1991 nowa Koncepcja Strategiczna NATO, mająca zastąpić przestarzałe założenia z okresu „zimnej wojny”. Koncepcja, która ma być poddana gruntownej rewizji na przyszłorocznym szczycie NATO, lecz która do dziś dnia pozostaje niedostatecznie wyjaśniona, wywołując ostre kontrowersje w ramach sojuszu. O ile pierwotne założenia NATO były wybitnie obronne, terytorialnie ograniczone, to nowa, zapoczątkowana przez Amerykanów koncepcja zakłada znaczne poszerzenia zasięgu strategicznego NATO, poza teatr europejski. Nie wiadomo jednak w jakim wymiarze, oraz za cenę jakich zmian w strukturach kontroli i dowodzenia.

Projekt ten nigdy nie przypadł do gustu europejskim partnerom Ameryki, którzy woleliby pozostać przy tradycyjnej, obronnej koncepcji NATO. Na takim tle toczy się gdzieś od 1995 roku intensywna debata odnośnie przyszłości sojuszu transatlantyckiego, sprowadzająca się do dwu zasadniczych zagadnień: czy i w jaki sposób NATO ma pozostać głównym filarem bezpieczeństwa w nowej, zmieniającej się Europie, oraz czy i w jaki (zmodyfikowany) sposób transatlantycki sojusz z Ameryką ma być kontynuowany<sup>6</sup>. Z początku ograniczona głównie do Europy, krytyka nowych koncepcji natowskich zaczyna coraz częściej wpływać również po drugiej stronie oceanu. Zdaniem niektórych ekspertów amerykańskich, najpilniejszym zadaniem na dzisiaj jest wyjaśnienie nowych misji sojuszu w odniesieniu do kluczowej koncepcji obronnej, oraz do ogólniejszej koncepcji „bezpieczeństwa zbiorowego”, w kierunku której NATO zaczyna coraz wyraźniej zmierzać<sup>7</sup>. Przykładem tego są bliskie kontakty z OBWE, frazesy o „nowej architekturze bezpieczeństwa europejskiego”, oraz promowanie Partnerstwa dla Pokoju

6. Sprawy te są omówione w niedawnej pracy brytyjskiego eksperta do zagadnień NATO Paula Cornish'a, pt. „Partnerstwo w kryzysie”. Paul Cornish: „Partnership in Crisis – The USA, Europe, and the Fall and Rise of NATO”, wyd. Royal Institute of International Affairs (RIIA) w Londynie, Chatham House Paper, 1997.

7. David S. Yost: „The New NATO and Collective Security” IIS/Survival, Vol. 40, No 2, Summer 1998. Autor, profesor wojskowości na Naval Postgraduate School w Monterey (USA), omówił tę problematykę dla Międzynarodowego Instytutu Zagadnień Strategicznych w Londynie.

(PdP), łącznie z pomysłem „NATO do Rosji”, pomysłem odrzucanym przez Niemcy i ich partnerów w UE, lecz nadal kultywowanym w kręgach politycznych Ameryki. Idea ta ma swoje prapoczątki w pierwszym podstawowym dokumencie strategicznym o rozszerzeniu NATO na Wschód z r. 1995, gdzie wśród wielu licznych powodów dla rozszerzenia, ani jeden w wyraźny, niedwuznaczny sposób, nie podkreśla zasady „kolektywnej obrony”. Natomiast niemal wszystkie, w taki czy inny sposób podszywają się pod ogólną koncepcję „bezpieczeństwa zbiorowego”. Przykładem późniejszych, nieudolnych realizacji tej koncepcji w praktyce są różne misje pokojowe NATO, głównie w rejonie Bałkanów. Rola policjanta, do której Waszyngton próbuje wciągnąć Rosję, nie jest właściwą rolą dla NATO, a na dłuższą metę może doprowadzić do kompletnego rozmiękczenia, a nawet rozkładu sojuszu. Nasuwa się tu pytanie, czy w takim kierunku dryfujące, już dziś mocno osłabione NATO, będzie w stanie stawiać czoła nowemu, realnemu zagrożeniu, jeżeli takie się znów pojawi. Dziś Rosja jest słaba, ale jaka będzie jutro?

### Kryzys racji bytu?

Ta tymczasowa słabość Rosji, a więc brak adwersarza na miarę byłego ZSSR jest w ocenach wielu ekspertów główną przyczyną dzisiejszych rozterek wewnętrznych, szukania nowej racji bytu dla NATO. W takim kontekście zrodził się slogan „nowej architektury bezpieczeństwa europejskiego”, często dziś używany przez Sekretarza Generalnego NATO Solanę. Brytyjski ekspert Paul Cornish, autor wspomnianej już pracy o problemach sojuszu atlantyckiego, dowodzi iż załączki dzisiejszego kryzysu „racji bytu” można znaleźć już w założycielskim dokumencie nowej Koncepcji Strategicznej NATO 1991, gdzie słowo „zagrożenie” zostało zastąpione ogólniejszym zwrotem „wyzwania i ryzyka bezpieczeństwa”. Było to jeszcze w okresie formalnego istnienia ZSSR, lecz w szczytowym okresie „miodowym” z Gorbaczowem, gdy tradycyjne zagrożenie sowieckie zdawało się zanikać. Trzeba było więc znaleźć nowe, odpowiednio podłożone i umotywowane. W sukurs NATO przyszła wypuszczona wówczas,



głośna praca politologa amerykańskiego Huntingtona pt. „Starcie cywilizacji”, która pomogła zastąpić zagrożenie sowieckie zagrożeniem ze strony islamu. Pomimo, że politycznie szkodliwe, antyislamskie oświadczenia NATO były później oficjalnie zdezawuowane, trwała szkoda pozostała, m.in. właśnie na polu stopniowego zacierania się pierwotnych założeń strategicznych sojuszu. Trudno dziś precyzyjnie ustalić, pisze Cornish, do jakiego właściwie przymierza trzy kraje kandydackie NATO, szukające protekcji przed Rosją, będą wchodziły.

Jest jednak szansa, że do przyszłego roku NATO ujrzy adwersarza tam, gdzie on rzeczywiście jest. Amunicji do takiego przejrzenia dostarczy, a właściwie już dostarczyła, sama Rosja. W styczniu br. Duma Rosji przyjęła rezolucję, określającą rozszerzenie NATO jako największe zagrożenie Rosji od końca II-ej wojny światowej, oraz zablokowała ratyfikację umowy START-2 z roku 1993. Akcja Dumy wywołała zrozumiały niepokój na Zachodzie, lecz jak dotąd niewiele napisano o wydarzeniu poprzedzającym rezolucję Dumy z grudnia 1997, gdy Najwyższa Rada Bezpieczeństwa Rosji przyjęła nowe wytyczne strategii bezpieczeństwa, czyli nową doktrynę wojskową. Wbrew częstym zapewnieniom i oświadczeniom polityków rosyjskich, „nowa” doktryna obronna Moskwy, jakby wyjęta z teczek sowieckich, w dalszym ciągu określa USA i jego sojuszników mianem „nieprzyjaciela” oraz podtrzymuje „prawo pierwszego użycia broni atomowej” przeciwko tym krajom. Co więcej, Rosja zastrzega sobie użycie tego „prawa” nawet przeciwko krajom nie posiadającym takiej broni, lecz będącym w sojuszniczych powiązaniach z USA i NATO. W praktyce stawia to w pozycji zagrożenia atomowego ze strony Rosji również przyszłe kraje członkowskie NATO<sup>8</sup>. Nie przeszkadza to jednak Rosji w dalszym zaangażowaniu w PdP oraz promowaniu roli OBWE,

8. Nowa doktryna wojskowa, Rosja została zaprezentowana i szczegółowo omówiona przez dyrektora Instytutu Zagadnień Rosji w Tokio, na łamach tygodnika politycznego *Sekai Shuho*. Sendooda Junko: „Konceptce bezpieczeństwa narodowego Rosji w kierunku wzmocnienia potencjału atomowego”, *Sekai Shuho*, 3/03/1998, Tokio. Autor ostrzega przed niebezpieczną grą Moskwy, w świetle jej starań dla zbliżenia z Japonią.

którym najchętniej zastąpiłaby NATO. Na zewnątrz polityka Rosji nosi znamiona konstruktywnej współpracy z Zachodem w sprawach bezpieczeństwa, lecz jej szczerłość zaczyna być coraz bardziej wątpliwa. Nie mogą tego nie widzieć amerykańscy stratedzy NATO, chociaż na razie robią dobrą minę do złej gry. Pytaniem pozostaje, jak długo?

Sprawa ukierunkowania strategicznego nie jest dziś jedynym źródłem wewnętrznych niesnasek NATO. Kolejnym powodem kontrowersji jest zatwierdzona na brukselskim szczycie NATO w styczniu 1994 „europejska” koncepcja operacyjna NATO, tzw. CJTF (Combined Joint Task Force), lansowana przez Niemcy i Francję, lecz coraz ostrzej krytykowana przez USA. W praktyce chodzi tu o rozwój niezależnego „ramienia zbrojnego” Unii Europejskiej, pod płaszczykiem Unii Zachodnio-Europejskiej (ang. WEU), a więc trend w kierunku znacznej redukcji profilu militarnego USA w Europie. Są to sprawy, na które dziś nie mamy wpływu, lecz w których powinniśmy być zorientowani, bo przyjdzie się nam do nich ustosunkować.

Inaczej wyglądają sprawy strategicznego rozmiękania NATO, rzutujące ujemnie na jakość proponowanego nam bezpieczeństwa. Zagadnienia szeroko zaprojonowanego bezpieczeństwa zbiorowego, z uwzględnieniem aspiracji Rosji, są niewątpliwie ważne, lecz właściwym dla nich forum delibracji jest OBWE, a nie NATO. W świetle nadal istniejącego, realnego zagrożenia ze wschodu, sprawą nadrzędnej wagi jest podjęcie zdecydowanej akcji przeciwko strategicznym ograniczeniom naszego członkostwa w NATO. Tylko wtedy, mocno zakotwiczeni w strukturach operacyjnych sojuszu, możemy pomyśleć o szerszej, strategicznej roli dla Polski w sprawach bezpieczeństwa europejskiego.

Janusz MONDRY



## Książki

### „Zły” lat dziewięćdziesiątych

Wczesnym latem 1956 roku jechaliśmy na wakacje. Oficjalnie nazywało się to wyjazdem na wczasy rodzinne, ale dla nas w dalszym ciągu były to po prostu wakacje. Tuż przed wyjazdem jedna z redakcyjnych koleżanek, jak zawsze świetnie we wszystkim zorientowana Myszka Krahelska, pożyczyła mi najbardziej wtedy w Warszawie poszukiwaną książkę, „Złego” Tyrmanda, zaklinając mnie na wszystkie świętości żebym zwrócił ją w ciągu trzech dni, gdyż w kolejce czekają następni amatorzy lektury. Przyrzekłem uroczystie zwrot przesyłką poleconą i usadowiwszy naszą małą rodzinę w przedziale, nie czekając aż pociąg ruszy sprzed prowizorycznego baraku udającego Dworzec Główny, otworzyłem powieść rozpoczynając się od pamiętnych słów: „Jestem ładna – pomyślała Marta Majewska ujrzawszy się w lustrze”. Późnym rankiem, gdy pociąg docierał do Słupska, doczytałem ostatnie zdanie: „– Jesteśmy w Warszawie... – rzekł cicho lecz wyraźnie Halski” i zamknąłem powieść nie wiedząc jak i kiedy minęła ta noc, podczas której moja żona usypiała malców, zdobywała gorącą wodę wprost z lokomotywy, podawała mi coś do jedzenia i sama starała się zdrzemnąć, a ja pochłaniałem 679 stronich jednym tchem, nieprzytomny ze zdumienia i zachwytu, że można było tak pisać w Polsce lat pięćdziesiątych.

Od tego czasu minęło lat przeszło czterdzieści, zjeżdżałem sporo krajów i przeczytałem parę tysięcy książek, podczas gdy w Polsce zdołano nie tylko odrzucić dogmat socrealizmu, ale nawet pozbyć się „realnego socjalizmu” całkowicie, co z kolei odbiło się na charakterze pisanej i wydawanej tam literatury,

coraz częściej powielającej amerykańskie wzory, różne „Harlequin Romances” i inne łzawe imitacje Danielle Steel, z bardzo miernymi zresztą rezultatami estetycznymi. A mimo to nie przestaję twierdzić, że powieść Tyrmanda była wyjątkowym osiągnięciem i literackim, i socjologicznym, i wydawniczym, a znaczenia jej dotychczas w pełni nie doceniono mimo szeregu publikacji o jej autorze. Natychmiastowa reakcja krytyków i czytelników była niezwykle żywa: bibliografia notuje 40 pozycji opublikowanych w jednym tylko roku 1956, a nie brak wśród nich recenzji zamieszczonej w warszawskiej *Kulturze* (Nr 5, s. 151-153), jakkolwiek wciąż ton im nadawały tytuły takie jak „Trędownata” naszych czasów” (Jarosław Iwaszkiewicz). W dorocznych podsumowaniach wydawnictw, publikowanych zresztą z dużym opóźnieniem *Rocznikach Literackich*, recenzent za rok 1955 powołał „Złego” przypisał „długoletniemu wygłodzeniu czytelników” na tego rodzaju literaturę, podczas gdy wnikliwy zwykle krytyk, Andrzej Kijowski, omawiając nowości roku 1956, książkę tę wymienił jedynie tytułem, wśród powieści, „których celem jest bawienie przygodą, sensacją, egzotyką”. Rozpoczęte w roku 1957 ataki na Tyrmanda spowodowały nie tylko natychmiastowe niemal milczenie prasy na temat pisarza i jego w dalszym ciągu poszukiwanej powieści, ale doprowadziły do opublikowania przez niejakiego C. Kwietnia listu otwartego do Prezesa Urzędu Wydawnictw, Przemysłu Graficznego i Księgarstwa, z protestem przeciw nowemu, trzeciemu wydaniu „Złego”! (*Nowa Kultura*, 1957, nr 11). Ataki te musiały być nie tylko inspirowane przez niechętnego pisarzowi władze, ale doprowadziły także do wyraźnego „zapisu” cenzury: wspomniany już *Rocznik Literacki* w następnym tomie zbiorczym za lata 1958-60 podaje nazwisko Tyrmanda jedenaście razy: raz w kontekście omówienia nowości literatury węgierskiej (!), dziesięć razy zaś cytując tylko tytuły tłumaczeń „Złego” na języki obce. „Tymczasem postawiono mnie na starcie do decydującego biegu o wielką nagrodę – pisał Tyrmand w „Dzienniku 1954” – i starter zamiast ślepakiem w górę strzelił ostrym nabojem prosto w moją nogę. Nie dano mi żadnych szans. Nie pozwolono mi nawet pobić ze stawką mego pokolenia, bym się przekonał, że się nie liczę, że żaden ze mnie pisarz” (s. 149). Nic też



dziwnego, że pisarz wkrótce potem zdecydował się z Polski wyjechać. Publikując swoją najgłośniejszą powieść Tyrmand był w zasadzie debiutantem. Miał za sobą wydany w roku 1947 zbiór okupacyjnych opowiadań „Hotel Ansgar”, co dla 35-letniego pisarza i dziennikarza nie było wielkim osiągnięciem, a mimo to zdołał napisać książkę zdumiewająco udaną. Miłosne perypetie Marty Majewskiej, skromnej warszawskiej sekretarki, i doktora Halskiego są tylko pretekstem do ukazania Warszawy połowy lat pięćdziesiątych w sposób dotychczas nie praktykowany – Warszawy pełnej konfliktów społecznych i kulturowych, Warszawy chuliganów i eleganckich restauracji, miasta jak najdalszego od wygładzonego ideału socrealistycznej fikcji typu „Obywateli” Kazimierza Brandysa, pełnego konfliktów i problemów, o jakich socjologowie tego okresu wspomnieć nawet nie śmieli. Tyrmand ośmielił się – i zdołał – podważyć obowiązujący model, a uczynił to w sposób tak umiejętny, że „Zły” do dzisiaj pozostaje encyklopedią Warszawy tego okresu.

Encyklopedią – dodajmy od razu – poddaną autocenzurze ze względów zupełnie praktycznych. Podczas gdy w „Dzienniku 1954” „o komunizmie, w tym lub innym uwikłaniu, mówi się na każdej niemal stronicy”, jak zauważył w omówieniu tej książki Roman Zimand („Literatura źle obecna”, 1984, s. 200), rozpoczęta w roku następnym powieść jest tak całkowicie apolityczna, jakby akcja jej toczyła się nie w stolicy PRL-u lat pięćdziesiątych a w jakimś idealnym, wypranym z problemów politycznych kraju. Podobnie zresztą postąpił Tyrmand w swej następnej powieści, „Życie towarzyskie i uczuciowe” (1967), złożonej w Państwowym Instytucie Wydawniczym, a dopiero po negatywnej decyzji wydawniczej opublikowanej w Paryżu. Książka ta, ostrzej niż „Zły” krytykująca stosunki w sferach dziennikarskich i wśród tzw. inteligencji twórczej, całkowicie pomija nie tylko rolę, ale nawet istnienie PZPR i jej przybudówek, w obu zaś powieściach Milicja Obywatelska jest tylko policją porządkową, niczym więcej. Metoda to nienowa, mająca w literaturze polskiej ustalone tradycje od lat co najmniej dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to najbardziej realistyczna z warszawskich powieści, „Lalka” Prusa, nie notuje

obrazów tak oczywistych jak np. dwujęzyczne szyldry sklepowe i całkowicie ignoruje obecność Rosjan, tak jakby poza przejazdem bawiącym kupcem Suzinem w ogóle ich w Warszawie nie było. I tylko bardzo staranna lektura tekstu pozwala wychwycić delikatne na ten temat aluzje, takie jak np. niewątpliwy rusycyzm sędziego, który na rozprawie wesółych studentów pyta: „A gdzie on zapisany w księgi?”, podczas gdy kaleczenie języka polskiego przez Żydów spotyka się często i otwarcie. Podobnie postępuje Tyrmand, który z najmniejszymi szczegółami opisuje np. wewnątrz popularnego dansingu „Kameralna”, ale nie zauważa... Pałacu Kultury, gdyż musiałby coś (na pewno niezbyt pochlebnego) na ten temat powiedzieć. Pisze więc tylko o Chmielnej: „Ulica, przy której znajduje się kino ‘Atlantic’, leży w samym sercu Warszawy, od zachodu wpada ona w największy plac w Europie, jak rzeka do ogromnego jeziora” (s. 211). Uplynie kilkanaście lat zanim Tadeusz Konwicki zaludni stojący już na tym placu Pałac Kultury niesamowitą galerią zjaw i duchów w powieści „Wniebowstąpienie” (1967).

Od tamtych czasów minęło, jak wspomnieliśmy, lat przeszło czterdzieści, i oto na rynku wydawniczym ukazuje się powieść Joanny Chmielewskiej „Niebiańska krowa” (1997), pod wieloma względami przypominająca książkę Tyrmanda, z tym przecież, że od poprzedniej różni ją tyle, ile lata dziewięćdziesiąte różnią się od pięćdziesiątych. I to nie tylko historycznie czy socjologicznie, ale przede wszystkim – co interesuje nas najbardziej – literacko.

Bohaterką „Niebiańskiej krowy” jest obecnie nie skromna sekretarka, ale kobieta samodzielna, wykształcona i niezależna. Elunia Burska zdążyła skończyć studia, ustalić samodzielną karierę jako wzięta graficzka, rozwieść się z mężem i przespać z dwoma (co najmniej) kochankami, a w chwilach wolnych od zajęć zawodowych i łóżkowych wpaść w szpony hazardu, z pomyślnymi zresztą rezultatami finansowymi. Połowa akcji powieści Joanny Chmielewskiej ma miejsce w kasynie warszawskiego hotelu „Mariott”, gdzie nasza bohaterka nie tylko wygrywa dostatecznie wiele, żeby pozwolić sobie na kupno kompletu mebli do samodzielnego mieszkania na Służewcu, ale także natrafia na ślad wielkiej imprezy przestępczej, polegającej m.in. na wykorzystaniu



kart kredytowych i dolarowych kont upatrzonych ofiar. Niemal wszyscy „bohaterowie” powieści jeżdżą najnowszymi modelami aut – wiśniowymi jaguarami, srebrzystymi mercedesami i toyotami różnych maści, wykorzystując tę nową mobilność najczęściej w celach przestępczych lub seksualnych. Nie brak też znanego z powieści Tyrmanda komisarza policji, człowieka mądrzejszego od przestępców m.in. dzięki nieustannemu posługiwaniu się telefonem komórkowym... W rezultacie romans uroczej Eluni z kolejnym partnerem schodzi istotnie na dalszy plan wobec fascynującej panoramy Warszawy lat dziewięćdziesiątych, wcale nie mniej barwnej od czasów Filipa Merynosa i jego chuligańskiej mafii.

Joanna Chmielewska jest zawodnikiem zaprawionym w swoim fachu. Urodzona w 1932 roku zajęła się literaturą dopiero w latach sześćdziesiątych i od tego czasu wydała imponującą ilość utworów: „Niebiańska krowa” jest jej 35-tą książką, a zamieszczone poza tekstem powieści ogłoszenie zachęca czytelników do kupowania jej dzieł w programie „Chmielewska prosto do domu”, obiecując realizację zamówień w ciągu 48 godzin! Rzeczywistość, jak widać, niedaleko odbiega od opisanych w powieści rozkoszy życia we współczesnej Warszawie.

Życie to, dodajmy, podobnie jak pozbawione zostało Rosjan w „Lalce”, a komunistów w „Złym”, obywa się bez polityki z tej prostej przyczyny, że autorkę przepychanki partyjne najwidoczniej nie interesują, a komunistów nie ma po prostu dlatego, że nie ma ich w rzeczywistości warszawskiej ulicy. Zaludniają ją natomiast ludzie z dużymi pieniędzmi, businessmeni, handlowcy, przedsiębiorcy i spekulanci, którzy – obok „żółtych i skośnych” amatorów hazardu, poza kasynem w „Mariocie” nie gardzą podobnymi przybytkami m.in. w Pałacu Kultury! Bywają też na wyścigach konnych, gdzie podobnie jak w kasynach wygrywa się większe pieniądze, to bowiem jest treścią powieści, a zapewne i treścią życia wielu ludzi w Polsce ostatniego dziesięciolecia. Idealistyczni reporterzy Tyrmanda, gotowi poświęcać życie w walce z gangami chuliganów, ustąpili miejsca ludziom trzeźwym, a biedna Elunia walczy nie tyle o ideały, ile o ocalenie własnego tylko życia w dramatycznej sytuacji, w jakiej się przypadkowo znalazła. Okupacyjne hasło „śmierć frajerom” dojrzało do pełnej realizacji.

Słów jeszcze parę poświęcić należy językowi „Niebiańskiej krowy”, pewnemu rodzajowi warszawskiego slangu oddanego z zadziwiającym realizmem nie tylko w dialogach i monologach wewnętrznych „bohaterów”, ale nawet w warstwie autorskiej narracji. Jest to czynnik tak uderzający, że zasługiwałby na osobne studium jako przykład wyparcia tradycyjnego „wiecha” sposobem mówienia o całe niebo bardziej wykształconym, a przecież nie mniej charakterystycznym. To już nie „żydłaczanie” Cynaderów i mieszkańców Nalewek, to nie ordynarne wulgaryzmy Wilgi czy innych rycerzy gangu Merynosa, to słownictwo i frazeologia ludzi wykształconych, a przecież odbiegające od normy językowej świadomie i – powiedzmy – twórczo. „Nagle brzęki dziabnęły Elunię akustycznie”, „konie spełniły swoje obowiązki, wystartowały, obieły pół toru i dotarły do mety, zwanej tu celownikiem”, „Pawełek jaki był, taki był, ale naczyniami nie rzucał i obelg w stosunku do niej używał wytwornych”, „dokonała raz jeszcze przeglądu obecnego w kasynie społeczeństwa” – to tylko parę wybranych przypadkowo przykładów inwencji językowej Joanny Chmielewskiej, która kojarząc obiegowe zwroty w niezwykłych kombinacjach buduje zestawienia pełne humoru, zaskakująco świeże i istotnie twórcze. Co więcej, unika wulgaryzmów, tak dotkliwie obecnych w wielu utworach współczesnej prozy, a już na pewno nie używa wyrażen obscenicznych. W sumie warstwa językowa książki wydaje się bardziej może interesująca od bądź co bądź standardowej historii kryminalnej, o tyle tylko ciekawej, że dobitnie pokazującej dystans, jaki powieść polska przebyła w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Ze stylowej okładki pierwszego wydania „Złego” spoglądały na nas białe oczy tajemniczego osobnika, dzisiaj laminowana, kolorowa okładka powieści Chmielewskiej ukazuje zwykłego bandziora w czarnej kominiarce, jakby naocznie podkreślając ten ogromny dystans. Na pewno cenny w literaturze, choć można mieć wiele wątpliwości, czy równie cenny w życiu.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Joanna Chmielewska, „Krowa niebiańska”, Warszawa, 1997, Wydawnictwo „Vers”, s. 314.



## Wiersze mniejszości niemieckiej

W latach osiemdziesiątych zaczęły się, zrazu jakby nieśmiało, później w większej ilości, ukazywać publikacje literackie dokumentujące istnienie w PRL mniejszości narodowych, podkreślające wagę ich twórczości artystycznej, w tym szczególnie literackiej – do nich np. należała antologia poezji łemkowskiej. Pod koniec dekady ukazała się też pierwsza antologia wierszy polskiej mniejszości w Związku Sowieckim, głównie zresztą na Litwie. W tej chwili, oczywiście, problemów z takimi publikacjami nie ma – dość wspomnieć czy to o czasopismach żydowskich, czy publikacjach ukraińskich i białoruskich.

Z publikacjami mniejszości niemieckiej jest nieco inaczej. Przez dziesięciolecia samo istnienie tej grupy było kwestionowane, zaś „repolonizacja” ziem zachodnich i północnych, przyłączonych po wojnie do Polski, praktycznie uniemożliwiała jej zaspakajanie potrzeb kulturalnych. Po roku 1989 sytuacja uległa zmianie, niemniej wciąż jeszcze jakby nie do końca wiadomo, jak się zachowywać wobec żyjących w Polsce Niemców. Przykładem powracające spory o pomniki czy o tablice z niemieckimi nazwami miejscowości. W stosunku do mniejszości niemieckiej najdotobitniej ujawniają się wszystkie lęki i obawy wobec obcych, tak żywe w polskim społeczeństwie. Powracające przekonanie o tym, że Niemcy „wykupią Polskę” jest bodaj ilustracją najbardziej wyrazistą.

Nie przesądzając o tym, czy i na ile owe lęki są uzasadnione, warto podkreślić, że najgorszą z możliwych postaw jest ignorancja dotycząca mniejszości niemieckiej – nie tylko zresztą tej, także pozostałych (najwięcej, nawiasem mówiąc, zrobiono dla upowszechnienia wiedzy o inicjatywach środowisk żydowskich). Prasa niemal nie publikuje informacji o życiu polskich Niemców, o ich aktywności organizacyjnej, o problemach, które muszą rozwiązywać – jeśli już te kwestie się pojawiają, to na ogół wówczas, gdy można je wykorzystać jako przykład jakiegoś „zagrożenia polskich interesów”, szczególnie na Śląsku, gdzie kwestie tożsamości narodowej i kulturowej są szczególnie skomplikowane.

Coś się zmienia, ale niezwykle powoli. Wystarczy przy-

wołać przykłady odkłamywania dolno- i górnośląskiej historii czy działalność olsztyńskiej wielokulturowej grupy „Borussia”. Na szczególną uwagę zasługuje zapewne pisana przez Normana Daviesa historia Wrocławia – bezstronność brytyjskiego dziejopisa może stać się dobrą lekcją zarówno dla Polaków, jak i dla Niemców. To tylko drobne przykłady, ale wskazujące właściwy kierunek działania. Przy czym raz jeszcze należy zwrócić uwagę na niezbyt dla Polski korzystną sytuację wynikającą z faktu, iż olbrzymia większość inicjatyw stanowiących podstawę polsko-niemieckiego dialogu wychodzi od strony niemieckiej – dosyć zwrócić uwagę na fakt wyróżniania twórców polskich. To, rzecz jasna, zagadnienia jedynie tu sygnalizowane, wymagające rozwinięcia w osobnym artykule.

W tej chwili chciałbym zwrócić uwagę na jedną tylko publikację. Jest nią tom wierszy zatytułowany „Gedichtet in der Heimat – Wiersze stron rodzinnych”. Podtytuł: „Wiersze poetyckie mniejszości niemieckiej w Polsce” (termin „wiersze poetyckie” wydaje się dość interesujący). Motto: „Patrząc w przyszłość nie zapominamy o przeszłości”. Wydawca: Stowarzyszenie Autorów i Twórców Mniejszości Niemieckiej w Polsce. Sponsor: Konsulat Generalny Republiki Federalnej Niemiec we Wrocławiu. Miejsce wydania: Bytom-Beuthen OS. Książka zawiera utwory jedenaściorga autorów urodzonych w latach 1920-1980, z czego czworo pisze w języku polskim. Autorem antologii jest urodzony w roku 1943 Erhard Bastek, przedstawiciel niemieckiej mniejszości w sejmie. Utwory autorów piszących po polsku prezentowane są w dwóch językach (przy czym tłumaczenia niemieckie są często dość swobodnymi wariacjami opartymi na tekstach oryginalnych). Dwujęzyczny jest też wstęp do tomu. W wersji niemieckiej czytamy: „Oddajemy więc do rąk Czytelników tom skromny: tom wierszy pozostających w ojczyźnie Niemców; nie jesteśmy profesjonalistami – lecz czyż musimy być nimi, by w poetyckiej formie wyrazić nasze wrażenia i uczucia, myśli i poglądy?”. Polski odpowiednik tego fragmentu brzmi nieco inaczej – autor pisząc o tym, iż po 50 latach Niemcy śląscy „mogą wreszcie publicznie przyznawać się do swej tożsamości”, kontynuuje: „jednym z wielu jej przejawów jest niniejszy tom poezji – chyba pierwszy od zakończenia wojny – (...). Nie sięga on wyżyn artystyczno-estetycznych poezji Goethego czy Mickiewicza, ale jest świadectwem kulturowo-twórczego zachowania i świadomości narodowej niemieckiej



tej części Górnoślązaków, która jest tu mniejszością”.

Zwraca uwagę regionalność tego stanowiska: nie ma tu mowy o „mniejszości niemieckiej w Polsce” – a zatem o przedstawicielach innych regionów niż Górny Śląsk: Pomorze, Warmia i Mazury, Dolny Śląsk, by tylko przy tych skupiskach mniejszości pozostać. Właściwym więc podtytułem książki byłaby formuła zapowiadająca „wiersze mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku”. Nie jest to wcale rzecz bez znaczenia, szczególnie gdy rozpatrywać zagadnienia w kontekście kulturowych tradycji poszczególnych wschodnich regionów w kulturze niemieckiej – Śląsk odgrywał tu nieco inną rolę niż Prusy Wschodnie czy Pomorze. Warto może wiedzę na ten temat wprowadzić do podręczników historii Polski choćby po to, by kwestie związków polskich Niemców (a może jednak „śląskich Niemców”, jak chce Bastek) z kulturą ogólnoniemiecką uczynić zrozumiałymi także dla Polaków, wśród których tradycje te są dziś kontynuowane.

Oczywiście – wśród prezentowanych tu autorów brak poety na miarę Goethego czy, by do śląskich twórców nawiązać, Eichendorffa, ale też i nie ma to większego znaczenia. Książeczka ta ważna jest przede wszystkim jako sygnał zarówno dla Polaków, jak i dla Niemców. Sygnał ten powiadamia przynajmniej o dwóch sprawach. Pierwszą jest istnienie stowarzyszenia autorów niemieckiej mniejszości w Polsce i dokumentacja ich twórczych poczynań. Drugą – fakt wspierania tej działalności przez RFN. Oba te fakty o niczym, rzecz jasna, nie przesądzają: istotne jest to, jak się wiedzę o nich spożytkuje.

To, iż w większości mamy tu do czynienia z wierszami sentymentalnymi i literacko słabymi jest sprawą drugo- lub nawet trzeciorzędną: podobne utwory znajdujemy wszak i wśród polskich autorów tworzących na Litwie czy Białorusi. Te wiersze są, jak to się zwykło w krytyce określać, „na poziomie drukowalności” – wstydu autorom ani wydawcy raczej nie przynoszą, a nie brak i świadectw interesującej wrażliwości, jak w dystychu Grażyny Pomierskiej-Kochanek (poetycko chyba najbardziej utalentowanej autorki zbioru) zatytułowanym „Oczyszczenie”:

Zacznij od nowa

– umyj lustro

– niestety, w niemieckim przekładzie gubi się zwartość tego aforyzmu, nadto należy się zastanowić czy oddanie „oczyszczenia” jako „Reinigung” (to po polsku raczej „oczyszczanie”) jest najlepszym rozwiązaniem, może bardziej by tu pasowało „Wiederaufnahme”...

Jedno nie ulega wątpliwości – nie należy ignorować i pomijać milczeniem coraz większej ilości dowodów nie tylko politycznej, ale także kulturalnej aktywności mniejszości niemieckiej w Polsce. Warto też zastanowić się nad tym, jak ową aktywność dla pospólnego dobra spożytkować, w jaki sposób włączyć ją w bieg polskiego życia kulturalnego. Skandalem byłoby pozostawienie polskich Niemców sobie samym.

Leszek SZARUGA

Gedichtet in der Heimat – Wiersze stron rodzinnych. Wiersze poetyckie mniejszości niemieckiej w Polsce. Wybrał i opracował Erhard Bastek, Stow. Autorów i Twórców Mniejszości Niemieckiej w Polsce, Bytom-Beuthen OS 1998 (wyd. III), s. 124.

## Nadane nowości wydawnicze

**Wielki Tydzień w Trękusie.** Wystawa prac studentów Koła Naukowego WSP w Olsztynie i studentów ASP w Warszawie 11-25 maja 1998. Katalog. Str. 53. Galeria – in spe.

**Wiek XX w zbiorach Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie.** Str. 32. Warszawa 1998.

**ODROWAŻ-PIENIAŻEK (Janusz).** *Mickiewicziana zbierane po świecie.* str. 200. ISKRY, Warszawa 1998.

**Katalog wystawy i częściowy spis prac Zofii Dembowskiej Romer.** Państwowe Muzeum Sztuki M.K.

Ciurlionisa w Kownie. Muzeum Narodowe w Warszawie. Str. 232.

**PACHOLSKI (Arkadiusz).** *Pochwała stworzenia.* Eseje i gawędy. Str. 148. słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 1998.

*Po tamtej stronie deszczu.* Poezja ukraińska. Tłum. oprac. T. Karbowicz. Str. 204. Wyd. UMCS, Lublin 1998.

**CLAUDEL (Paul).** *Wybór dramatów.* Oprac. H. Sawecka. Str. 355. Wyd. UMCS, Lublin 1998.

**CHACHAJ (Marian).** *Związki kulturalne Sieny i Polski do końca XVIII wieku.* Staropolscy studenci i



- podróznicy w Sienie. Sienieńczyk i ich dzieła w Polsce. Str. 264. Wyd. UMCS, Lublin 1998.
- KROCHMAL (Jacek). *Krzyż i memora*. Żydzi i chrześcijanie w Przemysłu w latach 1559-1772. Str. 228. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemysłu, Przemysł 1996.
- Ze zbiorów Henryka Grohmana*. Grafika i rzemiosło artystyczne. Katalog wystawy 24.01.98 - 15.03.98. Str. 192. Muzeum Sztuki, Łódź.
- WIERZBIENIEC (Wacław). *Spoleczność żydowska Przemysłu w latach 1918-1939*. Str. 316. Wyd. Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Rzeszów 1996.
- Edward Łazikowski*. Obiekty z lat 1979-1997. Rysunki, rzeźby, obrazy, fotografie. Katalog wystaw w Łodzi i Orońsku. Str. 95. Muzeum Sztuki, Łódź 1998.
- KOŁBUK (Witold). *Kościół wschodnie w Rzeczypospolitej około 1772 roku*. Struktury administracyjne. Str. 451. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1998.
- Christianitas et cultura Europae*. Księga Jubileuszowa profesora Jerzego Kłoczowskiego. Część 1. Red. H. Gapski. Str. 826. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1998.
- Istoriae peritus*. Księga Jubileuszowa profesora Jerzego Kłoczowskiego. Część 2. Red. H. Gapski. Str. 301. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1998.
- Ścieżkami prawosławia*. Białostoczczyna. Red. A. Radziukiewicz. Str. 179. Orthdruk, Białystok 1998.
- The Proud Inheritance*. Ontario's Kaszuby. Str. 149. The Polish Heritage Institute-Kaszuby, Ottawa 1991.
- OSTROWSKI (Jan K.). *Mistrzowie malarstwa polskiego*. Str. 240. Wyd. Kluszczyński, Kraków 1996.
- CZERNIAWSKI (Adam). *Krótkopis* 1986-1995. Str. 166. Wydawnictwo Gnome, Katowice 1998.
- NICHOLL (Donald). *Świętość*. Str. 200. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1998.
- MILISZKIEWICZ (Janusz). *Gniazda rodzinne*. Str. 150. Wyd. VEDA, Warszawa 1998.
- CHRZCZONOWICZ (Piotr). *Zawierzenie. Confiance*. Str. 86. Wyd. Ziemia Kłodzka, Nowa Ruda 1998.
- ZALESKA (Maria Gratia). *A l'ombre de tes ailes. W cieniu twoich skrzydeł*. Str. 115. Wyd. DiG, Warszawa 1996.
- Rocznica powstania w getcie warszawskim 1943-1983. Anniversaire de l'insurrection du ghetto de Varsovie 1943-1983*. Wybór wierszy M. Zaleska. Str. 31. Wyd. DiG, Warszawa 1996.
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.) *Ariadne*. Str. 278. Norbertinum. Lublin 1998.
- Historiografia krajów Europy Środkowo-Wschodniej*. Polska, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, była Jugosławia, Bułgaria. Red. J. Kłoczowski, P. Kras. Str. 212. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1997.
- KATZ (Janina). *Den glade jørdinde og andre historier*. Str. 149. Vin-drose, Kopenhagen 1998.
- Władysław Szomański*. Exhibition of work. Katalog wystawy w Polskim Instytucie Kulturalnym w Londynie, 1998.
- Biebrza*. Fotografie: Wiktor Wołkow. Autorzy tekstów: E. Redliński, A. Strumiłło, J. Raczyński. Str. Wyd. Ekonomia i Środowisko. Białystok 1998.
- KRASUCKI (Stanisław). *Polesie*. Str. 223. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1998.
- PILECKI (Krzysztof). *Był sens walki i sens śmierci*. 50 rocznica wy-konania wyroku śmierci na

- Witoldzie Pileckim. Str. 136. TMW i ZW, Bydgoszcz 1998.
- HOPPEN-ZAWADZKA. *Czas grozy*. TMW i ZW, Bydgoszcz 1998.
- BABEL (Izaak). *Dziennik 1920*. Str. 178. Twój Styl, Warszawa 1998.
- RAKOWSKI (Mieczysław F.). *Dzienniki polityczne 1958-1962*. Str. 517. ISKRY, Warszawa 1998.
- SIEWIERSKI (Henryk). *Jak dostalem Brazylie w prezencie*. Str. 113. UNIVERSITAS, Kraków 1998.
- Adam Mickiewicz a Białoruś*. Str. 317. Centrum im. F. Skaryny, Mińsk 1997.
- KRUG (Grigorij) o. *Mysł o ikonie*. Str. 99. Orthdruk, Białystok 1991.
- BUKOWSKI (Władimir). *Moskiewski proces*. Dysydent w archiwach Kremla. Str. 744. Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, Warszawa 1998.
- Europa na co dzień*. Podręcznik ucznia. Program PHARE-SIERRA-PEIE. Wydawnictwa CODN 1997.
- KOBIELSKI-GRAUMAN (Piotr). *Przez ogień*. Wybór wierszy z lat 1980-1997. Str. 55. Wyd. Przedświt, Warszawa 1998.
- ŚLAPIK (Miroslaw). *Biały wiatr*. Str. 42. Wyd. Przedświt, Warszawa 1998.
- PIASECKI (Jan Krzysztof). *Wiersze wybrane*. PATERSON („Banjo”) (A.B.). *14 wierszy i ballad w przekładzie J.K. Piaseckiego*. Str. 101. Księgarnia Akademicka, Kraków 1998.
- JAKUBOWSKA (Urszula). *Mit lwowskiego batiara*. Str. 351. Wyd. IBL, Warszawa 1998.
- SZOSTEK (Teresa). *Exemplum w polskim średniowieczu*. Str. 195. Wyd. IBL, Warszawa 1997.
- SERCZYK (Władysław A.), STRUMIŁŁO (Andrzej). *Kraina zielona. The Green Land. Grünes Land*. Str. 126. Wydawca Zbigniew J. Filipkowski. Białystok 1998.
- ŁAPIŃSKI (Włodzimierz). *Klejnoty naszej przyrody*. Str. 159. Wyd. Włodzimierz Łapiński, Bryzgiel 1997.
- MOREK (Jan). *Polska. Poland. Polen*. Str. 290. Radwan 1998.
- Kształcenie artystyczne w Wilnie i jego tradycje*. Katalog wystawy z okazji 200-lecia Katedry Sztuk Pięknych Uniwersytetu Wileńskiego i 50-lecia Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Toruń, 15 marca - 5 maja 1996. Wilno, 7 czerwca - 7 lipca 1996. Red. J. Malinowski, M. Woźniak, R. Janonienė.
- DANEK (Danuta). *Sztuka rozumienia*. Literatura i psychoanaliza. Str. 534. Wyd. IBL, Warszawa 1997.
- ŚWIEŻAWSKI (Stefan). *Przebyłski nadchodzącej epoki*. Str. 305. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1998.
- KARPIŃSKI (Wojciech). *Herb wygnania*. Str. 343. ISKRY, Warszawa 1998.
- NIEMIEC (Maciej). *Świat widzialny*. Wiersze i przekłady 1991-1998. Str. 88. Oficyna Literacka, Kraków 1998.
- FICOWSKI (Jerzy). *Bajędy z augustowskich lasów*. Str. 107. Ośrodek „Pogranicze - sztuk, kultur, narodów”, Sejny 1998.
- HONET (Roman). *Pójdiesz synu do piekła*. Str. 47. Studium Literacko-Artystyczne przy IFP UJ oraz Wydawnictwo „Zielona Sowa”, Kraków.
- RHODE (Maria). *Ein Königreich ohne König*. Der kleinpolnische Adel in sieben Interregna. Str. 347. Harrassowitz Verlag, Wiesbaden 1997.
- KARPIŃSKI (Wojciech). *W Central Parku*. Str. 253. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1998.
- DOMINIĄK (Zbigniew). *Itinerarium*. Str. 51. Wydawnictwo Dol-



- nośląskie, Wrocław 1998.
- MYSZKOWSKI (Krzysztof). *Funebre*. Str. 139. OPEN, Warszawa 1998.
- GŁOWIŃSKI (Michał). *Czarne sezony*. Str. 182. OPEN, Warszawa 1998.
- WOŚ (Jan Władysław). *Alessandro di Masovia, vescovo di Trento e patriarca di Aquileia (1400-1444)*. Str. 104. Istituto Polacco di Roma, Università degli Studi di Trento, Roma-Trento 1998.
- WOŚ (Jan Władysław). *Dwóchsetlecie diecezji warszawskiej (1798-1998)*. Str. 33. Centro di Documentazione sulla Storia dell'Europa Orientale, Trydent 1998.
- Zabytki sztuki cerkiewnej w rysunkach dzieci i młodzieży*. Katalog wystawy pokonkursowej – Stołeczne Centrum Edukacji Kulturalnej 9 I – 2 II 1998. Str. 22. Towarzystwo Opieki nad Zabytkami.
- WINCZAKIEWICZ (Jan). *Wojenko, wojenko...* Str. 117. ARS Print Production s.c., Warszawa 1998.
- FRENKIEL (Stanisław). *Kożuchy w chmurach i inne eseje o sztuce*. Wstęp i wybór J. Koźmiński. Str. 268. Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1998.
- KOWALCZYK (Andrzej Stanisław). *Pan Petlura?* Str. 94. OPEN, Warszawa 1998.
- LASMAN (Noach). *Wspomnienia z Polski*. 1 sierpnia 1994 – 30 kwietnia 1957. Str. 131. Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 1997.
- BUDZYŃSKA (Celina). *Strzępy rodzinnej sagi*. Str. 527. Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 1997.
- MAJEWSKI (Józef). *Miłość ukrzyżowana*. Nad teologią cierpienia Jana Pawła II. Str. 175. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1998.
- BAŹCZKOWSKA (Irena). *Podróż do Braitowa*. Str. 62. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1998.
- ANDERMAN (Janusz). *Tymczasem*. Str. 39. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1998.
- TABORSKI (Bolesław). *Przetrawianie*. Str. 71. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1998.
- SULEJA (Włodzimierz). *Tymczasowa Rada Stanu*. Str. 238. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- Adam Skwarczyński – od demokracji do autorytaryzmu*. Oprac. D. Nałęcz. Str. 240. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- BOGUSŁAWSKI (Andrzej). *Pod Gwiazdą Polarą*. Polacy w Finlandii 1939-1941. Str. 150. Oficyna Wydawnicza – Typografia, Warszawa – Paryż 1997.
- MIŁOSZ (Czesław). *Inne abecadło*. Str. 207. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998.

## POLSKA I WSCHODNI ŚĄSIEDZI

8.7.98

Zarządzeniem prezesa Polskiej Akademii Nauk zostało utworzone stanowisko stałego przedstawiciela przy rosyjskiej Akademii Nauk w Moskwie.

8.9.98

Andrzej Szczypiorski – przewodniczący Rady Stowarzyszenia ZAIKS, został wybrany prezesem Światowej Federacji Związków Autorów i Kompozytorów (CISAC).

10.9.98

Staraniem Instytutu Polskiego w Mińsku i Instytutu Historii Narodowej Akademii Nauk Białorusi Centrum im. F. Skoryny i Federacji Instytutów Europy odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa „Adam Mickiewicz i kultury narodowe”. W czasie konferencji wygłoszono odczyty m.in. Aleha Łojki – „Adam Mickiewicz i Białoruś”; prof. Jerzego Kłoczowskiego – „Twórczość Adama Mickiewicza jako wspólna spuścizna kulturowa narodów dawnej Rzeczypospolitej”; Aleksandra Lipatowa z Rosyjskiej Akademii Nauk – „Mickiewicz i Puszkini”; prof. Amoldasa Pyraczkina z Uniwersytetu Wileńskiego – „Źródła romantyzmu Adama Mickiewicza”; Leonida Łyca z Białoruskiej Akademii Nauk – „Idea słowiańskiego porozumienia w wykładach paryskich Adama Mickiewicza”. Ponadto odbyło się szereg posiedzeń w sekcjach: sekcja I – „Adam Mickiewicz w historii i dzisiaj”; sekcja II – „Spuścizna Adama Mickiewicza: aspekty filologiczne i kulturowe”. Ponadto uczestnicy konferencji wyjeżdżali do Nowogródka dla zwiedzania miejsc pamięci Mickiewicza oraz do Rakowa na wykłady naukowe „Raków jako północne Ateny”. Wreszcie był wyjazd uczestników do Karelitz na V Wykłady Karelitzkie „Karelitz – ziemia czasów Adama Mickiewicza”. Ponadto minister kultury Republiki Białoruskiej ogłosił konkurs na pomnik Adama Mickiewicza, który ma być postawiony w Mińsku.

7.11.98

W Poznaniu będzie miała miejsce promocja książki Kajetana Morawskiego pt. „Wspólna droga z Rogerem Raczyńskim”.

## ZACHÓD

18.5.98

Na walnym zebraniu Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Paryżu został wybrany nowy zarząd na okres dwóch lat. Przewodniczącym został Volodymyr Malynovych. Walne ze-



branie przyznało tytuł honorowego członka pp. Władysławowi Żeleńskiemu i Jerzemu Giedroycowi za ich pracę nad normalizacją stosunków polsko-ukraińskich.

24.6.98

W Meksyku została otwarta wystawa poświęcona życiu polskich Żydów w okresie międzywojennym. Otwarcia dokonał prezydent Stanów Zjednoczonych Meksyku, E. Zdzillo Ponce de León. Ze strony polskiej wziął udział wiceminister kultury Sławomir Rajtowski. W ciągu trzech miesięcy miały miejsce wykłady na temat kultury i historii Żydów polskich, festiwal filmów polskich o tematyce żydowskiej i prezentacja filmów jidisz z okresu dwudziestolecia międzywojennego.

13.9.98

Prof. Andrzej Walicki został tegorocznym laureatem nagrody Fundacji Balzana za „wyjątkowy wkład w badania nad historią kulturalną i społeczną Rosji”. Wręczenie nagrody odbędzie się 23-go listopada w Pałacu Kwirynalskim w Rzymie.

14.9.98

Został rozstrzygnięty Konkurs na powieść lub zbiór opowiadań, ogłoszony przez wydawnictwo „Znak”. Z 360 nadesłanych prac, jury wybrało trzy: „Madame” Antoniego Libery – I nagroda (12 tys. zł) oraz „Kuracja” Jana Głębskiego i „Słowa obcego” Bronisława Świdierskiego – dwie II nagrody (po 5 tys. zł każda).

21.9.98

W Galerie Françoise Paviot w Paryżu miał miejsce wernisaż wystawy fotografii Bogdana Konopki. Wystawa będzie trwała do 14-go października br.

25.9.98

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się XVII Uniwersytet Letni Wspólnoty Francusko-Polskiej z udziałem Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Na Uniwersytecie Letnim zostały wygłoszone m.in. następujące wykłady: prof. Thierry de Montbrial – „La Pologne et l'Union Europeenne”; prof. François Xavier Coquin „Le role du masque dans le mouvement revolutionnaire et la genese du stalinisme”; prof. Jacques Le Goff – „L'Europe medievale et l'Europe d'aujourd'hui”; Alain Deleu – „Travail, reprends ta place”; prof. Jean Kudela – „Les relations germano-slaves d'hier à aujourd'hui”; prof. Tomasz Schramm – „L'alliance franco-polonaise dans l'entre-deux-geures”; prof. Tadeusz Kowzan – „Les Polonais sur les scenes françaises: auteurs dramatiques, personnages, commediens”.

## List do Redakcji

Kraków, dnia 9 IX 1998

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z ogłoszonym w numerze 7/8 *Kultury* przez p. Mirosława Adama Supruniuka przeglądzie „Archiwów i kolekcji emigracyjnych w Polsce” (w wielkim oczywiście, jak mi się wydaje, wyborze) pragnę poinformować, że bogaty zbiór listów Zygmunta Nowakowskiego do Celiny Otowskiej z lat 1948 (oczywiście nie 1848 jak zostało wydrukowane zapewne pomyłką) do 1963 ogłosiłem w *Roczniku Biblioteki Polskiej Akademii Nauk w Krakowie* za lata 1991-1994 (tomy 36-39). Wcześniej w tymże *Roczniku* za rok 1990 (t. 35) ogłosiłem listy pisarza do Zofii Jachimeckiej z lat 1924-1937. Informuję o tym, żeby przypadkiem ktoś nie próbował odkrywać na nowo listów już dawno ogłoszonych.

Życząc dalszych sukcesów *Kultury*, która nadal jest jedynym polskim pismem całkowicie niezależnym od wiejących różnych prądów, łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

Józef DUŻYK

### ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.*

*R.P., Warszawa* – Dziękujemy za przesłane materiały, które częściowo wykorzystamy.

*M.S., Kraków* – Przesłanych wierszy nie zamieszcze – są bardzo słabe.

*J.N., Rzeszów* – Widać poeci muszą żegnać kolegów złym słowem. Co ma oznaczać stwierdzenie, że „ręce odpadły od wierszy”? Poza tym to banał, że po czyjejs śmierci świat wraca do normy. Pana krótkie utwory, natomiast, pozwalają wierzyć, że mamy do czynienia z przyszłym poetą.

*K.Z., Wilkoszyn* – Wiersze zdecydowanie słabe, nie zamieścimy.

*J.K.M., Chelme* – Pisz Pani: „albowiem wypełniła się kadencja/nigdy równie jasna nie objawiła się boskość”. O jaką kadencję chodzi? I cóż to za „zatechły foliał”, który dźwigają magowie? (bo przecież, nie jak u Pani, „madzy”!?)

*W.U., Bydgoszcz* – Ambicja dialogu z Herbertem przyświecała już wielu autorom. Pana utwory są przegadane. Nadto postać „Pana X” jest już do poezji polskiej wprowadzona.

*Tadeusz G., Polska* – Niestety, same rymy poezji nie czynią.

*P.S., Warszawa* – Pana szkicu o A. Camusie nie zamieścimy.



	NOTATKI REDAKTORA . . . . .	122
	CI, CO ODESZLI	
Ryszarda Socha:	UrządNIK Rzeczypospolitej . . . . .	125
	WOLNA TRYBUNA	
Janusz Mondry:	NATO a bezpieczeństwo Polski . . . . .	135
	KSIAŻKI	
Jerzy R. Krzyżanowski:	„Zły” lat dziewięćdziesiątych . . . . .	144
Leszek Szaruga:	Wiersze mniejszości niemieckiej . . . . .	150
—	Nadesłane nowości wydawnicze . . . . .	153
—	Wydarzenia miesiąca . . . . .	157
Józef Dużyk:	List do Redakcji . . . . .	159
—	Odpowiedzi Redakcji . . . . .	159

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4<sup>ème</sup> trimestre 1998.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskiej obl.,

164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1998</b>			
<b>AFRYKA POŁUDNIOWA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>ARGENTYNA:</b> «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRALIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRIA:</b> Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BELGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BRAZYLIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>DANIA:</b> O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>FRANCJA:</b> do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>HOLANDIA:</b> Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 . . . . .	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
<b>IZRAEL:</b> Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>KANADA:</b> Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115 . . . . .	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
<b>NIEMCY:</b> Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hesslerstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60 . . . . .	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
<b>NORWEGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>SZWAJCARIA:</b> Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84 . . . . .	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
<b>SZWECJA:</b> Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. . . . .	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
<b>U.S.A.:</b> Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266 . . . . .	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
<b>WIELKA BRYTANIA:</b> Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>WŁOCHY:</b> Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane odesłaniem prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)



## Nowości wydawnicze

### BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

### BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 504 – ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT

### STO DWUDZIESTY PIĄTY

zawiera opracowania: A. Pospieszalski: *Tło naszego dwutysiąclecia*; P. Mitzner: *Mój ojciec konspirator*; A. Grzywacz: *Funkcjonowanie Oddziału II Sztabu Głównego w 1939 roku*; I. Torbakow: *Swój czy obcy? Stereotyp Ukraińca w Rosji XVII-XVIII wieku*; F. Charwat: *Rok stosunków polsko-litewskich 1938-1939*; M. Siekierski: *Franciszek Charwat – nota biograficzna*; A. Dmuhowska: *Polska droga przez mękę*; P. Wandycz: *Nowe książki*; P. Niwiński: „*Pany i rezuny*”; M.K. Dziewanowski: *Nowe spojrzenie na historię Europy*; T. Wyrwa: *Polacy o powojennej Europie na łamach La France Libre*; K. A. Kuczyński: *Rumuńskie lata płk. Józefa Becka*; A. Grzywacz: „*Studia Rzeszowskie*”; T. Włodek: *Krzyżacy*; A. Micewski: *Bolesław Piasecki w 1968 roku* oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

**Cena 55 F**